

Ukochanemu przez polaków
Adolfowi Černemu,
za miłość dla bratniego
narodu i jego literatury —
w hołdzie
pracę swą składa
Kraków 26/IX 98. Autor

BIEDRONIE

Maciejowski, I.

SEWER

BIEDRONIE

POWIEŚĆ

Z 34 illustracyami Wł. Tetmajera

PETERSBURG
NAKŁAD K. GRENDYSZYŃSKIEGO

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

IDALII PAWLIKOWSKIEJ

NA PAMIĄTKĘ

POBYTU JEJ W BRACIEJOWEJ

Autor.

Kraków, dnia 20 grudnia 1895 r.



I.

Jutrzenka zaświtała blado i zimno, wychylając się z poza ciemnych i groźnych gór, zasłaniających świat od południa... W miarę wzmagającego się światła ukazywało się niebieskawo-zielonawe niebo, po którem nizko płynęły rozwieszone płachty ciężkich chmur, napęczniałych deszczem. Szmat ziemi, objęty ludzkim wzrokiem, zatrważał i gnębił ponurością smutku. Wśród morza nieruchomej mgły sterczały czarne, wielkie drzewa, z liści ich spływała dużemi kroplami woda, denerwując jednostajnością uderzeń. Muzyka nudna, o tempie powolnem i nierównem, dławiła. Wierzchołki szarych dachów chat wydobywały się

z powodzi oparów, podobne pogrzebowej karawanie. Zimno przejmowało do kości, nieruchoma martwota przy jękach wiatru w górze i akompaniamencie spadających kropli przerażała, że dusza rada była wyrwać się z ciała i uciec w krainy słońca i rozkoszy ciepła.

Wysokim brzegiem wąwozu, po ścieżce spłukanej deszczem, biegł chłopiec, owinięty płachtą, związaną na grzbiecie w gruby węzeł. W jednej ręce trzymał bat, w drugiej przerzucony przez plecy słomiany chochoł. Płócienne, zawinięte do połowy łydek portczyny, okrywały chude, czerwone nogi, z poza okrągłej czapki, spadającej na uszy, wyglądały duże, zadumane, niebieskie oczy i chuda, drobna twarzyczka. Biegł, przebierając szybko nogami, batem świstał i dla dodania sobie odwagi rozmawiał z czworgiem bydła, grzęznącem w ciężkiem błocie wąwozu. Skulone od zimna krowy oglądały się, rade wrócić do ciepłej stajni.

— Czarnula, czego patrzysz?! — zawołał. — Wtorucha, tybyś rada do domu! A myślisz, że ja nie?... Ale kiej mus, to mus — pchaj się w górę i już. Widzisz, jałowice rzną ci, aż miło.

Wtorucha zaryczała smutno, zawtórowały jej Czarnula i jałowice.

— Byle ino wydrapać się na błonie, trawki

będzie w bród. Mokra ci, zimna, ale zawsze lepsza, niż pusty żłób — pocieszał ją chłopiec.

Czy świstu bata, czy słów zachęty, dość, że usłuchały Wortucha z Czarnulą, gramoląc się pod górę. Na przodzie pomykały raźno dwie młode jałowice.

Pastuszek i czworo bydła stanęło na wielkiej przestrzeni zielonego błonia. Daleko na końcu widnokręgu, otulone mgłą, ciemne góry zamykały świat. Chłopiec oczy w nie wlepił, zdawało się, że idą ku niemu, przyjdą i zgniotą go.

Ponurość straszyła go, gdyby się nie bał ojca, nie troszczył o bydło — uciekłby. Spojrzał dokoła — mgła czołgała się po pustem błoniu, czarne olbrzymy zbliżały się. Krowy starały się ciepłym oddechem nozdrzy osuszyć trawę i rozgrzać ją.

Niespodzianie wypadł z poza lasu wiatr, odbił się o błonia i porwał przyczajone do ziemi mgły. Widnokrąg się odsłonił, chaty wyjrzały, drzewa wyswobodziły z topieli, stado wron zatrzepotało skrzydłami i kracząc, odleciało.

Życie się zbudziło.

Chłopak, przestępując z nogi na nogę, szukał oczyma żywej duszy — pusto. Podbiegł ku

wygonowi, wpatrując się w ścieżkę, lecącą po pochyłości w jar, otoczony krzakami brzeziny.

Zobaczył i rozśmiał się radośnie, podskoczył, świsnął batem, chciał biedz, lecz się zawahał.

Wśród białych brzózek majaczył skrawek czerwonej spodnicy dziewczynki, ciągnącej na powrozie krowę.

Otulona płachtą, podobnie jak chłopiec — i ona dźwigała na plecach przewieszony przez ramię chochoł słomiany. Nie mógł ustać — poleciał.

— Zośka, to i ciebie wygnali! — wołał zdaleka.

— Sama poszłam — odpowiedziała. — Ociupinka siana w stodółce i już go w lecie spaść?

— Mnie kazali, chociaż u nas koniczyny huk.

— Łakomi — szepnęła.

— I jak — zawołał chłopiec. — Zaczekaj, pomogę ci starą pognać.

— Tylo jej czasem, Jasiu, batem nie luń. Krowisko ledwo co racice ciągnie za sobą.

— Ja ci też bardzo łakomy na bicie?

— Prawda, ty do bicia? — poświadczyła dziewczynina, okręcając powróz około głowy starej.

— Będzie nam raźniej — odezwał się chło-

pak. — Byłem sam na pustem błoniu i strasznie czegosik bałem się, choć nie wiem, czego.

— Będzie nas ino dwoje, bo nikt bydła na takie zimno nie chce gnać.

— A niechta — odrzekł — samym lepiej.

Dobry humor chłopca rósł, świsnął batem i uchwyciwszy za płachtę dziewczynę, ciągnął ją pod górę z całych sił.

— Ej, Jaś, nie zbytkuj, nożyska mi z zimna ociężały jak kłody.

— Zagrzeją się — i moje zmarzły. Lećmy, bo jak Wortucha zmiarkuje, że mnie niema, wprowadzi bydło na organistowy groch.

Dzieci, ująwszy się za ręce, biegły pod górę, za niemi stara, jak mogła, zbierała nogi.

Przeczucia Jasia sprawdziły się. Wortucha, z początku wolno, później coraz prędzej, posuwała się w stronę organistowego grochu, prowadząc za sobą Czarnulę i dwie jałowice.

— A co? — zawołał Jaś i pogalopował, co mu sił starczyło. — Zośka, zabiegaj od drogi!

Dwie białe plamy mknęły po zielonawem błoniu, usiłując przeciąć drogę nieprzyjacielowi.

Zosia pierwsza dopadła do grochu, stając wpoprzek Wtorusze. Zmierzyły się wzrokiem. Wtorucha rzuciła się na lewo, Czarnula za nią,

lecz na lewem skrzydle spotrzegły pędzącego chłopca. Wzięte w dwa ognie, cofały się wolno, spoglądając żałośnie na łaskotliwie szeleszczącą ławę zieleni.

Dzieci, zmęczone, złączyły się, pędząc przed sobą nieprzyjaciela.

— Widzisz Jaś, i mojej starej zachciało się grochu, przyderbała za drugiemi — zaśmiała się Zosia.

— A tobie się chce? — spytał Jaś.

Stanęli. Chłopiec patrzał na dziewczynę — dziewczyna pokazała szereg białych zębów.

— Cóż? — pytał Jaś.

Zosia wciąż się uśmiechała. Chuda jej twarzyczka rozweseliła się, oczy, również niebieskie, jak u Jasia, figlarnie patrzały.

— Kiej ci się zachciewa, to leć! Ja stanę na kretowisku i będę się rozglądał.

— Leć sam, tyś starszy — szepnęła.

— A lećże — nalegał chłopiec. — Przyczaj się w bruzdzie i rwij, ino się wyciągnij i leż, póki nie zawołam.

Zaczęli szukać starego, twardego kretowiska i gdy je znaleźli, Jaś stanął na niem, a dziewczynka, czając się, dotarła do grochu i zniknęła w jego zieleni.

Żywej duszy na Bożym świecie, wiatr tylko

jęczał w górze, wył w rozpadlinach wąwozów i gnał ciemne płachty chmur, szarpiąc je na strzępy. Mgła uciekała, doganiał ją, zwijał w kłęby i rzucał na szczyty czarnych gór. Jaś usta rozwarł, oczy wytrzeszczył, chłonąc w siebie obrazy przyrody. Zapatrzony, zapomniał o leżącej w grochu dziewczynie.

Zosi serce biło ze strachu, że ledwo oddychać mogła. Szarpała strączki, chowając je w zanadrze i co chwila podnosiła głowę, spoglądając na wartującego Jasia.

Gwałtowne jęki wiatru trwożyły ją, nie mogła dłużej wytrzymać — wyczołgała się i, uszczęśliwiona z dokonanego czynu, podleciała do chłopca.

Tupot bosych nóg dziewczęcia po murawie zbudził Jasia, obejrzał się.

— Mam — szepnęła. — Nikt nie widział?

— Nikt — odpowiedział, zeskakując z kretowiska.

Pokazała mu z tryumfem schowane za koszuliną strączki.

— Wiesz co, Jaś — mówiła — tu, na wielkiem błoniu wiatr hula i smaga, że trudno ustać. Pognajmy bydło w dół, pod samą świerczynę, przytulimy się do niej, będzie ciszej...

Radę Zosi zadumany chłopiec przyjął w mil-

czeniu, zwrócił się do bydła, dziewczynka pobiegła do swej starej.

Świerczyna smutna i ciemna zawładnęła jarem, schowanym na spadzistej pochyłości błonia. Czarne, zamyślone, ponure drzewa stały podobne Prusakom na linii bojowej, marzącym o podbiciu świata pod swe panowanie. Wiatr zrywał się gwałtownie i padał na ziemię — dwoje dzieci przykucało chwytając się rękoma murawy ze strachu, aby ich nie porwał. Bydło szło wolno, odwracając się co chwila, wiatr tamował im oddech i utrudniał pochód... Przez szczeliny poszarpanych chmur wypadło parę snopów jaskrawego światła, rozweselając twarze dzieci radością.

— Słonko! — zawołał Jaś.

— Słonko! — powtórzyła za nim Zosia.

Raptem ucichło i rozkoszne ciepło rozciągnęło się po ziemi. Bydło je przywitało rykiem, dzieci okrzykami, pędząc z całych sił na dół, do przystani świerków.

Zanim dobiegli, słonko zasłoniła lecąca po niebie czarna płachta, zatrzymany wiatr huknął z większym jeszcze impetem. Dzieci padły na ziemię, bydło spuściło łby... Chmura przeleciała — dzieci znowu, korzystając z chwilowej ciszy, pomknęły za pędzącem bydłem.

Nad brzegiem jaru, zmęczeni, kucnęli, Zosia wysypała na murawę groch, łuskali go i jedli...

— Dygotałam, leżąc w bruździe — opowiadała. — Organista, skąpiec, do piekłaby poszedł za tą odrobiną grochu.

— Abo mój tatuś lepszy — przyświadczył Jaś.

Łakoma Stara zbliżyła się do nich. Zośka dawała jej łupiny z grochu, aby śladu nie zostawić.

— Mam patyczki — odezwał się tajemniczo chłopiec.

— Masz!? Zrobimy ogieniaszek i zagrzejemy się.

— Zrobimy! Na Matusowem polu rosną hameryki, a jakie ci wielkie! — widziałem.

— Nie pójdę za nic — zawołała Zosia, — boję się! My z matsią chudobne, toby nas okrutnie sponiewierali. Tyś bogacz, leć sam.

— Ja ogień rozpalę — tłómaczył się chłopiec.

— Ja rozpalę, a ty leć...

Chłopiec milczał, łamał suche gałązki z drzew, znosił je na murawę i układał na stos. Zosia mu pomagała. Na podpałkę ugrabili rękami suchego igliwia, Jaś kozikiem uskrobał ze starego świerka żywicy. Wszystko gotowe, tylko stos podpalić.

Położyli się oboje na ziemi, chłopiec wyjął patyczki, dziewczyna wyprężyła róg płachty, podsuwając go chłopcu do potarcia. Zapałka strzeliła, błysnął niebieskawy ogień, dzieci zatrzymały oddech. Jaś podsuwał igły do ognia zapałki, Zosia trzymała żywicę. Igliwie buchnęło płomieniem i przygasło. Zaczęli dmuchać, przyciągając suche gałązki. W górę wznosił się dym, a z dołu pokazywał się czerwony, wesoły płomień, pryskając iskrami.

Uzbierane gałęzie kładli na ogień i dmuchali, dopóki płomień nie buchnął.

Usiedli przed ogniskiem i Jaś znowu posmutniał. Milczenie chłopca i jego smutek zaciężyły na sercu Zosi. Spoglądała na niego ukradkiem nieśmiało, lecz długo nie mogła wytrzymać milczenia.

— Jaś — rzekła z odcieniem wymówki — markocisz się na mnie, że nie chcę lecieć po hameryki. Ja się boję, jestem przecie mała. Ludzie-by nam nie darowali. Kazałeś iść po groch — poszłam, ale po hameryki — bój się Boga?...

Urwała, wpatrując się smutna w ogień.

Żalem swym rozbroiła chłopca.

— Lubisz pieczone? — spytał.

— Lubię Jasiu — odpowiedziała słodko.

Chłopiec pochwycił bat, zerwał się i świsnął nim.

— Pilnuj bydła i ognia — dał rozkaz i z miną hardą kopnął się w górę.

Dziewczyna spojrzała na bydło, położyła parę gałązek na ogień i ciekawie wpatrywała się w biegnącego chłopca. Na górze wiatr nim szarpał, wydymając białą płachtę, lecz chociaż chłopiec słaniał się ku ziemi, szedł śmiało. Za chwilę zmienił się w białą plamę na ciemnej murawie... Plama zaczęła się rozpływać w szarawo-niebieskawem przeźroczu i rozpłynęła. Wiatr zawył żałośnie, dziewczyna została sama. Strach ją ogarnął, bała się o chłopca.

— Gotowi go zbić, a to ci takie nikłe — powtarzała.

Ciarki ją przechodziły po skórze i żal dżgał w samo serce. Dla skrócenia czasu przywołała Starą, głaskała ją po szyi i tuliła się do niej. Zmrużyła oczy i widziała, jak się Jaś skrada, czai, chwyta za krzak, pociąga go w górę i wybiera z pod niego ziemniaki duże i białe. Drżała o niego...

Niedługo w górze na szerokim płacie murawy zamajaczyła biała plama, staczając się z błyskawiczną szybkością na dół. Dziewczynka się zerwała, patrząc wystraszona, czy kto nie

goni. Chłopiec biegł sam, dopadł do ogniska, ukląkł przy niem i ciężko oddychał.

— Nie udało ci się — szepnęła Zosia.

— Ludzie się kręcą — odpowiedział.

— Ludzie się teraz okrutnie kręcą — przyświadczyła i rada, że nie przyniósł ziemniaków, poprawiła ogień.

— Zośka — odezwał się po chwili — u was przecie są hameryki.

— Malutko!...

— Leć, przynieś, choćby ze sześć, powiedz matusi, że na odwieczerz odniosę...

— Okrutny kawał, wietrzysko gotowe mnie znieść do paryi — prosiła go.

— Głupiaś, dałabyś się wiatrowi, a weź i ociupinkę soli.

Zośka widocznie wahała się.

— Lecisz? — nalegał chłopiec.

— Czegoś się stracham.

— Chodź, podprowadzę cię do połowy drogi.

— Starej będzie się cnąć bezemnie.

— Chodź — prosił chłopak idąc naprzód.

Zośka otuliła się płachtą i powoli poszła za nim. Na wyżynach ujął ją za rękę. Szli razem, opierając się napadom wiatru. Kładli się, gdy ich chciał porwać, a gdy przycichł, zrywali się i biegli dalej. Walka dodawała im energii.

Dziewczyna zniknęła w brzozowych krzakach, chłopiec przykucnął. Myśl zdobycia ziemniaków i upieczenia ich pochłaniała go.

— Są — zawołała zmęczona Zosia.

W jednym rogu płachty miała związane ziemniaki, w drugim ociupinkę soli.

— Wracajmy — zakomenderował chłopiec, zrywając się, — ogień zgasł, ale węgli i popiołu dużo...

— Mam ich ośm, wielkie jak kocie łby. Matki w izbie nie było, wzięłam sama i lecę.

— Dobrze.

Na znak swej łaski, Jaś ujął ją w pół, ona wyciągnęła chudą rękę z poza płachty, obejmując go za szyję.

Wiatr głucho dął, lecz już nie napadł, jak zbój znienacka. Dzieciom było śmielej na wielkim stoku pastwiska.

Zbiegli na dół, bydło przyjęło ich radośnym rykiem. Stara wyszła naprzeciw Zosi.

Ognisko przygasło, okrywając się białym puszkiem popiołu, pod którym żarzyły się węgle. Dziewczynka rozwiązała róg płachty, podając ziemniaki chłopcu. Jaś biczyskiem robił dołki w ognisku, rozsuwając węgle, kładł jeden po drugim i zasypywał popiołem.

Ostatni ziemniak znikł im z oczu, praca skoń-

czona, westchnęli głęboko. Zosia radośnie patrzała na chłopca, Jaś dumnie się uśmiechał.

Pierwszy raz w tym roku piekli w polu ziemniaki.

W skupieniu ducha, siedząc przed spaleniskiem, czekali.

— Jaś, może już — pierwsza odezwała się dziewczyna.

W odpowiedzi chłopak odgarnął popiół z ziemniaka — spróbował.

— Już! — zawołał — śpieszmy się, bo się spalą. — Odkrywał ziemniaki biczyskiem, Zośka chwytała je palcami i odrzucała.

Otarte z popiołu rozdzielali na pół, solili i dmuchając jedli. Łakoma Stara przysunęła się. Zośka musiała się z nią dzielić.

— Smakują ci? — rzuciła pytanie chłopcu z odcieniem dumy.

— A tobie?

— Jeszczeby nie? Na takie zimno, gorące, młode, soli huk.

— Zróbmy teraz taki ogień — zawołał Jaś — żeby aż pod niebo szedł!...

— Żeby się i Stara przy nim zagrzała — dodała Zosia.

Zsunęli się na samo dno głębokiej paryi

szukać gałęzi. Wydobyte z igla i mchu wyciągnęli na brzeg, układając stos.

Ogień nie mógł ich objąć, dym czołgał się po ziemi, kręcił, gałęzie syczały, woda z nich kroplami ściekała.

Wiatr uciekł do lasu i legł w rozpadlinach, latające po niebie czarne płachty rzedniały, rozciągając się wolno w przestrzeni... Ocieplało i zrobiło się szaro, nudno, posępnie. Bydło niechętnie skubało trawę, dzieci posmutniały, świerki ściemniały, cały świat zamroczył się, osowiał. Chmury, dotykając prawie ziemi, powoli dźwigały się w górę, z nieba zaczął padać drobniutki deszcz, jakby sitem siał. Parno się robiło, deszcz gęstniał, grubiał, padając na ziemię równo, cicho i szybko.

— Zośka, bierz chochoł — dał rozkaz Jaś — i wpakuj mi go na łeb, potem ja tobie, zmokniemy do cna...

Chłopiec ukląkł obok ogniska zalewanego przez deszcz, dziewczyna rozpostarła chochoł i nasadziła mu na głowę. Chłopiec zrobił jej to samo.

Dzieciaki przytulone do siebie przez szczeliny zrobione w słomie okrywającej im głowy i strumienie lecącej z nieba wody, patrzały na

bydło. Cisza i ołowiana senność zamykała im powieki.

— Zosiu — szepnął chłopiec, — patrzże na bydło, ja nie mogę se rady dać i na Zdrowaś Marya zamknę ślepia.

— A ja mogę, — odpowiedziała z odcieniem wymówki.

— Tobie łatwiej, ty się kiej bądź zdrzemiesz, mnie nie dadzą.

Oparł głowę okrytą chochołem o ramię dziewczyniny, zmrużył oczy i w tej chwili usnął. Dziopa wytrzeszczała swoje, patrząc na bydło, póki mogła, póki jej starczyło sił. Lecz i do niej przyszła zmora ulepiona z mgły: cicha jak śmierć i zamknęła jej oczy, a głowinę przechyliła na chochoł Jasia.

Deszcz równo i spokojnie padał, mgła wielkiemi kłębami wydobywała się z paryi, ciepło ją gnało w górę, cisza okryła ziemię, świat odrętwiał.

Dzieci spały, bydło mokło, mokra, chuda trawa nie smakowała mu. Wtorucha mądra poszła skryć się pod drzewa, za nią inne. Stara ostrożnie stała na boku.

Smukłe, jakby zaklęte świerki okrywały wielką parye, stojąc na jej straży. Po stromych spadkach ciekła woda, trawa oślizgła, glina

rozmokła. Wtorucha nie wiedziała o tych zmianach, poszła śmiało, poślizgnęła się, porwana własnym ciężarem poleciała na dół — odbita od drzewa stoczyła się na samo dno. Przewróciła się, zimny strumień wzbierając obmywał ją; z bólu i ze strachu cicho jęczała. Czarnula i dwie jałowice cofnęły się od paryi i świerków, rycząc żałośnie. Stara podeszła do Zośki, ochuchiwała ją, a potem ściągnęła jej chochoł z głowy. Dziewczyna rozwarła oczy, obejmując wzrokiem bydło.

— Niema Wtoruchy? — przetarła oczy.

— Niema Wtoruchy! — krzyknęła.

Jaś się zerwał nerwowo.

— Była ci przed chwileczką — tłómaczyła się.

— Na groch — zawołał chłopiec.

— Ej, nie, boby i drugie za nią poszły.

Nasłuchiwali.

Głuchy, niewyraźny jęk wydobył się z pod ziemi.

Wytężyli słuch. Jęk się powtarzał.

— Wtorucha w paryi!

Chłopiec uchwycił się Zosi, żeby nie upaść z przerażenia. Trząsł się na całem ciele.

— Jasiu, nie zagubiaj się, — prosiła go Zosia, dzwoniąc szczękami.

Chłopak zrzucił z głowy chochoł, załamał ręce, lecz w tej chwili pochwycił bat.

— Lećmy — zawołał. — Zośka, jeżeli Wtorucha zginie, ja pójdę za nią!

Dziewczynka ryknęła głośnym płaczem. Wtorucha i odgrażający się Jaś padły jej na sumienie takim ciężarem, że go nawet płaczem ulżyć sobie nie mogła.

Chłopak po rozmokłej glinie i ślizkiej murawie zsunął się na dół gorączkowo od drzewa do drzewa, dziewczynina za nim, płacząc rzewnie.

Na dnie strumyka leżała Wtorucha. Woda się nad nią piętrzyła i przelewała. Jaś wpadł po pas do wody, Zosia za nim, krowa podniosła łeb w górę, patrząc miłosiernie na dzieci. Chłopiec gorączkowo przywiązał do rogów krowich bat, biczysko podał Zośce, sam pochwycił krowę za ogon...

Krzycząc i strasząc, zaczęli ją oboje ciągnąć z całych sił.

Wtorucha zrozumiała, że o nią idzie, ściągnęła pod siebie nogi, zebrała siły i zerwała się. Stretwiała, ruszyć się zrazu nie mogła, dzieci nie nalegały. Unurzaną w błocie zmywali, czerpiąc w dłonie wodę.

— Stoi, to jej nic nie będzie — odezwała się Zosia.

— Ale jak ją wyciągnąć z paryi? prosto w górę nie wylezie — mówił zrozpaczony Jaś.

— Gnać ją strumieniem aż na Przylasek i do domu.

— Daleko! kiej wrócimy?...

— Jaś i cóż innego poradzisz?

Chłopak się zamyślił.

— Juści, nie można!... Ha, to gnać!

Zosia ułamała gałąź, Jaś ujął biczysko przywiązane do rogu krowy i poszedł, za nim Wtorucha, za Wtoruchą dziopa. We troje brnąc w strumieniu zimnej wody po kolana, posuwali się wolno. Wtorucha kulejąc mruczała z bólu, lecz szła. Odpoczywała co chwila, lecz szła...

Zgorączkowane strachem dzieci chłodziła zimna woda. Na Przylasek daleko, kamienie na dnie strumienia ślizkie i ostre, pochód ciężki — mimo to z oczu dzieci biła radość, zroszone czoła obcierali płachtą. Czuli się uratowanymi cudem od śmierci.

— Bo przecież, gdyby Jaś poszedł za Wtoruchą, Zosia poszłaby za Jasiem. — Tak se myślała.

W górze strumień się zwężał, wody coraz mniej, lecz za to błota więcej. — Wtorucha ledwie wyciągała nogi.

— Jaś, spojrzyjno od siebie, może tym wą-

wozikiem wydostaniemy się — zawołała dziewczynina.

Stanęli odpocząć i naradzić się.

— Czy ino Wtorucha się wygramoli?...

— Spróbujmy, Jasiu, spróbujmy!...

Jaś wygramolił się na brzeg, dziewczyna podniosła gałąź.

— Hej, Wtorucha, dalej — pchaj się w górę.

Wtorucha niewiele sobie co robiła z krzyku dzieci i gałęzi Zośki. Jednym rzutem mądrych oczu objęła sytuacyę i wytężywszy siły, dwoma potężnemi susami wydobyła się ze strumienia. Jaś uciekając przed jej rozpędem, padł. Zośka z podniesioną gałęzią została w wodzie.

Nagle śmiech nerwowy, zwiastujący wielką radość, zagrał w powietrzu; Wtorucha rada z siebie, patrzała łagodnie. Zosia wyciągnęła ku chłopcu gałąź.

— A to ci bydlątko — wołał Jaś, ciągnąc gałąź i uczepioną przy niej dziewczynkę.

— Zakpiła se z nas — śmiała się Zosia.

— Moja poczciwa krówko! — Chłopiec zaczął Wtoruchę głaskać i całować.

— A teraz przez Gawlikową miedzę i brzezinkę lećmy do bydła — nalegała dziewczyna.

Lecieć nie mogli, Wtorucha zachromiała mocno na nogę. Jaś pchnął dziewczynę naprzód,

sam został z krową. Szli wolno, Wtorucha zatrzymywała się, poskubując trawę.

Zosia zdyszana wróciła.

— Niema bydła! — załamała ręce.

— Uciekło do domu — szepnął Jaś zrospaczony.

Gorąco mu się zrobiło; gwałtownie wydobył się z płachty, czapkę rzucił na ziemię, ręce zanurzył we włosy i targał je.

— Gdzie się teraz podzieje?... Jezu Chryste, ratuj mnie!

— Cicho, cicho — utulała go Zosia. Ból ją przejmował, a serce szarpały wyrzuty sumienia.

— Matsia, gospodarz, parobek, Kunda, wylecą szukać Wtoruchy. Gospodarz mnie spiorą na śmierć...

— A bo to nie twój tatuś!?...

— Właśnie że tatuś, to będzie prał bez upamiętania...

Chłopiec zalewał się łzami.

Zosia zbliżyła się do niego, jedną ręką objęła go za szyję, drugą obcierała mu oczy płachtą.

— Cicho, cicho, moje dziecko — pocieszała go. — Wiesz co, ja odpędzę do waszych wrót Wtoruchę — ty leć do nas. Zjesz gorącego żuru z ziemniakami i na górę w siano się zakopiesz.

Chłopak przestał płakać, rozważał.

— Ojciec się wyzłoszczą, matsia wylamentuje i zapomną — pocieszała go Zosia.

— A kto od południa wygna bydło?

— Deszcz leje, Wtorucha kulawa. Mało ci to mają w stodole koniczyny.

Podniosła czapkę, nasadziła na głowę chłopca, okryła go napowrót płachtą, do ręki podała bat, gałęzią postraszyła Wtoruchę—poszli.

— Co się dzieje z twoją Starą? — spytał, siląc się na spokój chłopiec.

— Stara — zawołała Zosia — zna ci ona drogę do chaty, wie, że ją tam czeka woda ziemniaczana i łupiny z hameryków. Ho, ho, moja Stara mądra. To ci ona mnie zbudziła, gdy Wtorucha wpadła do paryi!

Zosia zwróciła się do Wtoruchy.

— Oj, ty zbytnico, cóżeś nam narobiła. A tak się dobrze zaczynał dzień.

— Dobrze się zaczynał — poświadczył chłopiec — i westchnął.

— Jaś, prawda, że nikt nie wie, skąd nieszczęście przyjdzie?...

— Nikt! — szepnął.

Chłopiec poddawał się wpływowi dziewczynki, a ona bezwiednie uczuwała przewagę nad nim.

Deszcz równo, cicho i spokojnie padał. Na

wielkich błoniach mgła wyglądała z trawy, czołgając się nizko. Deszcz ją bił, a zimno dusiło. Szare chmury nizko zwieszone nad ziemią, cienkie strugi deszczu, żółta woda rozlewająca się szeroko po błoniu i na wielkiej płaszczyźnie dwoje dzieci, uginających się pod ciężarem zmoczonych chust, posuwało się wolno pod górę. Zmęczona Wtorucha stanęła.

— Lećże do naszej chaty — odezwała się Zosia do chłopca — i czekaj na mnie.

— A nie gnajże Wtoruchy przez wąwóz, bo gotowa ugrząść.

— Obejdę dokoła pastewnik.

— Z żurem zaczekamy, póki nie wrócisz — dodał Jaś i popędził na dół.

— Ino mnie zostawcie! — wołała.

Zwróciła się do Wtoruchy.

— Narobiłaś głupia wielgiego kłopotu. Potrzebnie ci było zaglądać do paryi. No, chodź — jak zobaczę zdala Biedronia, ucieknę. Mógłby mnie sprać... Pewno ci se włosy wydziera ze łba. A coby nie, kiej za grajcarem gotów do studni skoczyć... Dalej, zbytnico, ruszajże się raźniej.

Wtorucha nie usłuchała. Musiało ją mocno boleć, co uszła parę kroków ustawała i, spoglądając miłosiernie na Zosię, jęczała.

— I cóż ci poradzę? Będziesz wiedziała na drugi raz.

— Ja-siu! Ja-siu! — piskliwy głos przedzierał się przez strugi deszczu.

— Kunda nawołuje — chwała Bogu!

— Tutaj, tutaj, hop, hop — odpowiedziała dziewczyna.

Z poza ściany szarej mgły, od strony wąwozu, w spódnicy zarzuconej na główę, koszuli po kolana biegła Kunda. Wtorucha, gdy ją ujrzała, zwyciężając ból, pobiegła truchtem.

— Jesteście, Wtorucha żyje, Bogu dzięki. Gdzie Jaś? — mówiła Kunda, ocierając spódnicą spoconą twarz.

— Jaś skrył się w naszej chacie, gadajcie, że u organisty.

— Dobrze zrobił, u nas sądny dzień, stary się wściekł, stara ręce łamie, jak gdyby wszystkiego mieli jedną krowę... Czy to sumienie na taki czas wyganiać chłopaka z izby. Ja ci mówię, Zośka, że oni bez tę chciwość kiej niebądź zabiją go. Bo to chłopaczysko mizerak, zalękliwy, zapatrzony, chudziak, a ci go gnają bez odpoczynku i miłosierdzia. Pies u nich siedzi w izbie, a jedynak na słocie.

— Gnają go bez miłosierdzia — poświadczyła Zosia.

— U was mleka mało — rzekła Kunda.

— Stara ci więcej nie da, jak pół kwarty.

— Przyleć po zachodzie słońca za stodołę pod trzy olsze, znajdziesz garnuszek mleka i kromkę chleba. Będzie dla Jasia i sama się pożywisz.

— Bóg zapłać, Kunda. Ty go lubisz? — spytało dziecko.

— Rósł na moich rękach. Powiedz mu, niech u was siedzi choćby tydzień. Jak te chciwce poczują sieroctwo, zmiękną!...

— Dobrze!

— Bądź zdrowa, deszcz pierze aż miło. Nie miałam czasu płachtą się okryć, tak się stara na mnie darła.

Kunda zwróciła się do Wtoruchy.

— Ruszaj, ty łajdaczko! — krzyknęła — z tobą ino wciąż utrapienie. Bodajeś się zapadła...

Zosia nie słyszała potoku słów płynących z ust Kundy, uradowana leciała do domu. Dzwoniło jej ciągle w uszach: »wieczorem za stodołą pod trzema olszami«... A potem: »Jaś cały tydzień w sianie, aż stary poczuje sieroctwo i zmięknie«.

Wpadła do izby. Na kominie obrócony plecami do ognia siedział Jaś, trzymając w rękach garnek gorącego żuru. Trząsł się z zimna. Go-

spodyni tłukła warząchwią w misce ugotowane ziemniaki.

— Kunda odebrała Wtoruchę — zawołała zdyszana, — pochwaliła, żeś uciekł, kazała przyjść wieczór pod trzy olsze po mleko i chleb dla ciebie i powiedziała, żebyś tydzień u nas siedział, póki starzy dobrze nie zmiękną.

Jasiowi oczy świeciły, odetchnął, spojrzał weselej.

— Walna Kunda — dodała Zosia, — ona się i samego dyabła nie zlęknie.

— Ona i tatusiowi nie przepuści — dodał Jaś.

Dziewczynka zrzuciła z siebie płachtę, przygładziła rękami włosy i siadła obok Jasia na kominie.

— A teraz, matsiu, dawajcie jeść, bo padnę.

— Zaraz, moje dzieci, migiem, ino ziemniaki posolę. Kunda walna — poświadczyła.

— A pijże, gapiu, żur, bo się roztrzęsiesz — nalegała Zosia, przysuwając garnek do ust chłopca.

Jaś, mimo że mu szczęki latały, pił. Tymczasem matka postawiła między nich miskę z ziemniakami i łyżki, córce wsunęła do rąk drugi garnuszek żuru, sama siadła na ławie obok nich.

Zaczęła się uczta, dzieci opowiadały szczegó-

łowo przygody Wtoruchy, nie bez odrobiny dla efektu tragiczności.

Coś plusnęło przed chatą, Jaś drgnął, Zosia zeskoczyła z komina, matka wyjrzała przez zakopcone szybki.

— Nic, nic, moje dzieci, nikogo — żywej duszy, ale stary może nadlecieć. Idźcie już na siano, Zośka niechaj drabinkę wciągnie za sobą!... Jaś, zakop się głęboko, bo cię zimno trzęsie. Zośka, otul go i daj pozior na chłopca. Bogacz, a takie nikłe i zbiedzone.

— Matsiu — odparła Zosia, — ja przecież dbam o niego, jak o oko w głowie. Wydaje mi się ciągiem, że Jaś sierota, a my go przytulamy — szczebiotała dziewczynina, gdy chłopiec miłosiernie spoglądał na sień i drabinkę, przystawioną do otworu w górze.

— Ja pierwsza, ty za mną — dała rozkaz, rada i szczęśliwa.

W otworze znikły dzieci, za niemi drabina. Tuż przy kominie wygrzebała w sianie dół. Pierwszy wsunął się Jaś, za nim Zośka. Naciągnęli na siebie siano, objęli się w pół i przytulili.

— Zośka — szeptał chłopiec, — ty jesteś dobra, gdyby nie ty, coby ze mną było, gdziebym się podział?...

— Mówię ci, Jaś, że ja jestem okrutnie dobra, a *la* ciebie najlepsza. Śpijże se teraz przytulony do mnie, nastrachałeś się dosyć — i z tego strachu zimno cię trzęsie.

Dzieci, tulące się do siebie, zasnęły.



II.

Wtorucha z Kundą ukazały się we wrotach obejścia Biedroniów. Stary wypadł ze stajni, na chudą, pomarszczoną jego twarz buchnęły ognie, oczy mu zaświeciły radością — przypadł do Kundy.

— Kuleje — zawołał, łamiąc ręce.

— Więc cóż? a gdyby zdechła lub nogę złamała — odparła Kunda. — Dziękujcie Bogu że ino kuleje...

— Gdzież jest ten hycel?! — wrzasnął.

— Wiem ci — może się ze strachu utopił, abo powiesił. Spotkałam Wtoruchę na Bartkowym wygonie...

— Samą?...

— Z wójtem, organistą i gospodynią księżą.

— Milcz! — krzyknął Biedroń.

Wtorucha kulejąc poszła do stajni, za nią Kunda i stary. Wytarł ją wiechciem, okrył płachtą, na płachtę rzucił kożuch. Rozpieszczona krowa pomrukiwała żałośnie.

— Jeszczei ty, klempo, skarż się na biedaka, co cię może wyratował od śmierci!... podwódź, buntuj — dogadywała Kunda, rzucając krowie wiązkę koniczyny. — Wszyscy na sierotę, cały świat, a biedakowi może już ciałko ostygło na sznurze, abo je rybki skubią w stawie — zaszlochała głośno.

Stary Biedroń chciał zakląć, lecz serdeczny płacz Kundy stanął mu w gardle i zadławił. Nie mógł słowa wymówić.

— Leć, szukaj parobka, Hankę i gospodynię — odezwał się, udając spokój.

— A kto krowę wydoi? Chcecie doić sami?

Stary nic nie odpowiedział, zdjął z Wtoruchy kożuch, odwrócił go do góry włosem, baranią czapkę nasadził na uszy i mrucząc wyszedł...

Kunda przypadła do żłobu, wygrzebała ukryty w słomie garnuszek, wydoiła w niego Wtoruchę, garnuszek schowała.

— To dla chłopaka, a reszta chciwcy la was.

Wzięła skopiec, usiadła na stołeczku i zawodząc żałośnie doiła.

Za chwilę wpadła do stajni gospodyni, za nią Hanka i Kuba, parobek.

— Gdzie chłopak? — wrzasnęła.

— Mięknie na deszczu — był-ci twardy jak żelazo, abo mosiądz.

— Gdzie Jaś?!...

— Cóż się tak drzecie? — Czy to ja wyganiałam?

— Gdzie mój syn?

Kunda czerwona z wściekłości zerwała się, umyślnie wylewając mleko ze skopca.

— A mnie co do waszego chłopaka? Nie godziliście mnie do niego na gubernantkę!... A to skaranie, sami go zgubili, a teraz huzia na mnie.

Siadła na stołku i dalej mrucząc doiła.

Gospodyni zacisnęła ręce ze złości, a z żalu zaczęła płakać. Zrzuciła chustkę z głowy i krzycząc z całych sił włosy targała. Parobek ją uspokajał, a Hanka, podniósłszy rzuconą chustkę, wdziała jej na głowę

— Ludzie, szukajcie mi dziecka! — krzyczała.

Wszedł Biedroń.

— Cicho stara, ty włosy drzesz, a on siedzi u tej dziadówki i żur chlapie — uspakajał żonę.

— Nie taki on głupi, żeby odlatywał od takiego bogactwa — przyświadczał parobek.

— Dużo ci ma z tego bogactwa — mruknęła Kunda.

— Słuchajno ty, suko — odwrócił się ku niej rozżarty Biedroń, — jeśli mi raz jeszcze szczekniesz, to ci wszystkie zęby wybiję. Ty mi chłopaka buntujesz i nas podwodzisz, ty go garniesz do siebie, aby po naszej śmierci panować na moich śmieciach. Ty mu schlebiasz i dla niego okradasz nas. Ale dosyć już tego, rozumiesz?...

Przyskoczył z pięściami.

Kunda, zerwawszy się, rzuciła mu stołek pod nogi i cofała się do żłobu, zasłaniając się skopcem mleka. Buchnęły na nią ognie, ręka trzymająca skopiec drżała, chwiała się, a wszystko z niego mleko chlusnęłaby w twarz staremu.

— Kradnę — wrzasnęła, — kradnę dla niego, bo gdybym nie kradła, zagłodzilibyście go! Ja pójdę i służbę znajdę, choćby we dworze, ale wy go nie uchowacie i całe wasze gospodarstwo pójdzie na marne, na psy, na pijatykę i zbytki ludzkie... Ja was przeżyję i wtedy dopiero będę się śmiała!... ha, ha, ha!...

Kunda śmiała się nerwowo. Biedroń bał się proroctw. Stał przerażony, nie śmiejąc kroku zrobić.

— Szukajcie mi dziecka — zajęczała, zawodząc Biedrońka.

Jęk zbudził starego, otrząsł się, zebrał myśli, skinął na parobka — wyszli.

— Siadaj na szkapę i leć do organistów, a potem do chaty Tyksinej, skradaj się jak lis, bo pewnikiem baba mi go kryje. Wracając, objedź...— zatrzymał się, nie śmiał dokończyć.

— Wszystkie krzaki — dodał parobek.

— Gdzie chcesz, bylebyś mi chłopaka dostawił.

— Niech ino się dowiem, gdzie jest, to go z pod ziemi wykopę — dokończył Kuba, wyprowadzając ze stajni dziarskiego mierzyna. Skoczył, zachlupało w wodzie, wesoły konik ruszył z kopyta.

Biedroń patrzał na młodą szkapę z upodobaniem i miłością, dopóki nie zniknęła za rzędem wierzb, zasłaniających drogę. Wrócił do obory, przywołał starą, poszli do chaty zamykając drzwi za sobą.

— Jak go ino złapę, to mu tak zerżne skórę...

— Tybyś ino rżnął — zawołała gospodyni.— Rżnąć, rżnąć, a chłopczysko ze strachu radeby się pod ziemię skryć. Ty go nie odchowasz. Jak kiedy wpadniesz w złość, to mi go uśmiercisz na miejscu. Kunda mówi prawdę.

— Kunda szelma, rozzuchwaliła się okrutnie

i pysk rozpuszcza, jak dziadowski bicz, za nic nas nie ma.

— Ale chłopaka kocha więcej, aniżeli ty.

— Więcej? — powtórzył Biedroń, — a kto więcej od świtu do nocy haruje?... Kto se od gęby odejmuje i pcha w ziemię. I la kogo?!... Ale żeby moja ciężka praca, mój dobytek poszły na marne i przez tego ciemięgę rozlazły się...

Stary się zerwał i pięść w górę podniósł.

— Cicho, cicho — uspokajała go żona — już cię wściekłość ogarnia.

— Ze strachu, że ciężka praca moja pójdzie na psy, kawał świętej ziemi wydrapany memi pazurami, może się dostać żydowi. Tego się boję, chłopak nieglaźny, gap, miękki dla ludzi, gotowi go obedrzeć i zmarnieć mój dorobek. Jeśli tak — wrzasnął, — niech lepiej zginie, niech mi z oczu zejdzie, niech przepadnie!

Gospodyni pochwyciła go za rękę i siłą ściągnęła na dół.

— I znowu złość ci przez ślepia krwią wyłazi! A toć przecie jeszcze dziecko, ledwo dziesięć lat, głupie, nikłe, nijakie.

— Młody Trznadel mało co starszy od niego, a jużby żyda oszukał.

— Trznadelek tęgi chłop, bary u niego, jak

u starego... A tobie takiego Pan Bóg dał i musisz takiego przyjąć.

Biedroń siadł, na chudej jego twarzy widać było znużenie. Pomarszczona, żółta skóra, oczy wsunięte głęboko, szczęka podana naprzód, usta wązkie, zamknięte, nad niemi sterczące, płowe wąsięta i rzadkie, pomirchane włosy, robiły wrażenie człowieka, pożeranego przez pracę. Zgięte plecy ciężko mu było wyprostować. Położył rękę na stole, chudą, szeroką, spaloną, posiekaną kreskami, o twardej, jak skóra, dłoni. Zamyślił się, w oczach migotały światełka, na szerokiem czole przebłyskiwały myśli. Rysy twarzy mieniły się, jak u człowieka nerwowego, którego walka i obawy dręczą nieustannie... Milczał, zacisnął dłoń i bił pięścią w stół. Gdy odpoczywało ciało, pracowała myśl.

Gospodyni, podparłszy głowę ręką, wpatrywała się przez okno we wrótka obejścia. I u niej stwardniały uczucia w ciężkiej pracy i walce, i ona, nie mając litości nad sobą, nie odczuwała jej dla drugich — mało jej zostało dla syna. I ją gniewała i niepokoiła niezdarność chłopca, jego słabość dla ludzi i długie zapatrzenia.

— Zapatrzony — powtarzała w tajemnicy

przed mężem, chcąc przed sobą samą wytłómaczyć tę odrobinę słabości, jaką miała dla dziecka.

Zadudniało na drodze, kobieta przyłożyła twarz do szyby, Biedroń się zerwał i przysunął do żony. Za chwilę na dziedziniec wjechał parobek, małżonkowie wybiegli.

— Jak kamień w wodę — rzekł Kuba sucho, zeskakując z konia, — koło świerczyny widać świeże palenisko, a o dwa może stajania Wtorucha ześliznęła się do paryi. Na glinie odciśnięte racice i osunięta ziemia.

— Byłeś na dnie? — spytał sucho Biedroń.

Gospodyni ręce załamała.

— Stałbym w miejscu, jak głupi? Szkapę uwiązałem, a sam obszedłem parę.

— I cóż?

— Jakby się w ziemię zapadł.

— Zaglądałeś do organistów?

— Ostrożnie — dzieci się bawią same.

— U Tyksiny.

— Wleciałem raptem jak wicher do izby, aż się baba przeżegnała i powiedziała mi, że ona ani swojej dziopy, ani Starej na takie zimno nie wygnałaby na Boży świat...

— I ta szelmowska dziadówka pyskuje — mruknął Biedroń i zawrócił do izby.

Gospodyni poszła za Kubą do stajni.

— Cóż teraz będziemy robić? — zapytała żałośnie parobka.

Kuba się zbliżył do niej i szeptał:

— Ja se miarkuję, że jedna Kunda wie, gdzie Jaś. Tylo, że z nią złością nic nie wskóra.

— Cóż, mam ją miodem smarować?

— Przypochlebić, dać jaki podarunek, bądź co.

— A skądże ty miarkujesz, że ona wie?

— Miarkuję la tego, że jakby Kunda nie wiedziała, co się z chłopakiem dzieje, to takieby breweryе wyprawiała za nim, że stajnieby rozwaliła i wszystkie włosy ze łba se wydarła.

— Prawda — poświadczyła.

— Ona przecie wierzy, że Jaś nie wasz, tylo jej rodzony. Bo też po prawdzie ona go wychowała.

Gospodyni stała zadumana, rada wierzyć, że chłopiec żyje i że tylko schowany. Przemyśliwała, jakimby sposobem ująć Kundę i wydobyć od niej wiadomość. Miłość do jedynaka walczyła w niej z wrodzonem skąpstwem. Bała się starego, lecz i sama nie lubiła rozdawać.

— Trzebaby jej cosik ochfiarować — dodał cicho Kuba, — bo inaczej jak się zatnie, ani piśnie. Ja ją znam i gospodyni ją znają.

— Ale co? — spytała mimowoli.

— Co? ha, ha — zaśmiał się Kuba. — Jednę skrzynię ze strojami, jedno ciele z obory, jedno prosię z chlewa... Was chyba nie zaboli głowa, co wybrać z tego bogactwa?!...

— Głupi — szepnęła, odchodząc obrażona — abo to wszystko moje?...

— Obojeście jednacy — wołał za odchodzącą Kuba.

Biedroń w izbie siedział chmurny. Pewno pierwszy raz w życiu nie miał ochoty do pracy.

— Marcyś — odezwała się żona — mówią, że Kunda wie, gdzie chłopak, bo inaczej waryowałaby za nim, ale ci darmo nie powie.

— Kości szelmie połamię, nim jej co dam...

— Ucieknie, a znajdź lepszą do bydła i trzody?...

Biedroń uderzył pięścią w stół i zamilkł. Kunda miała wielkie szczęście do bydła i przed niem należało się ukorzyć...

Chmury zwolna dźwigały się w górę, deszcz jeszcze siał, lecz drobny. Ociepliło się, z poza ciemnych olbrzymów przekradał się południowy wiaterek, otrzepując wodę z liści i kłosów zbóż. Zbite w górze chmury rozpadały się, kłębiły, tworząc szczeliny, przez które wyglądały skrawki nieba, a czasem i promyk słońca. Ptaki ukryte

w wierzbach zaświegotały wesoło, bocian z gniazda powstał, zatrzepotał skrzydłami i zleciał na łąkę, pszczoły wysyłały na zwiady szpiegów, jaskółki zaczęły uganiać po dziedzińcu. Ożywiło się, białawe płachty coraz mniejsze zajmowały miejsca. Na jasne niebo wypłynęło słonko białe, krągłe, palące — świat się zaśmiał radością.

Biedroń nasadził czapkę na głowę, wziął trzcinę i machnął nią w powietrzu. Zrobił się świst, gospodyni ręce złożyła, jak do modlitwy.

— Marcyś, bój się Boga, pamiętaj, że to twoja krew, twój dziedzic.

— Jedyny — dokończył Biedroń, — i la tego trzeba go uczyć rozumu, aby nie zmarnował mojej krwawicy. Gdyby mi ją zaprzepaścił...

Wpadł w wściekłość.

— Gdyby mi ją zaprzepaścił, niech pierwej zginie.

Wybiegł z chaty.

— Marcyś — wołała za nim żona — bój się Boga, to przecie jeszcze dziecko.

— Ja z niego zrobię chłopa — mruczał z zawziętością.

Obrócił się ku stajni.

— Kunda, wyganiaj bydło! Kuba z końmi... w pole!

Minął bramkę, brnąc środkiem drogi po błocie.

— Złapiesz go — szeptała Kunda, stając we drzwiach obory, — zobaczymy. Jakbyś złapał, tobyś z niego chciał skórę zedrzeć. Ale ja jeszcze żyję i mam głowę na karku.

Kuba wyjechał na bułanym, prowadząc obok trzy rosłe szkapy. Kunda wygoniła bydło. Wtorucha nie chciała wyjść ze stajni. Leżała, postękując i drzemiąc.

— A zostań, szelmo — zawołała Kunda, — ja cię przyniewalać nie będę, ale i jeść ci nie dam za to, żeś mi chłopaka zaprzepaściła...

Na błoniu było tłumnie, wesoło i gwarno. Wielka moc bydła i roje dzieci rozbiegło się po zielonej murawie, grzały się na słońcu, śmiały i bawiły... Stado łakomych wróbli za niemi goniło, czatując na okruszyny chleba, jaskółki krążyły nad ich głowami, promienie słońca złociły ich jasne włosy, podnosząc czerwień spodnic i gorsetów. Czuć było pogodę i radość w naturze, udzielającą się zwierzętom i dzieciom.

Biedroń jej nie odczuwał. Chmurny, zły, zamyślony, wpadł do organistów, zabawił chwilę i wyszedł.

Zosia wyprowadziła swoją Starą na błonia, trzymając się zdala od bydła. Z poza wielkiego parowu wynurzyła się Czarnula, prowadząc dwie wielkie jałowice, za niemi szła Kunda. Dziewczynina podbiegła ku niej.

— Mleko jest — szepnęła dziewka. — Oni patrzą, ale żeby ślepia wypatrzyli, nie upilnują. Cóż Jaś?

— Trzęsło go okrutnie!...

— Co go nie miało trząść — z samego strachu...

— I z umęczenia — dodała Zosia. — Ale ci teraz śpi, jak kamień.

— Powiedz-że mu, żeby z góry nie złaził; stary się wścieka, gdyby go dziś dopadł — dałby mu. Niechże zmięknie.

Kunda się obejrzała.

— Widzisz go, leci jak opętany, odsuń się ode mnie, boby zaraz zmiarkował. Ma ci on ślepia jastrzębia, a węch lisa. To cały lis.

Zosia dopadła Starej i głaszcząc ją i pieszcząc udawała, że się z nią bawi.

Biedroń jednym rzutem oka odgadł spisek.

— Chłopak u Tyksiny — pomyślał. — Nigdzie, tylko tam, inaczej dziopa jej na mój widok nie odlatywałaby od Kundy.

Przeszedł przez środek błonia wymachując

trzciną. Dzieci przestały się bawić, wpatrywały się zdziwione w pochmurną twarz bogacza, cofając się ze strachu przed ponurem jego wejrzeniem. Oniemiałe spoglądały za nim, póki im z oczu nie zniknął.

Kunda przywołała Zosię.

— No, żeby dziś — mówiła — dostał chłopca w swe łapy, duszę wygnałby z niego.

— Ale nie dostanie! — zawołała tryumfująco Zosia.

— Niech go Bóg strzeże.

Biedroń obejrzał spalenisko i za śladem racic Wtoruchy poszedł na samo dno paryi. Idąc środkiem strumienia rozglądał się uważnie po wszystkich drzewach. Stawał, oddech w sobie zapierał, słuchał i patrzał. Czaił się jak kot, skradał się jak dzikie zwierzę, — napróżno!... Tylko go dzięcioł zwodził, sowa oszukiwała, kos kusił — żywej duszy w lesie nie było.

— Nigdzie, tylko u tej czarownicy — powtarzał, idąc dalej brzegiem strumienia do samego Przylasku. Tu odpoczął uspokojony.

— A gdyby iść do wójta i rewizyę zrobić u Tyksiny?... Chłopak zagrzebie się w siano i znajdźcież go? Niema rady, tylko podejść w nocy, lub nad ranem, inaczej się go nie dostanie...

Ściskał trzcinę w ręku, gniew burzył w nim krew.

— Dla kogóż to pracuję, od gęby se odejmuję — la kogo?!... Ludzie nazywają mnie skąpcem, a ja nic, ino skrawek do skrawka świętej ziemi skupuję i składam do kupy — la kogo?... Tego ze sobą nie zabiorę — westchnął — wszystko la niego. Ale żeby ten dureń miał moją pracę zaprzepaścić!?...

Zerwał się wściekły. Myśl ta straszyła go jak widmo, szarpała nim, dławiła. Nie mógł się jej pozbyć — ciągle wracała. Czuł, że chłopiec był dobry, łagodny, uczynny, litościwy, miękki. Tacy się nie dorabiają, a on pragnął, żeby syn jego po jego śmierci skupił dwa razy tyle, trzy razy, cztery...

— A jakby mu łatwo poszło, gdyby tylko chciał...

Nieśmiałe myśli zmieniały się w gorące pragnienia, pragnienia przeobrażały się w niepohamowaną namiętność.

— Może nie dożyję — szeptał, — ale za to z góry będę patrzał i muszę zobaczyć syna mego panem! Panem?! — zawołał, — a on może zostać dziadem?!...

Zaczął uciekać od tej myśli.

— Boże zlituj się nademną, bo się wścieknę

i własne ciało gotów jestem kąsać, a własną krew udusić.

Znanemi ścieżkami skradając się, dopadł z przeciwnej strony do chaty Tyksinej. Zajrzał raptownie przez okno, kobieta, udając wystraszoną, krzyknęła. Stary wszedł do izby i siadł na ławie.

— Chłopak mi przepadł, ludzie mówią, że się u was kryje.

Kobieta najspokojniej przeżegnała się.

— Jeżeliście mi ukradli syna, to za to pójdziecie do haresztu, bo nie wolno kraść cudzych dzieci, a za to, żeście mi ukradli syna i pastucha, to za każdy dzień zapłacicie mi po trzy szóstek. Kunda za niego pasie. Abo mi dziś chłopaka odeślecie do domu, abo sąd.

Kobieta jeszcze raz się przeżegnała z tym samym spokojem. Spokój ten przestraszył starego, lecz się nie zdradził.

— Jak się wam podoba, trzymajcie go tak długo, póki starczy morgi waszego gruntu, chaty i krowy. Bądźcie zdrowi!

— A czy ja nie wiem, że wy ino czyhacie na moją morgę — zawołała Tyksina, czerwona z gniewu, — ale choćbyście mi za nią dukatami ten stół nałożyli, nie dam. A jeżeli wam znowu pilno skatować chłopaka, to przetrzą-



śnijcie moją budzinę, ziemie pod nią skopcie, znajdźcie i skórę z niego zedrzyjcie!...

— A któryż to ojciec krzywdę swemu dziecku zrobił? Co? — wrzasnął Biedroń.

— Bodajbyście byli tak zdrowi...

— Cicho — przerwał Biedroń.

— Kiej się wam nie podoba mój głos, to go nie słuchajcie. Ja tu na swoich śmieciach pani.

— Wielga?!...

— Taka jak wy na swoich. A może i lepsza, bo gdy se na nich legnę, to usnę i sumienie mną nie targa.

— A mną targa!...

— Jeżeli już do cna skwargniało, to może i nie.

Biedroń spojrzał tak, że aż kobiecie strach ścisnął serce, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Tyksina patrzała za nim przez zakopcone szybki i gdy skręcił na drogę, załamała ręce.

— I co teraz? Chciwiec gotów mnie wodzić po sądach i zedrzeć do koszuli.

Chciała się dostać na górę, zobaczyć, co się dzieje z chłopcem, nie było drabiny. Bała się.

— A nuż Biedroń czatuje za węgłem.

— Trzeba czekać zmierzchu, niema rady...

Zarzuciła chustkę na plecy, wyszła z izby, chałupę obeszła dokoła i ścieżkami wijącemi się wśród krzaków pognała do kumy, a siostry nieboszczyka męża.

Kuma w polu podbierała ziemniaki. Usiadły sobie na zagonie.

— Pono chłopak Biedroniów zaprzepaścił się ze strachu o Wtoruchę...

— I cóż wy na to? — spytała Tyksina.

— Że mi żal dziecka, bo dobre, przychlebne, a jakieś nikłe. Ale, że tego chciwca ukarał Pan Bóg, to mu dziękuję.

Złożyła ręce.

— Powiem wam cosik, ale przysięgnijcie...

— Może polecę z pyskiem do Biedronia?!— żachnęła się.

—No, no, nie gniewajcie się, ale się okrutnie boję. Jaś schował się u mnie przed starym i śpi zagrzebany w sianie na górze.



—To dobrze!

— Biedroń miarkuje, był u mnie, odgrażał się są-

dem. Obiecuje zabrać moją morgę i wygnać z chaty.

Kuma się zerwała.

— Niech spróbuje, morga przepisana na Zośkę. On-by chciał grunta całej gminy zagarnąć pod siebie. Tylo ty z nami nie zadzieraj!— groziła pięścią.

— Radźcie kumo — przerwała Tyksina. — Gotów wójta sprowadzić, rewizyę zrobić...

— Chłopaka do mnie — krzyknęła, — ja ci go skryję, że się wścieknie, a nie znajdzie do sądnego dnia.

— Żeby tylko ludzie nie widzieli, żem była u was.

— Którędy leciałaś?

— Krzakami.

— I boisz się?... Jak słonko zajdzie, kiedy dziewki będą doić, a parobcy zadawać bydłu, przyprowadź go, wtedy żywej duszy na polach nie ujrzysz.

Tyksina odetchnęła, chłopaka nie odda, a odpowiedzialność z siebie zrzuci.

— Bo to i wy kumo nie cierpicie Biedronia?!... — rzekła.

— Jabym z niego duszę wywlokła za tę morgę łąki. Stary mój lubiał kieliszek. Biedroń znosił pieniądz, on pił i przepił. Co ci na niej

za trawka, jakie pokosy! Ale ja ci mojej ojcowizny nie daruję, choćbym miała w piekle gorzeć — zawołała, i pochylając się do Tyksiny, dodała cicho: — Chłopak przylgnął do waszej Zośki.

— Bójcie się Boga — szepnęła Tyksina.

— Boję się i la tego trzeba, żeby się nie odczepił — słyszycie.

— Słycham, młode to i głupie.

— Trzeba, żeby, jak zmądrzeje, nie odczepił się.

— Kumo, nie gadajcie, bo możecie na moją głowę wielkie strapienie zwalić.

— Wiem, co gadam, bo jak Zośka zostanie panią na dwudziestu morgach, to się strapienia skończą.

— A Biedroń, a stara... rety, co wy nie wygadujecie.

— A bo to Biedroń wieczny? A jak ślepia zamknie na amen, Jaś bierze wszystko, Jaś wtedy pan, Zośka pani.

— Kumo!...

— Cicho, kiedy chłopak sam przyszedł, to niech zasmakuje u nas.

— Dziopa, moje maleństwo, głupia.

— Wyrośnie i zmądrzeje, a teraz trzeba nam obom mieć rozum za nich dwoje. Będę poma-

gać — kończyła szeptem, — ale czy Zośka odda mi moją łąkę?!.,.

— Zośka już taka przyszła na świat, że niczyjej krzywdy nie żąda. A i Jaś chłopczyna do rany przyłóż.

— To ja wam powiem, że dzieci te Pan Bóg na to stworzył, aby krzywdy Biedronia odrobiły.

Tyksina załamała ręce.

— Na moje nieszczęście.

— Jak Bóg da! Czy tylko źli mają na świecie rządzić?!... Może kolej i na dobrych przyjdzie.

— Cicho, cicho, głowa mi puchnie. — Tyksina się zerwała.

— Miejcie tylko rozum, ja wam pomogę i dobrze wszystko pójdzie. Chłopaka przyprowadźcie sami...

Tyksina niespokojna, wystraszona, wracała do domu. Błyskawice nowych myśli oświecały jej drogę. Może mi go Pan Bóg zesłał, może Najświętsza Panienka ulitowała się nad sierotą. Ale jak se wspomnę, to mnie ciarki przechodzą... Moja Zośka synową Biedronia—o rety!

Zaczęła biedz z całych sił, wpadła do chaty, drzwi od sieni założyła drągiem, okno zasło-

niła! płachtą, wyniosła stół i przystawiła go do otworu góry — wlazła.

Tuż przy kominie, przykryty sianem spał chłopak, oddychał ciężko, czerwony był i rozpalony.

Kobieta położyła rękę na jego czole. Zbudził się i wystraszony skoczył.

— I czegóż się boisz, toć ja przecie...

— Zwidziało mi się, że tatuś z trzciną stoją nademną — szepnął chłopiec.

Tyksina pociągnęła go ku sobie i przytuliła. Jaś gorącą głowę oparł na jej piersiach.

— Brońcie mnie przed tatusiem — prosił się.

— Gorąco bucha od ciebie.

— I nożyska mnie bolą — dodał.

— Boś się zlatał i nastraszył Wtoruchą. Wyleż się, wyspij...

— Tatuś przyjdą, zabiorą i zbiją mnie.

— Chciałbyś zostać z nami?...

— Oddam im całe bogactwo, byle ino mnie nie zabierali od Zośki i od was, matusiu.

Tyksinie serce zabiło radośnie, oczy jej zaświeciły.

— U nas bieda, moje dziecko.

— Wolę biedę z wami, jak bogactwo tatusiów — odpowiedział smutnie.

— To ty lubisz moją Zośkę?

— A ino — szepnął. — cóżbym jej nie miał lubić. I was lubię.

— A bez co?

— Bez co?... A bez cóż? — dobrzyście — i już.

Umilkł, oczy zamknął, głowa mu opadła...

— Pić mi się okrutnie chce, żebyście mi, matusiu, wody podali.

— Nie chcesz wracać do chaty?

— Oj, nie, nie... za nic...

— Wyszukałam ci dobre schronisko. — Pójdziesz do Marcinowej?

— Pójdę — odparł — jak se odpocznę, zesłabłem do cna.

Zsunął się z kolan Tyksiny na siano.

— Pić! — prosił się.

— Bójże się Boga, Jaś. Jeszczeby tego brakowało, żebyś mi się rozchorował.

— Nic mi nie będzie — mówił cicho — ino se muszę spocząć. Tatuś zaraz przecie nie przyjdą. A teraz, matusiu, pić... pić...

Tyksina zeszła z góry, nabrała w garnek wody i zaniosła chłopcu. Pił gwałtownie i długo, potem się wsunął w siano i znowu zasnął. Na twarz wystąpiły mu rumieńce.

Kobieta patrzała na niego z upojeniem dumy, lecz zarazem i wielkim strachem.

— Dziej się wola Boga—przecie mnie, dziopy i chłopaka nie zabije? Dałabym ci się jeszcze bić, ty krzywdo ludzka.

Zeszła z góry, stół wniosła do izby, płachtę z okna ściągnęła, w ogrodzie nakopała ziemniaków i skrobiąc je, śpiewała: »Kto się w opiekę«.

Przed samym wieczorem przeleciał Biedroń, zajrzał przez okno, popatrzał i odszedł.

— Ręka cię świerzbi, drabie, i niecierpliwość zbiera do skóry chłopaka, ale se poczekasz, póki nie zmiękniesz, póki ci krew nie ostygnie, ochota nie odejdzie. Poczekasz se, Marcinowa nie głupia, jak ci ona go schowa, możesz szukać i cały rok...

Pieśń »Kto się w opiekę podda Panu swemu« wylatywała przez otwarte okno na drogę, tułając się wśród krzaków, — oskrobane ziemniaki wpadały do cebrzyka, rozpryskując w nim wodę. Zdaleka słychać było wesoły ryk bydła, przebijający się przez hałaśliwy świergot ptaków, żegnających słońce.

Przez otwarte okno wścibiła łeb Stara, oblizując się łakomie, a drzwiami wbiegła Zosia.

— Cóż? — rzuciła pytanie.

— Marcinowa bierze do siebie Jasia.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

— Chwała Bogu, zajrzę do niego — podsadźcie mnie.

W sionce matka wzięła ją na ręce, uniosła w górę. Dziewczynina w dwóch susach była na strychu. Niedaleko komina zobaczyła wychylającą się z siana głowę Jasia. Położyła się tuż przy nim, przysunęła, objęła go za szyję i pocałowała.

— Biedne chłopczysko, takie bogactwo, a tyle już utrapienia.

Przyłożyła mu rękę do twarzy i pogłaskała pieszczotliwie.

— Rozgrzał się, że aż skóra pali i śpi okrutnie.

— Jaś — szepnęła, Jaś! — zawołała.

Zaczęła wstrząsać go za ramię.

Chłopak spał, oddychając ciężko. Dziewczynina palcami otwierała mu powieki, żeby przecie spojrzał na nią.

Otwarte oczy chłopca nic nie widziały. Przestraszyła się.

— Cosik jest — szepnęła, — bo gorąco od niego bije. — Jaś! — zawołała i szarpnęła nim ciągnąc go za rękę.

Chłopiec oczy otworzył, chciał się zerwać, lecz padł na siano.

Chciała go ratować, lecz nie umiała, straciła głowę.

Zatargała z rozpaczy włosy, spuściła drabinkę, zbiegła po niej, wpadła do izby.

— Jaś oczu nie może otworzyć, rozpalony na węgiel — załamała ręce.

— Tylko z umęczenia i strachu — tłómaczyła matka. — Chłopak delikatny, nikiej pańskie dziecko.

— Ratujmy go! — zawołała z płaczem, oburzona na spokój matki dziewczyna.

— Dziecko, choroba musi swoje przejść.

— Może już czas po mleko lecieć? Polecę, wypije, to go skrzepi.

— Leć, nim zalecisz, zrobi się ciemno. Skręć na Sobkową drogę.

Zosia, zarzuciwszy matczyną chustkę na ramiona, wybiegła.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca kładły się na ziemię, jak do snu i nikły. Został po nich na niebie złotawy skrawek, malał i zgasł, tylko srebrna jasność rozlała się szeroko i świeciła. Dziewczyna rada była jasności. Biegła żywo, oglądała się poza siebie, przytulała się do drzew, gdy usłyszała odgłosy stąpań ludzkich, i znowu mknęła dalej, jak duch lub cień.

Skręciła na Sobkową drogę i odetchnęła Z Sobkowej drogi na Biedroniową łąkę bliziutko, a tuż nad nią trzy olsze. Dopadła do olsz. W pośrodku świeciło białe mleko, pochwyciła garnuszek i chleb, skryła pod chustkę, i z całych sił, jak gdyby ją dziesięciu Biedroniów goniło, uciekała. Wróciła do domu, gdy już ognie we wszystkich chatach jasno świeciły.

— Żywej duszy na Bożym świecie, idźcie matuś po Jasia, a ja potrzymam drabinkę.

Tyksina wybiegła na drogę, obeszła chatę i skoczyła żywo na drabinę. Wydobyła chłopca z siana, postawiła go i zatrzęsła nim silnie.

— Opamiętaj się i złaź, ojciec może nadbiedz.

Wyraz ojciec ocucił go, wstrząsł się i uchwycił za szyję Tyksinę. Kobieta wzięła chłopca na ręce i powoli niosąc, zlazła z drabiny.

— Jaś, poznajesz mnie, to ja, Zośka, przyniosłam ci od Kundy mleka.

Jaś stanął na ziemi, uśmiechnął się i zatoczył.

— Pali mnie, mąci mi się w głowie, nogi się chwieją, ślepiów nie mogę otworzyć. Zośka trzymajże mnie, bo padnę.

— Siadaj.

Posadziła go na ławie, oparła o stół i matczyną chustką odziała.

— Czy ty ino zajdziesz do Marcinowej?

— Nie bójcie się, wezmę go w płachtę i zaniosę, — rzekła Tyksina.

— Pij! — zawołała Zośka — pij wszystko, bo to twoje...

Chłopiec upił, odpoczął, upił drugi raz, garnuszek, trzymany przez Zośkę, odsunął.

— Bóg zapłać. Okrutna mnie ochota zbiera wrócić na siano.

Przytulił się do Zośki, objął ją wpół i głowę oparł na jej ramieniu.

— U Marcinowej nie brak siana, w komorze czyściutko. Legniesz se na łóżku, pierzyną okryjesz i będzie ci jak w raju.

— Zośka, zajrzyj do mnie — szepnął.

— Co wieczór będę ci przynosić mleko od Kundy i opowiadać, co się działo na błoniu.

— A jak skrzepnę, to już nie wrócę do ojców, boję się i wolę zamrzeć, wolę, żeby mnie ziemia skryła, jak wracać. Zośka, broń mnie!

Tulił się do dziewczyny i cisnął ją do siebie z całych sił.

— A po co miałbyś wracać?... Gnają cię i katują — to tylko potrafią. Sprzedam morgę,



chałupę i Starą — i uciekniemy w świat — powiedziała Tyksina.

— Dobrze, — szepnął — w świat i nie dognają nas.

— Choćby na sto koni wsiedli — dodała Zosia.

— Dobrze — powtórzył.

Tyksina rozpostarła płachtę na stole, sadzając chłopca na niej.

— Dwa końce przełożę przez ramię, a ty mnie uchwyć za szyję i w drogę! Zośka, wyjrzyj na świat migiem i wracaj.

Dziewczynina wybiegła, rozejrzała się w ciemnościach, dopadła do okna i dała znak.

Wyszli. Tyksina skręcała końce płachty na

piersiach, chłopiec obejmował jej szyję, Zośka biegła naprzód.

Ostrożnie, pocichu przekradali się wygonem do krzaków. Dziewczynina, nasłuchując, drżała ze strachu. Rada była krzaki przyciągnąć.

Ciężko było Tyksinie. Pochylona, wolno oddychała, lecz nie ustawała. I ona wzrokiem mierzyła odległość od krzaków i ona modliła się, aby jak najprędzej przysunęły się do niej.

— A chodźcież — zawołała Zosia zniecierpliwiona.

Krzaki się przysuwały! Bliżej, coraz bliżej, tylko po nie ręką sięgnąć... Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze dziesięć. Tyksinie spływał pot strumieniami po twarzy. Ostatnie parę kroków przebiegła. Gdy ją krzaki zasłoniły, usiadła, przechyliła się, płachtę zsunęła z ramion. Chłopiec leżał na ziemi, Zośka go otuliła i kucnęła przy nim.

— A co teraz? — spytała matka. — Chłopczysko zesłabło do cna i jakże go tu dźwigać — sama nie poradzę.

— To ja matusi pomogę.

— Głupiaś!

— To polecę po Marcinową.

— Nie boisz się?

— A czego? la Jasia, to przecież Najświętsza Panienka powinna prowadzić.

Dziewczynina zerwała się i pobiegła całym pędem młodych chudych nóg. Księżyc wszedł, jasność rozlała się po ziemi, Zośka biegła z całych sił. Na zakręcie zdawało się jej, że jakiś cień przesunął się i schował. Była pewna, że Biedroń, wpadła w krzaki, kucnęła pod leszczyną, czekała.

— Żeby ino na Jasia nie nadybał, bo matusia uciekną, a onby mi chłopca zabił — szeptała przerażona.



Za chwilę cień się wydobył z za krzaków, zamajaczył na drodze, i wyciągnął za sobą postać, okrytą białą płachtą. Zosia, oddech zatrzymując, przyczołgała się pod samą drogę, wytężając wzrok.

— Marcinowa — szepnęła.

Postać stanęła, dziewczyna przybiegła do niej.

— A to gdzie? — spytała kobieta.

— Po was — wielgi czas Jasia przeprowadzić, sam nie może iść — zawołała Zosia. — Leciałam po was, donieśliśmy go do krzaków i dalej ani rusz. Ratujcie...

— A ja do was leciałam. Chory bardzo?

— Bardzeńko! A tuli się do nas, a prosi, żeby go ojcom nie wydawać.

Zapłakała.

— Biedroń się wścieknie, a nie odnajdzie go.

Pobiegły pędem.

Na murawie, oblanej światłem księżyca, siedziała Tyksina, obok niej leżał Jaś, otulony płachtą. Zosia pierwsza przypadła, za nią Marcinowa.

— Nie może wstać? — spytała.

— Nie mógł się mnie trzymać rękoma za szyję.

Marcinowa rozłożyła swoją płachtę na ziemi.

— Dawajcie mi go.

Chłopca podźwignięto, kobieta silna wzięła go jak pół korca żyta na plecy. Głowa mu tylko z płachty sterczała, po białych włosach majaczył księżyc.

Zośka leciała naprzód, kobiety szły razem, dzieląc się ciężarem co kilka staj.

W dole niedaleko ciemnej paryi, ogień jasno

świecił przez otwarte okno. Stanęły ukryte w krzakach. Zośka wybiegła rozejrzeć się po świecie. Otworzyła drzwi do chaty, był to znak, że niema żywej duszy.

Ciężar złożono na stole, Jaś otworzył oczy, popatrzał i uśmiechnął się serdecznie.

— Tu mnie przecie nie znajdą, i nie będą bić, nie będą katować i nie będą gnać — szeptał, tuląc się do Zosi.

— Niech ino próg mej chaty przestąpi, to mu łeb rozwalę — zahuczała Marcinowa, a była to kobieta silna, rosła i gwałtowna.

— Jakże ci, Jaś? — spytała go Tyksina.

— Głowa mi cięży, młoty w niej biją.

I znowu przytulił się do Zosi, objął ją ręką za szyję i szepnął do ucha:

— Uciekniemy?

— Jak tylko matsia sprzedadzą morgę i chatę. Bo Starą weźmiemy ze sobą.

— Dobrze... A nie będzie ci się, Zośka, cnęło za wsią?

— Jak urośniesz i będziesz duży, to powrócimy przecie na swoje śmiecia. Co nie mamy wrócić. Ty do ojcowizny.

— Wrócimy!

Nie mogąc usiedzieć, położył się na stole.

— Zaraz, zaraz, moje dziecko — odezwała się Marcinowa, podając Zosi zapaloną przy kominie smolówkę.

Tyksina otworzyła drzwi komory, gospodyni wzięła Jasia na ręce, Zosia świeciła. Łóżko było usłane, okryte czystą płachtą, na niem poduszka i pierzyna. Chłopak legł i odetchnął radośnie, ujął za rękę Marcinową i pocałował ją, po niej Tyksinę.

— Cóż cię boli? — spytały go kobiety.

— Głowa mi ino chce pęknąć i sen mnie mroczy.

— Napijesz się mleka?

— Wody, pali mnie okrutnie.

Zośka skoczyła po wodę, napił się i zamknął oczy.

— Boję się o chłopaka — szeptała Marcinowa, wychodząc z komory.

— Nic mu nie będzie, znużony i wystraszony — pocieszała kumę i siebie samą Tyksina.

— Jutro na odwieczerz przyniosę wam dla Jasia od Kundy mleka.

— Wypijcie go same, mleka mi nie brak, a mogłabyś, Zośka, naprowadzić ludzkie oczy. Biedroń nie śpi.

Matka z córką, bojąc się ludzkich oczu i czuj-

ności Biedronia, wyszły. Marcinowa na pożegnanie szępnęła Tyksinie:

— Chłopak wasz, a łąka moja — pamiętajcie!

— Cierpnę — odpowiedziała cicho Tyksina.

— Jeszcze czas na cierpnięcie.

Zaledwie matka z córką wpadły do izby i rozniecity ogień, warząc resztę przyniesionego od Kundy mleka, w otwartem okie stanął Biedroń — patrzał, patrzał i odszedł.

— Widziałaś, — odezwała się do Zosi matka — jak ci w nas wlepił swe ciekawe i łakome ślepia.

— Widziałam. Jak to dobrze, że Jasia u nas niema.

— A nikomu na myśl nie przyjdzie, że chłopak u Marcinowej. Ludzie wiedzą, że się wciąż drze z Biedroniem.

Nazajutrz po wschodzie słońca wpadli do Tyksiny wójt z Biedroniem. Po drabinie dostali się na górę, przetrząsnęli siano, chłopca nie znaleźli. Biedroń w izbie zajrzał pod łóżko i za piec, otworzył komorę. Nie przemówiwszy słowa — odeszli.

Tyksina poskoczyła do sieni — słuchała.

— A co? nie mówiłem wam, — prawił wójt — że baba nie śmiałaby cudzego dziecka kraść i chować, bo za to wielka odpowiedzialność...

Odeszli, dalszych słów nie słyszała.

— Co za szczęście, że Marcinowa dziecko schowała.

Klasnęła w dłonie.

— A to ino moja głowa to zrobiła. Niech przetrząsną teraz całą wieś i niech go znajdą.

Na błoniu Zosia opowiedziała Kundzie o wczorajszych przenosinach Jasia, a Kunda o gniewie Biedronia i strachu Biedrońki. Jak Biedrońka zaczęła jej schlebiać, głaskać, dała jej starą chuścinę na głowę, byle ją tylko uprosić, aby powiedziała, gdzie Jaś. Ale ona nie powie, choćby jej Wtoruchę darowała, bo nie chce chłopaka, jak Pana Jezusa Judasz, wydać na skatowanie.

— Przetrzymamy ich choćby tydzień — mówiła cicho Kunda. — A dopiero wtedy muszą mi przysiądz przed męką Pana Jezusa, że mu marnego słowa nie powiedzą, wtedy im go oddamy. Zośka, prawda?

— Prawda, niech przysięgają...

W nocy zastukała do okna chaty Tyksiny Marcinowa. Zośka się zerwała i kół, zapierający drzwi, odłożyła.

— Wiecie — szeptała Marcinowa w izbie — z chłopakiem źle, zwiduje mu się, zrywa się, woła Zośki, chce uciekać przed ojcem. Gdyby

tak, broń Boże, oczy zamknął, nawarzylibyśmy sobie piwa.

Zośka uderzyła w płacz serdeczny.

— Cicho, głupia, tu niema czasu na lamenta.

— Co robić, co robić — szeptała, kręcąc się ze strachu Tyksina.

— Niema innej rady, jak chłopaka podrzucić Biedroniom. Przecież mu w takiej chorobie krzywdy nie zrobią.

— Podrzucić? ale jak?

— Kundę w nocy sprowadzić i przenieść go. We troje damy radę.

— Przenieść — powtórzyła Tyksina.

— Chłopczysko rozpalony jak węgiel, nie je, nie pije...

Zosia przed wschodem słońca, zanim wypędziła Starą na pastwisko, wpadła do izby Marcinowej, otworzyła drzwi od komory. Na posłaniu, okryty, leżał nieprzytomny chłopiec. Oczy miał otwarte, lecz nikogo nie widział, twarz czerwoną, oddychał ciężko. Dziewczyna zbliżyła się i pełna żalu, położyła rękę na jego czole.

— Jaś, — odezwała się — nie poznajesz mnie, nie poznajesz Zośki? — przemówże, bój się Boga!

Chłopiec patrzał, oczy wytrzeszczał, zerwał się raptownie, objął Zośkę za szyję i tuląc się do niej, mówił:

— Tatuś, widzisz go, stoi i grozi mi. Broń mnie.

— Zwiduje ci się — nikogo niema — wołała zrozpaczona dziewczynka.

— Poszedł — szepnął Jaś.

Uspokoił się i legł na posłaniu. Zośka go okryła, otuliła i głaskała ręką.

— Moje niebożątko, nie trapże się, nikt tu nie przyjdzie, nikt do ciebie nie trafi. Bylebyś ino był zdrów. Ale może Najświętsza Panienka ulituje się nad tobą...

— Była — szepnął Jaś — i zasłoniła mnie przed tatusiem i odegnała go odemnie.

— Widzisz, kiej Najświętsza Panienka opiekuje się tobą, to ci i krzywdy nie da zrobić.

Jaś zmrużył oczy, dziewczynka wyszła z komory i cicho zamknęła drzwi.

Brzegiem paryi przez białe krzaki brzeziny wracała zdyszana. Czerwona spódniczka migała, jak gdyby niewidzialna ręka rzucała maki na zieloną łąkę. Wpadła do izby i zalała się łzami.

— Byłam u Jasia, śmiertelnie patrzy. Najświętsza Panienka przychodzi i pewno ci go zabierze.

Załamała ręce.

— Śmiertelnie patrzy — pochwyciła matka. — Najświętsza Panienka nawiedza go?

Dziewczyna palce z rozpaczy utopiła we włosy i targała je z całych sił.

— Prawa, sądy, — szeptała Tyksina. — Stary będzie się mścił. Zniszczą nas i z chaty wygnają.

Zośka zanosiła się od płaczu.

— Mnie ino Jasia żal — mówiła łkając.

— Cicho! — krzyknęła matka, podnosząc rękę. — Wygnaj krowę, ślepia otrzej, bo ludzie patrzą, a Kundzie powiedz, żeby o północku przyleciała do Marcinowej. Tyś go tu sprowadziła na moje utrapienie.

— Mnie ino Jasia żal — powtarzała Zosia, zalewając się łzami. — Okrutnie mi żal, ratujcie go!

Matka chwyciła ją za ramiona i zatrzęsła z całych sił.

— Kiej Najświętsza nawiedza go, to co poradzisz, głupia? Ślepia ludzkie płaczem ściągniesz na nas i co będzie?

— Jasia mi żal — powtarzała cicho dziewczyna i raptem ryknęła, rzucając się z bólu na ziemię.

— I poradźże tu z głupią — zaczęła łagodnie matka, zwyciężona serdecznym żalem

dziecka. — Ruszaj na górę, prześpij się, to i smutek przejdzie, sama wygnam Starą i naradzę się z Kundą.

Zosia, płacząc, wlazła po drabinie na siano i przez szparę, zrobioną w strzesze, patrzała, jak matka wygnała krowę i razem z nią zniknęła na wygonie. Zbiegła szybko z góry, drzwi były zamknięte, otworzyła ostrożnie okno, zsunęła się na ziemię. Z początku powoli, potem, osłonięta krzakami, pognała z całych sił do chaty Marcinowej.

Cicho weszła do izby, odchyliła drzwi i na palcach wsunęła się do komory. Siadła przy łóżku Jasia i przyniesioną gałązką brzeziny odganiała od niego muchy. Chłopak leżał spokojnie, otwierał oczy, wpatrywał się w nią, poznawał i tak jakoś się uśmiechał do niej, że dziewczynie z bólu serce zamierało.

— Lepiej ci, Jaś? — pytała pełna smutku i rozpaczy.

Nie odpowiadał, zamykał oczy, za chwilę otwierał, patrzał i uśmiechał się, że dziewczyninie znowu serce z bólu zamierało.

* * *

O północy wpadła do chaty Kunda, za nią Tyksina i dwa wielkie psy Biedronia.

Kunda kazała sobie poświecić smolówką w komorze. Jaś ją poznał i wyciągnął ręce. Kunda go pochwyciła w swoje i tuliła, jak własne dziecko.

— Radźmy — nalegała Marcinowa.

— Co tu radzić... jedna na drugą dwie płachty. Chłopaka na płachty, pierzynką go przykryć. Marcinowa za jeden, ja za drugi róg, Tyksina i Zośka u nóg i jazda. Wzięłam umyślnie psy, aby nie szczekały, gdy przyjdziemy do obejścia Biedronia. Wsuniemy się cicho, chłopca złożymy w oborze na stole, ja przy nim zostanę, a wy w nogi.

— A jakby go chciał bić? — odezwała się Zosia.

— Niech spróbuje! — zawołała Kunda strasznym głosem.

Płachty jedna na drugą położono na stole, poduszkę pod głowę, pierzynkę trzymała Zosia, Kunda wyniosła Jasia. Położono go, otulono, i dalej w drogę.

Psy leciały, swawoląc, naprzód; droga wiła się wśród krzaków brzeziny, — księżyc płynął po lazurowem sklepieniu, gwiazdy blade leniwo mrugały... Kobiety zmieniały się co chwila,

ciągnąc ku sobie rogi płachty, a prawie biegły pod górę. Zosia pomagała matce, ile jej tylko sił starczyło.

Przed obejściem Biedronia zatrzymały się, składając ciężar na murawie. Kunda poleciała naprzód, psy za nią. Otworzyła bramkę, wpadła do obórki, rozesłała w rogu słomę — wróciła.

— Wszystko śpi, jak zabite — szepnęła.

Pochwyciła Jasia na ręce i znikła, kobiety uciekły, dziękując Bogu, że im się szczęśliwie udało uniknąć nieszczęścia.

Zosia na błoniu zaczęła cicho, serdecznie zawodzić — płakała do samego domu. Zaledwo sen ją utulił.

III.

Różowa jutrzenka błysnęła na niebie. Biedroń budził ludzi, uderzając trzciną po ścianach, dla większego hałasu. Wpadł do obory — na słomie tuż za Wtoruchą leżał skulony Jaś, okryty płachtą. Krew w starym zawrzała, opanowała go wściekłość, zamierzył się i z całych sił lunął chłopca.

Kunda zerwała się na równe nogi.

— Bij trupa, ty zbóju! — wrzasnęła.

Staremu podniesiona do drugiego uderzenia ręka opadła, oczy wytrzeszczył, głos mu zamarł...

— Jak go jeszcze raz uderzysz, to ci polanem łeb rozbiję! — krzyczała. — Tyś gotów dobić własną krew.

Zdarła płachtę z Jasia. Skulony nie dawał znaku życia.

— Zabił go! — wrzasnęła.

Rzuciła się na chłopca, tuląc go do siebie.

W obejściu powstały szepty.

— Gospodarz zabili własne dziecko — powtarzali parobek i dziewka, łamiąc ręce.

Gospodyni wyleciała z chaty, wpadła do obórki, pchnęła Biedronia, odebrała Kundzie dziecko, pochwyciła je na ręce i zaniosła na swoje łóżko.

— Tego chciałam — szepnęła Kunda, ocierając chustką pot z czoła.

Biedroń zawstydzony, nie śmiejąc patrzeć na ludzi, poszedł za żoną.

Wrzask Kundy rozległ się daleko, — echa go powtórzyły. Ludzie ze wsi gromadzili się, opowiadając o złości bogacza, co zabił własne, jedyne dziecko.

Gdzie Jaś był, gdzie się ukrywał, z przypuszczeń tworzyła się legenda, ubrana fantazyą ludu.

Kobiety czekały, póki Biedroń nie pójdzie w pole, chciały wejść, zobaczyć Jasia, pocieszyć gospodynię i ugadać się. Biedronia się bały — nie lubił nawiedzin.

Niedługo czekały. Stary, w nasadzonej na uszy czapce, wybiegł z chaty, minął wrotka, skręcając ścieżką do kościoła.

— Każe bić we dzwony — szeptały do siebie, bo przecie, choć skąpy, nie będzie żałował papierka dla jedynaka.

Z nastrojonemi uroczyście minami przestąpiły próg chaty.

Na posłaniu matki leżał Jaś. Oczy zamglone wsunęły się w głąb czaszki, usta były spalone od gorączki — schudł i zczerniał. Biedrońka siedziała przy nim i płakała.

Kobiety przywitały ją i siadły na ławie. Chwilę panowało milczenie.

— Żyje! — zaczęły szeptać między sobą — żyje! — chwała Bogu!

Posypały się głośne rady — raptem:

— Idzie! — zawołał Jaś, zrywając się na łóżku. — Idzie, jasności pełna... widzicie?

Wyciągnął ręce, patrzał nieruchomie i padł na łóżko.

Kobiety powstały wystraszone i wzruszone.

— Najświętsza Panienka przyszła i weźmie go se prościutko do nieba — odezwała się jedna z nich.

Gospodyni ryknęła strasznym głosem i dalej cicho szlochała.

— Moja kumo, — zabrała głos najodważniejsza — co to teraz żale rozwodzić, katowaliście chłopaka i już; był cichy, potulny, do rany przyłóż. I że Najświętsza zmiłowała się nad nim, to i nie dziwota.

Biedroniowa nie odpowiedziała, lecz ciągle

cicho szlochając, odwróciła się gniewnie od kum.

Do izby wpadła Kunda z wydojonem mlekiem, podniosła koszulinę Jasia i pokazała na ciele siniejącą pręgę.

— Patrzcie, jak ci go zdzielił! Żeby tak jeszcze raz, toby go zabił na miejscu. Tak się obchodzi z jedynem dzieckiem i dlatego Matka Boska zabierze go se... Ale jak chłopaka zabraknie, to i mnie tu nie będzie. Przeklnę was i pójdę, gdzie mnie oczy poniosą.

Pochyliła się nad chłopcem.

— Jasiu mój, Jasieczku, — zawodziła — otwórz ślepka, spojrzyj na mnie. To ja, twoja Kunda, twoja sługa i matka twoja...

Biedrońka chciała ją odsunąć, lecz w tej chwili chłopiec, nie otwierając oczu, uśmiechnął się.

— Poznał mnie — zawołała — i zrozumiał, że to ja jestem i uśmiecha się.

Pochwyciła chłopca w pół, przytuliła się do niego i zapłakała.

— A jak pójdziesz do nieba, to i mnie sierotę zabierz ze sobą. Co ja tu będę na starość sama robiła.

Wszedł Biedroń, kobiety pocichu wysunęły się z izby.

— Kunda, bydło nie na błoniu, co ty leniu sobie myślisz, co?! — krzyknął.

Kunda popatrzała na niego, jakby go chciała wzrokiem przebić, i wyszła. Zatrzymała się przed chatą, przylepiła do ściany i słuchała, łapiąc słowa Biedronia, wybiegające przez otwarte okno.

— Jegomość radzi doktora — mówił stary. — Robota w polu pilna, na doktora piątkę trza wyrzucić, a tu żniwa za pasem. Żeby jeszcze choć co pomogło, ale pewnikiem nie pomoże i pieniądze się rzuci w błoto...

— Wyganiaj bydło sam i paś je sam — szepnęła Kunda.

Pobiegła do stajni, otworzyła swoją skrzynkę, wyjęła srebrne sześć sztuk, wsunęła je do kieszeni, na plecy zarzuciła chustkę i wybiegła pędem za wrota.

Zobaczył ją Biedroń.

— Tę szelmę wygnam dziś, — zawołał — ale ci ją wprzód spiorę, że mnie do śmierci nie zapomni.

Kunda wpadła do Czarnika.

— Kumotrze złocisty, zaprzęgajcie migiem szkapy i gnajcie za mną do dworu. Macie tu srebrnego papierka, pojedziemy po doktora, ze dworu wezmę pismo... Jegomość radzi do-

ktora, a ten chciwiec dla jedynaka żałuje. Słychacie, żałuje szelma pięciu papierków dla jedynego dziecka!... Ale ja daję swoje i sama z wami pojadę... Ona stara taka sama szelma, jak on pies. Jedźcież duchem za mną. Żal mi chłopaka, że mało co się nie zagubię. Jedźcież, jeśli Boga w sercu chowacie...

Zdyszana wybiedła i ścieżkami wprost do dworu pognała.

We dworze panienka napisała do doktora, Kunda kartkę pochwyciła, Czarnik zajechał, wsiadła i pojechała.

— Ja sobie te sześć papierków odbiję na twojej skórze i na twym majątku — szeptała, siedząc na wozie. — Ty sknero, ty zbóju, ty świnio z przeproszeniem — wołała głośno.

— Świnia, i wielga — poświadczył Czarnik. — Słychane to, aby biedna sługa sprowadzała za swoje doktora do jedynaka takiego bogacza? To po cudach nie trza chodzić...

Zmęczona dziewczyna całonocną bezsennością, zsunęła się na spód wozu, głowę oparła o siedzenie — drzemała.

Wieść o sprowadzeniu doktora przez Kundę do Jasia za jej własne pieniądze rozleciała się po wsi błyskawicą. Ludzie stawali po drogach,

kumy zbijały się w gromadki. Wszystko, co żyło, rozprawiało o tym wielkim fakcie.

Doktor zjechał, oglądał chłopca, słuchał, pukał i głową kiwał, chodził po izbie i znowu wracał do łóżka i jeszcze patrzał i liczył puls do zegarka i wciąż miarkował — a wymiarkować jakoś nie mógł.

Kunda stała przy łóżku uroczysta. Zapierała oddech w piersiach, aby nie przeszkadzać. Biedroniowie siedzieli w stajni, nie chcąc się widzieć z doktorem.

— Kunda — rzekł doktor.

— Słucham — szepnęła, prostując się poważnie.

— Chłopiec może wyjść, ale potrzebuje wielkiej pielęgnacyi.

— Ja go nie odstąpię dzień i noc — niech mi ino pozwolą chłopca wziąć do obórki na moje łóżko. Czysto tam i schludnie, — a tu w izbie kto o niego będzie dbał?...

Otuliła chłopca płachtą i delikatnie wzięła go na ręce.

Wyszła, doktor za nią. W stajni zastąpili jej drogę Biedroniowie.

— Gdzie! — krzyknął.

— Doktor kazał — odpowiedziała.

Biedrońka wydarła jej chłopca.

— To nasze dziecko i w stajni nie damy go poniewierać. A kiejś se doktora sprowadziła, to płać...

Wybiegła z chłopcem, a Biedroń za żoną, zatrzaskując drzwi izby. Kunda załamała ręce.

— Patrzcie, co to za zbóje, dla własnego dziecka nie mają miłosierdzia.

— Tyś zrobiła swoje — rzekł doktor.

— Co, swoje? — przerwała Kunda — jakie swoje? Co pan mówisz?... Ja chcę, żeby dziecko było zdrowe, bo jak zamrze, to spalę Biedroniów i ucieknę na koniec świata.

Oddychała ciężko.

— Cóż poradzimy?...

Kunda pocałowała doktora w rękę i poczęła serdecznie:

— Żeby to panoczek poszedł do chaty Biedroniów i powiedział, ino głośno przy mnie, co mają robić chłopcu, i zastraszył ich, że inaczej chłopaka zgubią.

Doktor, poruszony żalem dziewczyny, poszedł.

— Cóż to za twarde natury — powtarzał.

— Stwargnieli bez to skąpstwo, bez chciwość... Uganiają cały boży dzień, a w nocy tylko jednem okiem śpią.

Otworzyła drzwi chaty, doktor stanął na progu.

— Dzień i noc w zimnej wodzie maczane

i wyżęte szmaty przykładać dziecku na głowę — lekarstwo przyślę, a gdy mu będzie lepiej, przez cały miesiąc dawać mu mięso, jaja, mleko. Inaczej chłopak umrze. Jeżeli go nie chcecie zabić — słuchać!...

Wyszedł, Kunda za nim, drzwi za sobą zatrzasnął. Biedronie odetchnęli, stary się uśmiechnął. Nie dali doktorowi ani grosza, nie powiedzieli mu Bóg zapłać, a za to on powiedział, co trzeba, i za pieniądze Kundy przyśle lekarstwo.

— Skąd ta szelma ma ich tyle? — szepnęła Biedrońka.

— Musi nas kraść — syknął stary i pięście zacisnął. — Będę ja cię teraz pilnował — czekaj!

Zaturkotało na dziedzińcu, — doktor końmi Czarnika odjechał. Kunda przyniosła do izby cebrzyk zimnej wody, Biedrońka starą koszulę rozdarła na szmaty, Kunda je maczała i kładła na głowę chłopca.

Biedronie, nie przemówiwszy ani słowa, wyszli; Kunda zwyciężyła, plac boju przy niej został. Pracowała bez przerwy.

Po dwóch godzinach chłopczyna się uspokoił, nie krzyczał, nie wyciągał rąk do Najświętszej, nie bał się ojca.

Kunda tryumfowała.

— Najpierw Pan Bóg, potem ja cie uratowałam! Nikt, tylko ja jedna. Przecie ty mnie może na starość nie wygnasz jak psa, gdy już ci harować nie będę mogła.

Uspokojona, dumna, szczęśliwa nadzieją, pogłaskała go ręką po twarzy, a ściągając mu szmatę, pocałowała w czoło.

Napróżno Zosia ze swoją Starą czekała na Kundę. Bydło na błonia popędziła sama Biedrońka, chmurna, zła, nieprzystępna... upokorzona tem, że ona, wielka gospodyni, musi sama paść, — stała na uboczu.

Zosia, zdjęta litością, przysunęła się do niej i pocałowała ją w rękę.

— Popasę za was — nie bójcie się — chociażem mała, dam se radę. Moja Stara mądra!

Biedrońka rada, oddała jej bat.

— Jakże tam Jaś? — spytała dziewczyna ciekawie.

— Na odwieczerz przyślę Hankę po bydło — odpowiedziała i, nie oglądając się, odeszła.

— Nie chcesz gadać, to i tak się dowiem wszyćkiego od Kundy.

Gromadka dzieci przybiegła do niej.

— Zośka Biedroniowe bydło pasie, ho, ho! to już pewnikiem wyda się za Jasia.

Dziewczyna cała spłonęła.

— Nie gadajcie głupstw, chłopczysko leży bez pamięci, nie ma sił oczu otworzyć.

— A cóżto Kunda nie sprowadziła doktora za swoje pieniądze? Nie siedzi w izbie jak pani i nie pilnuje go? Biedrońka pasie za nią, a ty za Biedrońkę.

Tymczasem Wtorucha, korzystając z zabawy dzieci, prowadziła całe stado na organistowy groch.

Dzieci w krzyk. Cała chmara poleciała, pędząc gromadę, za niemi Zosia.

Bydło, przestraszone krzykiem, stanęło. Jedna Wtorucha dopadła grochu, chwyciła garść całym pyskiem, i w nogi. Dognał ją Walek i batem lunął.

— A to jucha łakoma na cudze, jak Biedroń.

Dobrze w noc, gdy księżyc wypłynął na środek nieba, połyskując po wzdętych wiatrem chmurkach, Zosia dopadła do wrótek obejścia Biedronia i zatrzymała się. Psy zaszczekały. Dziewczynina ułagodziła je skrawkiem chleba, liżąc jej ręce, podprowadziły wystraszoną pod chatę.

Na stole palił się gaz, na łóżku leżał Jaś z obwiniętą szmatami głową, przy nim na ławie, oparta o ścianę, drzemała Kunda.

Zosia zastukała nieśmiało w okno. Dziewka się zerwała, zajrzała, otworzyła drzwi.

— Chodź, nie bój się, niema nikogo. Biedronie kontentni, że ja pilnuję chłopca, chrapią w obórce na mojem werku. W ścierwach tych chciwość wyżarła nawet żal. Oni muszą się wyspać, żeby im nie zabrakło sił uganiać się bez cały dzień, skąpić, liczyć, zdzierać...

— Cóż Jaś? — spytała Zosia.

— Wiesz, że ten doktor mądry. Drogi, bo drogi. Musiałam mu dać pięć papierków. Oni woleliby się powiesić, jak papierka wydać. Dałam własne, ale chłopcu pod wodą zaraz się ulżyło. Leży se cichutko, spokojnie. Cudowną widzi, ale nie my, grzeszne...

— Może go nam nie zabierze—szepnęła Zosia.

— Może go i zostawi na pociechę ludziom. Dobre dziecko, że do rany przyłóż. — Zwróciła się do Jasia. — Będziesz miał, to i ludziom nie zabraknie.

Kunda pogłaskała szorstką, spracowaną ręką twarz chłopca. Zosia wyciągnęła swoją chudą i również nieśmiało głaskała.

— Wiesz, Zośka, tak ci mi się spać chce, że się na nogach nie mogę utrzymać. Zdrzemnęłabym się, a ty tymczasem przemieniaj szmaty i kładź je na głowę chłopca.

— Nie zmrużę oka, a ty se, moja Kundo, spocznij albo na ławie, albo na stole — odparła dziewczynina.

— Byle gdzie, byle głowę oprzeć.

Kunda zwinęła chustkę pod głowę, rzuciła się na ławę i w tej chwili zasnęła.

Dziewczynina została sama, rada, że jej oddano Jasia pod opiekę. Z wielką powagą przysunęła się, wyciągnęła chudą rękę i z pewnem uczuciem rozkoszy zaczęła głaskać chłopca.

— Sieroto moja, anieli z nieba zlatują się do ciebie, Najświętsza Panienka odwiedza, ino ojcowie nie dbają... Jak skrzepniesz, będę ci ja pasać za ciebie i za siebie, aby ci ino ulżyć, ho, ho!... dam ja se radę. I chociażem mała, to przecie urosnę! Każdziuśkiego dnia mnie przybywa. Ja będę paść, a ty se legniesz, spoczniesz na murawie, tyś niebożątko nikłe, chude, jak jakie pańskie dziecko, ciebie nie można poniewierać...

Para zaczęła się wydobywać z pod szmaty, okrywającej głowę Jasia, Zosia rzuciła ją do wody, wyżęła drugą szmatkę, położyła i rada z siebie, oparła głowę o poduszkę — czekała.

Powieki jej zaciężyły i same spadły na oczy...

Za chwilę zrobiła się jasność. Złocista z dzie-



ciątkiem na ręku, aniołkami u boku, stanęła na środku izby. Aniołkowie uśmiechali się, dzieciątko wyciągało ręce do Jasia. Zosia z początku oniemiała ze strachu, lecz bojąc się o Jasia, krzyknęła przeraźliwie...

Kunda się zerwała, dziewczynina drżąc ze strachu, tuliła się do niej.

— Przyszła — widziałam ją z dzieciątkiem na ręku i aniołami. Tak samo, jak na obrazie w kościele. Wyciągała do Jasia ręce... Okrutnie się boję! Kundo, popatrz, czy już duszyczki jego nie zabrali.

Kunda podeszła do chłopca, przyłożyła ucho do jego ust, rękę na piersi.

— Ciepły — szepnęła — i oddycha — przyśniło ci się...

— Klnę się na Najświętszą, żem oczu nie zmrużyła.

— Widziałaś na własne ślepia?

— Niech martwa padnę, jeśli kłamię.

Kunda pomyślała chwilę.

— Jeśli go nie zabierze, to go wielka łaska czeka. A i ciebie, Zośka, bo i tyś ujrzała...

Zamyśliły się, para z głowy chłopca zaczęła buchać, Zośka przemieniła szmatę.

— Jeśli go nie zabierze — powtarzała smutno. — Ej, i po co ma go zabierać, aniołów jej nie brakuje.

— Jeśli go nie zabierze — rzekła uroczyście Kunda, — wielka to łaska la chłopca i la całej wsi. Błogosławieństwo la całej wsi.

Zosia westchnęła.

— Żeby go nie zabrała — szepnęła. — Najsłodszy Jezu, żeby go nie zabrała...

— Jeśli go zabierze, nie zostanę tu chwilki — pójdę w świat.

— To i mnie zabierzcie — rzekła Zosia.

— Dziecko, ty masz matkę, caluśką morgę gruntu, chałupę.

Do izby wsunęła się Tyksina. Kunda i Zosia opowiedziały jej nawiedzenie Jasia przez Najświętszą. Szczegóły zrobiły wielkie wrażenie na kobiecie.

Zaświtało... Matka z Zosią ze strachu przed Biedroniem uciekły, przyrzekając przyjść w nocy, pomódz Kundzie.

Tego samego dnia cała wieś wiedziała, że Biedroniowego syna nawiedza z dzieciątkiem Matka Boska, że Jaś do niej gada i ręce wyciąga, a widziała ją również Zośka. Jasność się zrobiła, aniołowie śpiewali.

Lud wieczorem gromadził się przed wrotami chaty Biedronia. Każdy rad był zobaczyć chłopca nawiedzonego. Kobiety przebąkiwały, że może i święty, bo gdyby zmarł, Złocista nie dałaby go ani na Zdrowaś Marya do czyśca, kiej sama przychodzi do niego. Zośkę rozpytywały i tuliły do siebie... Wielka gromada

stanęła, radna otworzyła z mocą wrótka — poszła, za nią tłum.

— Gdzie? — krzyknął Biedroń.

— Do świętego! — zawołano ostro.

— Do świętego! — powtórzyły kobiety, idąc prosto.

Biedroń się cofnął do obórki, Kunda otworzyła okna, lud się cisnął i patrzał.

Na pościeli, okrytej białą płachtą, z zamkniętemi oczami leżał Jaś. Głowinę i czoło otulała mu szmata, bledziuśki był jak opłatek, usta do połowy otworzył.

Ludzie zdjęli czapki i patrzeli w uroczystym nastroju. Kobiety szeptały:

— Jaki ci delikatny, jaki bledziuśki, jak aniołek...

Kunda, chcąc się zemścić na starym, ściągnęła z Jasia płachtę, odchyliła koszulinę i pokazała siną pręgę na ciele.

— Patrzcie, tak ci go lunął, gdy już chłopczyna leżał prawie bez duszy.

Szmer oburzenia i wściekłości przeszedł po zgromadzeniu. Chłopiec się zbudził, zerwał, podniósł ręce, oczy rozwarł szeroko i patrząc w jeden punkt, szeptał:

— Jasność... i Złocista z dzieciątkiem. Ulituj się i weź mnie! — zawołał.

Wyciągnął ręce i padł na poduszkę.

Lud przyklęknął, kobiety zaczęły lamentować, Kunda załamała ręce:

— Weźmie go, weźmie i mnie sierotą zostawi!...

Lud cofał się z nabożeństwem od okna.

— Dziecko umiłowane — szeptano — przez Najświętszą, nie chowa się długo... Cnie Im się w niebie za nim i wezmą go.

— Ale że Zośka z całej wsi jedna widziała świętą Panienkę?

— Bo i ona nie wytrzyma i pójdzie za Jasiem.

Lud wyszedł za bramkę, rozprawiając szeroko. Mimo wiedzy i woli wytworzył się pewien kult dla Jasia, jako dla wybranego, a nienawiść dla Biedronia. Nie mogli mu ludzie darować tej silnej pręgi na chudem, zbiedzonem ciele dziecka...

*
* *

Siódmego dnia nad ranem Jaś otworzył oczy jakoś inaczej, weselej i raźniej. Przetarł je i rozejrzał się.

Kunda przyskoczyła do niego.

— To ja u tatusiów jestem — szepnął.

— We własnej chałupie i nie bój się nikogo. Kiej się ocuciłeś, to wszystko fracha. O, moje dziecko, com się za tobą nie nalamentowała, nie nabiedziła, to tylko jednemu Bogu wiadomo.

Przytuliła chłopca i z radości zapłakała.

— Gdzie tatusiowie? — mówił wylękniony.

— Harują w polu, na zagonie, — niech będą, gdzie chcą, ty na ich posłaniu, a ja przy tobie...

— Wtorucha? — zapytał.

— Zdrowa szelma szkodnica, — kulała ino jeden dzień...

— Zośka?

— Zośka cię nawiedza każdziuśką noc, aleś ty o tem nie wiedział. Był i doktor, aleś ty wtedy leżał rozpalony na węgiel.

— Kunda, okrutnie zasłabłem, że ledwo rękę udźwignę, jeść mi się ociupinę chce i pić.

— Dam ci mleka przygotowanego, ale niewiele, jeden, dwa łyki. Wiem ci, co dawać, bo ja jedna z doktorem gadałam, ja jeździłam po niego najętemi od Czernika końmi.

Jaś pocałował Kundę w rękę.

— Bo kogóż ty masz lepszego nade mnie?...

— Nikogo — szepnął, wypił mleko i zasnął.

Kunda zarzuciła na siebie chustkę i z wielkiej radości wybiegła jak opętana...

— Żyje! — wołała — żyje mój robaczek, ocucił się, oprzytomniał, wypił ociupinę mleka i usnął. Ale teraz już śpi jak nowonarodzone dziecko: spokojniutko i cichutko. Com się nie natrapiła, nie namodliła, nie napomstowała!... Żyje... i nie zabiorą mi go już, nie!... A jeśli Biedroniowie znowu zechcą mi go poniewierać, spalę szelmów i z chłopakiem ucieknę na kraj świata.

Gospodynie otoczyły Kundę, częstowały ją, piła rada, szczęśliwa...

— A kto mnie natknął na doktora? Nikt, tylko Matka Boska. Ona mi go nie chciała zabierać, nie... I za co? Czy to ja jestem jaka szelma, wysterkacz? Powiedziała mi: leć po doktora — poleciałam. I myślicie, że żałuję tych głupich papierków?... Ani mi w głowie! A teraz bądźcie zdrowe. Obudzi się i nikogo wele siebie nie ujrzy. Doktor kazał mu pić surowe jaja, jak kotowi. Dajcie choćby po jednem, to święte dziecko, będzie wam się szczęścić! Nie chcę się prosić Biedroniów, gotowi mi je skąpstwem urzeknąć.

Pół kopy jaj migiem złożono, Kunda zawiązała je w róg chustki i poleciała.

W nocy wsunęła się do izby Zosia. Jaś się zbudził, pokrzepiony snem oprzytomniał. Dziewczyninie radość biła z oczu, oddech ze wzruszenia zapierał się w piersiach. Uszczęśliwiona Kunda mówiła jak na kołowrocie, Zosia wdrapała się na łóżko, usiadła przy Jasiu — słuchała.

— Wiesz, Jaś — szepnęła, gdy Kunda wyszła — nawiedziła cię Najświętsza z Dzieciątkiem. Gdym ją ujrzała, myślałam se, że cię zabierze i bałam się okrutnie. Musisz ty być dobry, kiej Najświętsza Panienka przychodzi do ciebie.

— Leżałem bez pamięci i tchu. Patrz — ściągnął koszulę z rękawa, — co to ze mnie zostało. Samiuteńka kość, obciągnięta skórą.

— Prawda — westchnęła Zosia.

— Nie upasłbym teraz nawet jednej waszej Starej.

— Nie trapże się, mój Jasiu, bo ja już od tygodnia pasę wasze bydło, ino mi je Hanka przypędzi na błonie i po niego przyjdzie.

— Ty pasiesz nasze bydło?...

Zdziwienie Jasia było wielkie.

— Takem ci się umiała twej matusi przypochlebić, że mi zwoliła.

Dzieci uważały to pozwolenie za wielką ła-

skę ze strony Biedroniowej. Jaś się roześmiał, skóra zmarszczyła się na jego twarzy, białe zęby wyjrzały z pod bladych ust.

— Okropnieś zmizerowany, mój biedaku.

— Opowiadaj przecie bądź nijakie historye — szepnął chłopiec, nie rad słuchać o swej mizerocie.

Zosia nastroiła stateczną minę i zaczęła mu opowiadać, co się dzieje na błoniach wśród bydła i dzieci.

Wróciła Kunda, wsunęła jajko do gorącego popiołu, aby je zagrzać, potem dała je wypić chłopcu.

Zosia wciąż opowiadała o zbytkach Wtoruchy, rozumie Starej, figlach Antka. Jaś słuchał, oczy mrużył, aż je zamknął.

Dziewczyna zlazła z posłania.

— A co teraz będzie? — spytała.

— A co ma być — odparła Kunda. — Starzy wrócą na swoje legowisko — Jasia wezmę na swoje werko, będzie mu z bydłem weselej.

— A Biedroń nie będzie go bił?

— Niech mi go raz jeszcze dotknie, a i koniec jego na tym świecie.

— Kunda, bój się Boga!

— Głupiaś, nie twoja głowa na to. Wracaj do chałupy, a jutro w południe przyjdź do

stajni pobawić się z Jasiem. Może mi się uda zostawić ci odrobinę mleka w garnuszku. Biedrońka nie da ci nic za pasanie, to przynajmniej wypijże trochę jej mleka.

— Prawda — szepnęła Zosia i pocałowała Kundę. — Czworo bydła paść, to nie jedną Starą. Takam ci kontentna, że mi Jasia nie zabrali do nieba — szepnęła.

— A ja — zawołała Kunda. — Mnie się wciąż zdaje, że to mój chłopak i że ino jego jednego na bożym świecie mam.

IV.

Stało się, jak Kunda chciała. Jasia przeniesiono do obórki, starzy wrócili na łóżko do chaty. Zosia pasła, przychodziła bawić się z chłopcem i wypijała schowane przez Kundę dla niej mleko.

Pierwszej niedzieli po ocuceniu się Jasia, Biedroń wybrał się do organisty, razem poszli do proboszcza.

— Musicie zrobić cosik z chłopakiem — prawił organista. — Za delikatny do roli i gospodarstwa. Rola twarda, to i twardych do siebie potrzebuje. Chłopakowi patrzy z oczu łatwy chlebuś, piórkiem smarować po papierze, albo przy ołtarzu mszę odprawiać.

— A mój dobytek, a kawał ziemi wydrapany pazurami pójdzie na marne?... przepadnie!?...

— Wróci do ludzi — rzekł filozoficznie organista.

— A niech mnie i chłopaka wpierw ziemia pochłonie.

Biedroń się żachnął.

— Dajcie pokój, jak syn wasz dostanie probostwa sto morgów, to o wasze dwadzieścia nie będzie dbał.

— La tego nie chcę, żeby był proboszczem, ani matereuszem. Na proboszczy idą biedaki, on ma rolę, to niech na niej siedzi i kawałka chleba pilnuje, bo to jego własny.

Biedroń się trząsł, ciskał błyskawice z oczu. Organista zmiarkował się i zrozumiał, że bogacz nie chce marnować dorobku.

— Ciężko pomyśleć, żeby praca całego życia i tyle zachodu zmarniało. Macie racyę kumie. Niech chłopak siedzi, kiej ma na czem. Ino widzicie słabiuśki.

— Stać go na parobków.

— Dla ludzi miękki, od gęby se odejmie, da drugim.

Biedroń syknął, jak gdyby go wąż ukąsił, palce nerwowo wyprostował, czapkę zsunął z czoła i zaklął szeptem. Organista się tego szeptu przestraszył i mówił dalej:

— Jak dziecko — jedno takie, drugie owakie. Niechno urośnie, to i zmądrzeje, zobaczycie. Łatwo mu teraz z nieswojego, ale później ludzie nauczą go rozumu.

Na myśl, że ludzie zdzierstwem swem będą

uczyć rozumu jego syna, Biedroń przygryzał zębami wargi.

Szli w milczeniu. Organista nie wiedział jak i co ma mówić, aby nie gniewać starego. Biedroń, nieustannie drażniony w swych uczuciach, nie chciał wyciągać na słowa, które mu przykrość sprawiały. Żałował, że idzie do proboszcza, lecz już cofnąć się nie śmiał.



Proboszcz, stary i doświadczony w życiu człowiek, przyjął bogacza łaskawie i grzecznie, sadząc go za stołem, gdy organista, jako sługa kościoła, został przy drzwiach.

Przyniesiono wino, rozlano w kieliszki, proboszcz jeden podał organiście.

— Za wasze, Biedroń, zdrowie, za tę ciężką pracę, za tę zapobiegliwość, co to nie zmar-

nuje napróżno jednego dnia!... Za ten wasz pot, co wam spływał z czoła.

Uderzył kieliszkiem o kieliszek Biedronia, organista pocałował proboszcza w rękę.

— I co powiecie, sąsiedzie? — spytał ksiądz.

Biedroń nieśmiało pochylił głowę.

— Wedle syna — szepnął.

— Słyszę, zdrowszy, Bóg ulitował się nad wami i chcecie Mu podziękować — bardzo dobrze.

Na Biedronia buchnęły ognie; zrozumiał, że się nie wywinie. Sięgnął do kieszeni, wydobył woreczek i zaczął odliczać szóstki.

— Na mszę świętą — szepnął cicho.

— Daj dwa papierki, będziesz miał śpiewaną. Powinno być wtedy w kościele wesoło. Niechaj działa biją, surmy grają, dziedzic Biedronia jakby wrócił z tamtego świata. Gdybym był tobą, dałbym piątkę na wotywę.

Biedroń odsunął dwa papierki drobnemi. Proboszcz wziął pięć szóstek i podał organiście.

— Zaróbcież i wy, bo od kogóż, jeśli nie od bogacza. Jutro rano o ósmej. Jeszcze jeden kieliszek!...

Stary, chcąc choćby winem odbić wydane pieniądze, wypił łakomie.

— Dziedzic Biedroniów wprawdzie wrócił jakby z nieba, cudem — zaczął, wzdychając, organista — ale cóż? słabiutkie to, nikłe, do roboty ladajakie.

— Bo młode — zawołał ksiądz. — Dawajcie mu chleba, mięsa, jaj, to skrzepnie i sił nabierze.

Zwrócił się do Biedronia:

— Możebyś go chciał na księdza, albo urzędnika kierować?... A kogo na roli osadzisz?... W seminaryach pełno od chłopskich dzieci i w szkołach pełno i na uniwersytecie pełno, a probostw niewiele, a na jeden urząd dziesięciu się pcha. Bieda dręczy, głód szarpie wnętrzności. I co robić?... Do roli nie można wrócić, bo niema do czego, a na rzemieślnika zapóźno.

— Kiedy będzie miał kawałek własnej roli, niech go pilnuje i broni — oświadczył Biedroń.

— Tak, tak, — powtórzył proboszcz — niech go pilnuje i broni. Biedroń, tyś nie głupi. Ty nie chcesz wychować dziecka tak, aby było dla ciebie obce, a i ty dla niego. Ty będziesz na niego łożył, wyciągał ostatni grosz, a gdy wyrośnie i ożeni się z miejską panną, to ci się będzie wstydził.

— I ciężką moją pracę zmarnują, rolę mi zaprzepaszczą...

— Puszczą, przehulają i śmiać się jeszcze z ciebie będą.

Biedroń chciał uderzyć pięścią w stół, lecz się zatrzymał.

— Chłopak z roli wyszedł, niech na roli zostanie — kończył proboszcz.

— Chłopem się urodził, niech chłopem będzie — poświadczył Biedroń.

— To prawdziwie mądre słowo — pochwycił proboszcz, klepiąc po twardem ramieniu starego. — Bo gdyby wszyscy chłopi dzieci swoje gnali do szkół, chłopówby niedługo zabrakło. Rola stałaby pustką...

— Ale na ten przykład... — zaczął nieśmiało organista.

Oczy proboszcza i Biedronia zwróciły się ku niemu. Ośmielony mówił dalej:

— Na ten przykład, święte są słowa jegomości, tylko że chłopczyna, jak mówiłem, delikatny jakby pańskie dziecko, a rola twarda. Powinien se spocząć, póki nie urośnie.

Zaczął mrugać na proboszcza.

— Teraz go ciągnąć do roboty, — odezwał się proboszcz — to byłoby to samo, co go za-

bić. A przecież Biedroń nie chce zabijać swego syna. Wiele ma lat?

— Dziesięć na święty Marcin skończy.

— Niech się uczy, już czas. Dobrze wam, że wy umiecie czytać i pisać i dlatego się nawet żydowi nie dacie — co?... Nie jestem ja za tem, żeby w chłopa pchać mądrość, tylko tyle, co potrzeba. Niechaj umie przeczytać papier z sądu, książkę w kościele, pismo ze starostwa — to dosyć.

— Tak, — poświadczył Biedroń — niech się uczy, zanim przyjdzie do sił, żeby mógł stanąć przy mnie na roli. Zgoda, niech się uczy. Alamentarz kupię i tabliczkę kupię, a pan organista niech mu pokazuje. Trzeba mu pofolgować, co prawda, to prawda...

— Trzeba — poświadczył jegomość. — Mówią, że chłopak przylepka, ludzie go okrutnie lubią i okrutnie chwalą.

Biedroń się żachnął, lecz zapanował nad sobą.

— Przyślijcie mi jutro chłopca w południe, wysłucham go pacierza i pogadam z nim rozumnie.

— Żeby mu przecie jegomość powiedział, że do ludzi lgnie, a od ojców stroni.

— Bo go ludzie psują, pieszczą, dogadzają mu. Ale niechno...

— Zmądrzeje — dokończył za jegomością organista — gdy pozna, kto na niego pracuje, kto dla niego składa...

Wizyta się skończyła. Biedroń, mimo że go przyduszono do wydania dwóch papierków, był z niej rad. Ksiądz czytał w jego duszy i własne jego myśli wypowiadał.

— Mądry — szepnął.

— Ha, ha, drugiego takiego na całą okoliczność szukać. Zdaje się, że on siedzi w człeku i przez niego gada — poświadczył organista.

Nazajutrz w południe matka przystroiła Jasia w czystą koszulinę, zawiązała mu u kołnierza czerwoną wstążeczkę, kazała obuć bucięta, zawdziała na niego białą płótniankę, czerwoną z czarnym barankiem rogatywkę i poleciła Zośce podprowadzić go do jegomościa.

Zośka wymyta i wyczesana, również w czystej z niedzieli koszuli, podała chłopcu rękę. Kunda ich wyprowadziła za wrotka, patrząc za niemi z lubością.

— Parka jak ulał, — szepnęła — gdyby ino starego zła krew z wściekłości zalała. Czekajmy, przecież to nie dziś, ani jutro.

Dwoje dzieci majaczyło, odcinając się od zieleni i złotego słońca białością płótnianki Jasia i czerwonością spódniczki Zosi.



— Psów się nie bójcie, bo na łańcuchach, a przed jegomością śmiało — zawołała. Dzieci się obejrzały. Jaś skłonił się krakuską, Zosia ręką.

— I miałabym przytulisko na stare lata. Ale cóż, u Biedronia twarda skóra, a rogata dusza — westchnęła.

— Zośka, bucięta twarde gniotą mi nożyny — odezwał się Jaś.

— To się zzuj, poniosę ci je.

— A można to do jegomości wleźć bez butów?

— Można, bo ja je będę trzymać w garści, a nie, to ci je zawdzieję.

Posadziła chłopca na murawie, ściągnęła mu buty i siadła przy nim.

— Słabiuśkiś jeszcze — szepnęła.

— Nożyny mi dygoczą.

Blada, chuda jego twarz zaróżowiła się od zmęczenia. Oddychał ciężko.

— Spocznij se — odezwała się, głaszcząc go po chudej twarzy.

Nauczona przez Kundę, korzystała z każdej sposobności, aby go pogłaskać. Czyniła to z pewną lubością i rozkoszą.

— Zosiu — rzekł chłopak serdecznie, rozglądając się — świat ci okrutnie miły.

— O, miły i bardzo — odpowiedziała dziewczyna. — I to słonko, co nas grzeje.

— Cały, Zośka. Niebo takie niebieskie, zielona murawa, wielgie drzewa i to ptastwo, co świegoce.

— Wszystko! — zawołała dziewczynina. — Jaś! miło przecie żyć.

— Miło — szepnął.

— A tyś się chciał zagubić, pamiętasz?

— Ej, nie — odpowiedział cicho, patrząc przez wylot wąwozu na gromadkę białych brzóz, zieloną łąkę i zwierciadło wody, wyglądające z zagajnika ciemnych olszyn.

Zosia stała przed nim i czekała. Zniecierpliwiła się.

— I czegóż tak bez upamiętania ślepia wytrzeszczasz? — zawołała.

— Na świat — odpowiedział cicho. — Spojrzyjno — wskazał ręką.

— A przecie widzę.

— Powiedzże: miłe?!...

— Co takiego?

— I te brzozy, i ta zieloniutka łąka, za nią woda...

— Nie widziałeś to już ze sto razy i wody i łąki?... Tak, jakbyś z tamtego świata wrócił.

— Tak mi się jakoś wydaje... Ale powiedz sama, że to przecie miłe?

— Prawda, ale lećmy, jegomość czeka.

— Okrutnie mi się nie chce tam iść — szepnął.

— Nie chce ci się, a mus?

— Wróćmy i powiedzmy, żeśmy byli.

— W niedzielę wszystko się wyda. Chodź, zbędziesz się odrazu, a potem sięDziesz se i możesz patrzeć bez upamiętania.

Podała mu rękę, Jaś usłuchał i dźwignął się. Gdy szli przez wieś, wybiegały kobiety witając Jasia po ciężkiej chorobie, pieszcząc go i całując, jako nawiedzonego przez Najświętszą!...

Rozweselony, rad, w głębiach serca nieco dumny, wdziawszy buty przed bramą, stanął na ganeczku probostwa, lecz nie śmiał drzwi otworzyć. Otworzyła je Zosia i znowu zatrzymali się w sieni onieśmieleni.

— Kto tam? — wydobył się chrapliwy głos gospodyni przez otwarte drzwi kuchni.

— Jaś od Biedronia. Kazali przyjść od jegomości — odpowiedziała Zosia.

Nazwisko Biedronia podziałało magicznie. Drzwi się rozwarły...

Jaś zdjął czapkę, zbladł i szepnął do Zosi:

— Przecie pójdziesz ze mną?

— Puściłabym cię samego?...

Jaś, stukając butami, przeszedł wysoki próg, Zosia trzymała go za rękę. Jegomość siedział w fotelu, w okularach, z brewiarzem w ręku.

— Bliżej — odezwał się ksiądz, kładąc książkę.

Chłopiec blady, zasłoniwszy usta krakuską, podszedł. Jegomość wielką swą rękę położył na białej jego głowie.

— To Biedroń, a ty mała?

— Ja Zośka od Tyksiny wdowy, pasę za Jasia bydło Biedroniowe i przyprowadziłam go, Kunda kazała, bo bardzeńko jeszcze słabiuśki.

— Chorował?...

— Bez Wtoruchę, wpadła w parye, Jaś okrutnie się zaląkł.

— Słyszałem.

Zwrócił się do Jasia.

— Umiesz pacierz?

— Umiem — szepnął wystraszony Jaś.

— A chcesz się uczyć?

— Chcę — odpowiedział uradowany, że się od pacierza uwolnił i uśmiechnął się.

— Będziesz się uczył u organisty, jak tylko skrzepniesz.

— Zdrowym — zawołał.

— Ojciec cię każe uczyć. Ojciec ciężko pracuje, skąpi sobie, ciuła, zbiera, aby tobie było dobrze, bo to wszystko dla ciebie — słyszysz?

— Słycham — szepnął.

— Toć przecie za to powinieneś ojca szanować i kochać.

— A ino — rzekł śmielej.

— A ino?!... a ty podobno lgniesz do ludzi, a uciekasz od ojca.

— Proszę jegomości — zaczęła rezolutnie Zosia. — Jaś jest dobry, ale kiej ojciec go okrutnie piorą. W chorobie tak go lunął trzciną, że jeszcze do dziś ma siną pręgę. Jaś pokaż.

— Nie trzeba. Ojcu wolno, na ojca się nie skarży; rozumiecie!...

Dzieci milczały.

— Ludzie teraz lgną do niego, schlebiają mu, bo wiedzą, że będzie bogacz, że go będzie można pociągnąć... Ludzie mu nic nie dadzą, a ojciec da mu kawał świętej ziemi i dobytek, rozumiecie?

Dzieci zafrasowane milczały.

— No, Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, prędko i do domu.

Dzieci padły na kolana, przeżegnały się głośno i Zosia, za nią Jaś, trzepali wyrazy modlitwy szybko i wyraźnie. Skończyli, przeżegnali się, pocałowali jegomościa w rękę i odeszli, okraczając niezgrabnie wysoki próg.

Z plebanii lecieli co sił. Zmęczony Jaś zatrzymał się, usiadł, Zosia ściągnęła mu buty.

— A umiał Jaś paciorek? — pytały ich na drodze kobiety.

— I jak jeszcze — odpowiedziała Zosia. — Jegomość się dziwował.

— A któż go nauczył? przecie nie Biedroń. Może sama Przeczysta Panienka.

— Pewnikiem — odpowiedziała dumnie Zosia.

Dzieci uszczęśliwione, trzymając się za ręce, obeszły cmentarz na wzgórzu. W tem samem miejscu siadł Jaś, Zosia obok niego kucnęła.

— Teraz to se wytrzeszczaj ślepia, ile ci się żywnie podoba, na jegomościną łączkę i na wszystkie różności.

Jaś popatrzał chwilę i odwrócił głowę.

— A cóż to jegomości szkodzi, że ludzie lgną do mnie? — odezwał się.

Dziewczynina nic nie odpowiedziała.

— Gadaj-że Zośka?

— Pewnikiem Biedroń skarżył się, że cię ludzie psują.

Jaś zamyślił się, lecz przykrego wrażenia nie mógł zatrzeć.

— Jeśli się nie będziesz wpatrywał, to chodźmy. Trzeba bydło wygnać. Pójdziesz ze mną na błonie i popatrzysz, jak się dzieci bawią.

Kunda wyganiała dobytek za wrota, zobaczyła dzieci i przypadła do nich.

— Cóż jegomość?... — pytała.

— Powiedział, że Jaś pójdzie się uczyć do organisty — oświadczyła Zosia.

— Przecie! Nie będzie mi chłopca gnał do roboty.

— Jegomość się gniewali, że do mnie ludzie lgną — szepnął Jaś.

— A jegomości co do tego?!... Bojaźń boska, miłość ludzka. Nikt, tylo stary nagadał, bo się boi, żeby Jasia nie było stać na miłosierdzie, on chce wszyćko la siebie, nawet gdy go ziemia przykryje. Ale ty będziesz miłosierny i będziesz miał z czego...

— Będę — rzekł Jaś z dumą i pewnością siebie.

— Idźcie się przewdziać i lećcie na błonia do mnie.

Organista przywiózł z miasta elementarz z obrazkami, zeszyty do pisania, czarną tabliczkę, rysik i torbę płócienną, podobną do tornistra. Jaś codzień popołudniu w czerwonej krakusce i białej płótniance szedł do organistówki — i tam razem z innemi dziećmi uczył się.

Z początku było mu ciężko, lecz się wkrótce pomiarkował, a że był pilny i pełen zastanowienia, nauka szła mu tak łatwo, że aż organista się dziwował.

— Albo na ten przykład — mówił ludziom — aniołowie mu szepczą, abo łaska boska. A toć przecie za jakie dwa lata będzie tyle umiał, co ja!

Ludzie nie mogli wyjść z podziwienia, uważając organistę za strasznie uczonego.

— Albo łaska boska, albo anieli mu szepczą — powtarzali, patrząc na chłopca, jak zasłuchany i zapatrzony wracał do domu, lub szedł na błonia do Zosi.

Wtedy Zosia zaganiała bydło na środek, Jaś siadał na starem kretowisku, otwierał elementarz i uczył dziewczyninę. I ona była okrutnie ciekawa i ochotna do książki.

Czego się nauczył od organisty, pokazywał dziewczynce. Zosia kładła się na murawie, albo

kucnąwszy, rysikiem po tabliczce wodziła, jak jej kazał Jaś.

Nowe to zajęcie pochłaniało dzieci, otwierając urocze horyzonty dla ich myśli, marzeń i nadziei. Opowiadali sobie cuda, co to będzie, gdy się dobrze nauczą i co święto we dwoje pójdą do kościoła z książkami. Z książek będą się modlić i śpiewać.

*
* *

Chłopiec rósł i uczył się, dziewczyna przy nim.

Nastała zima. Jaś wciąż chodził do organisty i krzepł zwolna. Matka mu kupiła nowe buty, kazała przerobić stary kożuszek. Ciepło mu było. Stary go nie bił i nie gnał do roboty. Zrobił się spokój. Jaś w domu pilnował książki, zapisywał kajety, patrząc łagodnie i serdecznie błękitnemi oczyma na ludzi.

Kunda co go dopadła, pocałowała. Matkę zbierała zazdrość, lecz jakoś nie umiała, wstydziła się samej siebie pieścić syna.

— Święte dziecko, — powtarzała Kunda w stajni, w stodole, na drodze, u ludzi, gdzie mogła — a jak spojrzy temi modremi ślepkami, to aż się serce raduje.

Biedroń zapracowany nie zwracał uwagi na chłopaka, czekając cierpliwie, póki nie uro-

śnie. Chłopak się go bał, schodził mu z drogi i z oczu...

Wracając od organisty, zlatywał codzień wydeptanemi w śniegu ścieżkami do Zosi.

Dziewczynina nie miała butów, całą zimę siedziała w domu, zaledwie w matczynych przebiegała do obórki do Starej i po wodę.

Jaś wpadał rozpromieniony, był już w połowie drugiego elementarza, a Zośka nie mogła skończyć pierwszego. Pokazywał jej co nieco, przeczytał, pośmiał się, pogwarzył i wracał uradowany do domu.

Olszyny wyskakujące z ziemi, zasypane śniegiem, czerwieniejące przy zachodzie słońca, ciche i ponure, gdy niebo zawaliły chmury, przykuwały jego wzrok. Patrzał bez upamiętania, nie wiedząc o świecie. Budziła go wrona, kracząc mu nad głową, chłopcy wiozący na saneczkach gałęzie z lasu, parobcy wracający z roboty, kobiety z miasta.

Chłopcy i parobcy żartowali sobie z niego, lecz kobiety szeptały między sobą:

— A może ujrzał stadko aniołów lecących do nieba...

Jaś zamyślony i zasłuchany wracał do domu. Coś go roztkliwiało i wzruszało, nie wiedział, co. Było mu smutno i rzewnie...

— Poleciałbym też, poleciał, — marzył — za te wielkie góry, za te czarne lasy. Zaprządz szkapy do wozu i dalej, wio! Przy mnie Zośka, a Kunda w chacie pilnowałaby dobytku?...

Zaśmiał się serdecznie i na ten temat snuł projekta dziecięce i wesołe...

Mijały krótkie dni, a długie noce, wolno lecz ciągle, bez przerwy płynęły. Chłopak się uczył zapamiętale, organista zdziwiony wstrząsał głową.

— Dwa elementarze w niespełna ośm miesięcy. A toć przecie ja na ten przykład przy każdym siedziałem dwa lata — opowiadał dziwiącym się kumom.

Chłopiec prosił o trzecią czytankę i molestował o nią okrutnie.

— Dziecko, czwartej już niema — tłómaczył mu organista. — Cóż będziesz robił, jak trzecią skończysz?

— Nie wiem — odpowiadał cicho i znowu prosił i molestował.

Duma organistowa nakazała kupić trzecią, i kupił wraz z kajetami do pisania i drukowaną tabliczką mnożenia.

Biedroń pomrukiwał, że go organista zdziera, lecz zapłacił.

— Im będzie mędrszy i mocniejszy na książce,

tem lepiej, bo się nie da oszukać ani żydowi, ani w sądzie, ani nawet w starostwie.

Tem się pocieszał, przebaczając zdzierstwo organiście.

Jaś do wiosny trzecią czytankę skończył i zapisał wszystkie kupione kajety. Tabliczkę umiał na pamięć, liczył do miliona, a nareszcie napisał list do Zosi wierszami, jak wojak, opisując jej rożności widziane w mieście i w wojsku. Dużo o panu kapralu. List sam zaniósł, a ponieważ Zośka nie znała pisanego, przeczytał, śmiał się i cieszył.

Organista pokazał list ten proboszczowi.

— A to fanfaron, — rzekł jegomość — jeszcze to od ziemi nie odrosło, a już tak udatnie kłamie. Ktoby nie wiedział, myślałby, że to prawda... Dobrze, że go Biedroń zostawi przy sobie, bo gdyby poszedł do miasta i został adwokatem, byłby z niego kręt pierwszej klasy...

— Święte słowa jegomości — poświadczył organista. — Niema nic gorszego, jak szelma mądry chłop, a uczony. — Gorszy od żyda. A Jaś będzie o wiele mądrzejszy od swojego ojca.

— Tylko że chłopcu dobrze patrzy z oczu, jakiś przytulny.

— Przychlebny, przylepka — dodał organista.

— I dlatego niech zostanie na roli, Pana Boga chwali i dba o kościół.

Wieść o liście Jasia do Zosi wierszami i o dziwowaniu się nad niem jegomości rozeszła się po wsi. Kobiety cisnęły się do chłopca, prosząc o listy do Ameryki i do synów w wojsku. — A że nie przychodziły z próżnemi rękoma, Biedronie byli kontenci i radzi, że ludzkimi datkami koszta nauki chłopca odbiją... Jaś rósł w powagę i uznanie. W listach wypisywał różności i sam najwięcej cieszył się z nich. A gdy listów nie żądano, pisał do Zośki, biegł do niej, czytał głośno i śmiał się szczęśliwy.

Kumy między sobą szeptały:

— Najświętsza zostawiła go nam na pociechę i wygodę. To Ona migiem wyuczyła chłopca czytać i pisać.

Ludziska lgnęli do Jasia.

V.

Druga zapanowała w całej pełni i blasku wiosna.

Biedroń postanowił syna, który już skrzepił się i urósł, zaprawiać do gospodarstwa.

— Na listy i czytanki dosyć niedzieli — powiedział ostro — chleba darmo jeść nie można, od jutra do roboty. Zbudzę cię na świtaniu.

Jaś w milczeniu wysłuchał rozkazu ojca.

— Zaczyna ci go znowu gnać — szeptała Kunda. — Ledwo chłopak się ocudził, już go zaprzęga do jarzma...

Nazajutrz rano dostał parę koni i brony, aby skrudlił pod siew. Chłopak lubił konie, duma w nim grała. Parobek mu pokazał, dał lejce i bat, Jaś świsnął i jak ptak skacząc z bruzdy na bruzdę, biegł za końmi.

Ojciec siał, parobek za nim włóczył, chłopiec bronami targał i równał rolę.

Kunda wcześnie przyniosła śniadanie, otarła chłopcu fartuchem pot z czoła, posadziła na

wozie i podała mu garnuszek mleka, gdy Biedroń i parobek jedli żur.

Biedroń widział połyskujące od słońca mleko na łyżce chłopca, lecz, nie chcąc rozpoczynać wojny, milczał.

— Przyjdzie niedziela, to mi pisaniem za mleko zapłaci — pocieszał się.

— Jakże ci Jaś? nożyny cię bolą? — spytała Kunda.

— Ej, nie, skaczę se ze skiby na skibę leciutko, a jak ino skończę, będę wlókł za Walkiem siew! — słyszysz Kunda?

— Słycham — odpowiedziała — dziwuję się, ale się i boję, żebyś nie zesłabł. Na wiosnę ludzie i bydło słabiuśkie.

Chłopiec oddał Kundzie garnuszek, otarł usta, zeskoczył z wozu i był gotów.

— Cóż Zośka? — spytał cicho.

— Pognała wasze bydło na błonia.

— Dziopa się nalata, naharuje, trzeba jej przecie za to jakoś wynagrodzić...

Kunda obejrzała się na Biedronia i cicho odparła:

— Miałabym też sumienie tak się pastwić nad dziewczyną. Co ino mogę, to w nią pcham. Odniedała się, wybielała na twojem, Jasiu, mleku i chlebie.

— Dziękuję ci, Kunda, że dbasz o Zośkę tyle, co o mnie.

— Nie tyle, nie tyle, mój chłopcze, ale przecie nie dam jej zmarnieć.

— Kunda, ja nikogo nie mam, tylo ciebie i Zośkę, pamiętaj to sobie.

— No, no, żebyś ty ino nie zabaczył, jak urośniesz.

Chłopak popatrzał zdziwiony.

— A bo to mogę, choćbym chciał!

— Do bron! — krzyknął Biedroń, nie kontent, że chłopak do niego ust nie otworzy, a z Kundą rozprawia.

Jaś drgnął nerwowo, pochwycił bat, dopadł do koni, sprzątnął im siano, wziął lejce i żeby się pochwalić przed Kundą, świsnął i pojechał. Koniki szły raźno, Jaś jak wróbel skakał przy nich ze skiby na skibę, batem śmigał. Brony rozbijały twarde bryły, świeża, pulchna ziemia rozsypywała się, słońce wyciągało z niej wilgoć białymi oparami — Biedroń rzucał w nią złote ziarno, skowronki wyskakiwały z pod skib, wzlatywały słupem pod niebo, świergocąc wesoło.

Radość w naturze udzielała się ludziom i zwierzętom, radością tą było słońce i ciepło.

Stary zasiał i poszedł do domu, parobek z Jasiem wlekli do południa.

Jednym wozem wracał Walek z bronami, drugim, próżnym, wysunął się naprzód Jaś. Jechał ostro i śmiało, ludzi po drodze witał. Kobiety pokazywały go sobie, a on się cieszył z wrażenia, jakie robił.

Kłusem wjechał na dziedziniec, za nim Walek. Konie odprzągł, zaprowadził do stajni, uwiązał, zarzucił im siana i zobaczywszy, że bydła w oborze jeszcze niema, poszedł na błonia, wziąwszy ze sobą bat.

Szedł wolno i poważnie, póki nie minął obejścia. Obejrzał się i pogalopował pod górę wąwozem z całych sił.

Na błoniu było gwarno i wesoło, słońce złociło świat, murawę, dzieci i bydło. Pastuszkowie, zbici w gromadkę, grzali się na słonku, baraszkowali, śmiali się głośno, serdecznie, aż im leszczyna na zagajniku odpowiadała.

Zosia, zobaczywszy biegnącego chłopca, krzyknęła, aby bydło zgonił i pomógł pędzić je do domu. Jaś usłuchał, bydło wpędził w wąwóz i złączył się z dziewczyną.

— A czy ty wiesz, Zośka, że dziś włóczyłem parą końmi do samego południa?

— Jabym też o tem nie wiedziała, mój ty gospodarzu! I jakże ci szło?

— Jak?... Sam z powrotem jechałem wozem, ludzie stawali.

Zosia się dziwowała, kręcąc głową.

— Trzeba się będzie powoli gramolić na parobka — dodał z dumą.

— A to mi parobek! ha! ha!

Rozśmiali się oboje.

— Okrutnie mi się cnęło bez ciebie, mój Jasiu — zagadała dziewczyna. — A tobie?

— Ja uganiałem przy koniach, skacząc ze skiby na skibę, to i nijakiej pamięci nie miałem. Dopiero, gdym do chaty wrócił, opamiętałem się i pognałem po bydło...

Spojrzeli sobie w oczy. Jaś szukał oczyma, o ile prawda, co mówiła Kunda, że dziewczyna urosła i wybielała.

— I czegóż tak ślepia na mnie wytrzeszczasz — szepnęła Zosia.

Buchnęły na nią ognie. Chcąc je ukryć, poleciała za Wtoruchą, skręcającą z drogi.

— Kunda mówiła prawdę — pomyślał Jaś — odniedała się, wybielała...

Wróciła zdyszana, zarumieniona, z błyszczącemi oczyma.

— Zośka, Kunda dobra, nieprawdaż? Jak pojedziemy w świat, zostawię ją na gospodarstwie.

— A gdziesz to ty chcesz jechać, latawcze?

— A choćby do Krakowa. Przecież i ty chciałabyś ujrzeć Kraków?!...

— Czybym chciała, mój ty Boże?!

— Powiozę cię sam kutym wozem, ludzi po drodze będę się pytał: którędy do Krakowa?

Młodość, wiosna, słonko rozweselało ich.

— A nie cnie ci się za książką? — spytała Zosia.

— Czytanki umiem na pamięć, innych niema. Gdybym miał inne!

— Ej, co tam inne, tyś już i tak mądry. Ledwo coś od ziemi odrósł, a ludzie mówią, żeś najmądrzejszy w całej wsi. I cóż ci więcej potrzeba?

— Jaś się zamyślił.

— A gadajże — zawołała dziewczyna.

— Co tu gadać, okrutnie ciekawym i już.

— Daj se spokój z ciekawością. Wiosenka, siewy, cały świat się raduje, a ty ciągiem ciekawyś. Raduj się za drugimi, zbytkuj, dokazuj!...

— Ale jak?

— Bylejak, byle co niebądź. Mało to chłopaki na błoniu zbytkują?...

— Ujęła go w pół. Z pochyłości góry lecieli z całych sił, wiatr tamował im oddech. Zdy-

szani padli na murawę. Zosia, łapiąc powietrze, chciała się śmiać, lecz nie mogła. Jaś zmęczony odpoczywał.

— Czy to zbytki? — zapytał po chwili.

— A jakichżeś chciał? — odparła zdziwiona.

— Innych — szepnął.

Oparł głowę na łokciu i patrzał przed siebie.

— Są różne, ale ty widzę do zbytków, jak i ja.

— Ha, to nie zbytkujmy, Zośka — odpowiedział. — Siadaj se wele mnie, zanim bydło z wąwozu nadciągnie.

Zosia siadła i zaczęła go głaskać po twarzy.

— My nie do zbytków — powtórzyła.

— Nie — szepnął. — W powszedni dzień robota, ale jak przyjdzie święto!...

— Wyśpisz się.

— Spać cały boży dzień?

— Więc czegóż chcesz?

— Zośka, tyś nic, ani odrobiny nie ciekawa.

— Nie, bo i po co?

— I nie poszłabyś do dworu po książkę?

— Wstydzę się, ale kiej chcesz koniecznie. Kunda była we dworze, wtedy gdy la ciebie po doktora jeździła. Poproś ją, ona pójdzie.

Bydło wypadło z wąwozu, dzieci się zerwały, zganiając je na drogę.



— Zośka, pogadaj z Kundą, ona cię lubi...

— A la ciebie słonkoby ściągnęła z nieba. Ale kiej chcesz, powiem jej...

Od południa Jaś z parobkiem wyjechali w pole. Walek miał orać, a Jaś poganiać.

Zosia przyszła wygnać bydło.

— No cóż? — spytała jej Kunda — zabawiłaś się na błoniu z chłopakiem.

— Wiecie, tak się jakoś we mnie wpatrywał, że aż ognie na mnie buchnęły i uciekłam.

Kunda się rozśmiała.

— Powiedziałam mu, żeś na jego chlebie

wybielała i odniedała się. Przypatrywał ci się, bo chciał się przekonać, czy to prawda.

— To bez to? — szepnęła.

— A bez cóż? Wiesz, Zośka, ty się odniedajesz. Ślepia ci się świecą, jak u kota, a chociaż jeszcześ dziopa, bielejesz. Tylo go trzymaj, a przyjdzie czas, że będziesz się po Biedroniowem bogactwie rozpierać.

Zosia spuściła oczy.

— Nie kpinkujcie...

— No, no, ty sama miarkujesz, że prawda, co mówię. Ledwo konie odprzągł, pognał na błonia. Do kogóż?... przecież nie do Wtoruchy. Ej, Zośka, nie udawaj...

— Nie udaję, ino Jaś prosi was, byście lecieli do dworu po książki la niego.

— Jakie?... — zawołała Kunda.

— Bądź niejakie. Cnie mu się i ciekawość go zbiera.

— Wiosna, słonko grzeje, trawka rośnie, roboty huk, a jemu się cnie!... Ej, Zośka, nie namawiaj go ty na głupstwa, bo będziesz mieć z nim utrapienie. W głowie mu te różności przewrócą i nie będzie z niego pociechy.

— I ja to samo czuję — szepnęła Zosia — lecz cóż, kiej tak jakoś przychlebnie prosi... Pójdziecie Kunda?

— Nie pójdę — odpowiedziała ostro. — Niech idzie, kto chce, nie pójdę.

— I cóż mu powiem?

— Ja mu sama w uszy nakładę! Te ciekawości, to tylko utrapienie la chłopca.

— Chłopczyna, że do rany przyłóż — odezwała się Zośka.

— Ale ci jakiś inakszy. Mówię ci inakszy, i ta jego inakszość nieraz się nam da we znaki.

— Niech będzie jaki jest, bo taki bardzeńko dobry.

Wobec tego poświadczenia pogwara zamilkła.

Wieczorem, gdy już słońce zostawiło po sobie zaledwo świetlany pas na skłonie widnokręgu, Jaś wpadł do chaty Tyksiny.

Wylękły się matka i córka. Usiadł na ławie i odpoczywał.

— Mówiłaś z Kundą? — zwrócił się do Zosi.

— I po toś aż tu przyleciał?

— Spać się nie chce... — urwał, patrząc na Zośkę miłosiernie, aby ona przemówiła, lecz dziewczynina smutna milczała.

— Poganiając przy pługu — zaczął — myślałem se wciąż o dworze. Chłopak z kredensu mówił mi, że jest ich tam pełniutka szafa.

— Czego? — spytała zdziwiona Tyksina.

— Ej, niczego takiego, matusiu, książek.

— Kunda sfukała mnie i powiedziała, że nie pójdzie — rzekła Zośka.

— I bez co?... — spytał smutno Jaś.

Żałość chłopca chwyciła dziewczynę za serce, że przemówić nie mogła. Zresztą, nie wiedziała, jak oblec w wyrazy wtłoczony przez Kundę w jej głowinę strach.

— La czego nie chce?... Powiedz-że Zośka — nalegała Tyksina. — Dzieci, o cóż wam idzie? Matki się boicie?... Jaś, ty masz przecie rozum, gadaj!

— Zośka mówi, że Kunda nie chce lecieć do dworu prosić la mnie do przeczytania bądźnijakiej książki.

— A to ja polecę! A cóż to mi dwór dziwota? Byłam jakie sto razy, panienka dobra, do rany przyłóż. Gdym ino tam zaszła, zawdy ją widziałam z książką. Pójdę i powiem.

— Cóż powiecie? — spytała ostro Zośka.

— Nie twoja w tem głowa, umiem ja gadać z dworskiemi paniami.

Jaś się dźwignął i pocałował Tyksinę w rękę.

— I wkiedy pójdziecie? — zapytał.

— Wkiedy? jutro. Wdzieję odświętną chustkę, mam nowe buty. Przyjdź wieczór, książkę

będziesz miał. Tyś la nas, la Zośki dobry i nie zrobiłabym ci takiej odrobiny?

Jaś, uszczęśliwiony, odchodząc, zwrócił się do dziewczęcia:

— Odprowadzisz?

Wyszedł, Zosia za nim. Szli szybko, księżyc wypłynął na błękity, cicho było, ciepło. Wiaterek pomykał z krzaka na krzak, igrał gałązkami leszczyny — pachniały: ziemia i trawa na murawie. Coś chwytało za serce i rozbierało. Chciałoby się weselić i śpiewać, a nogi ciężyły, ręce opadały.

Na skręcie ścieżki przystanął.

— Cóż powiedziała Kunda? — zapytał.

— Że stary jak cię zobaczy z książką!...

— To i cóż?

— To, że się może wściec ze złości. Książkę podrze, ciebie zbije, Kundę wygna.

— Nie zobaczy! Książkę schowam u was. Kupię w karczmie gazu i lampkę, będziemy świecić i czytać...

— Jaś, ja się boję.

Ciemno było, leszczyna ich zasłaniała. Zosia ujęła głowę chłopca i, całując go w usta, tuliła do siebie.

— Ja się boję utrapienia. Mój złocisty Jasieńku nie posyłaj matki do dworu. Po co to-

bie książki, ino nieszczęście sprowadzą na nasze głowy. Daj im pokój, mój Jasieczku.

Całowała go z coraz większą siłą, drżała, miała łzy w oczach, Jaś ich nie widział.

— Kunda cię zbuntowała — odpowiedział, obejmując ją w pół. — Cóż to książki nie są la ludzi.

— Ale nie la chłopa — przerwała Zośka. — Chłop ma rolę, konie, dobytek, gospodarstwo.

Zamilkli, chłopiec rozważał, walczył z ciekawością i obawą.

— Powiem matusi, żeby nie chodzili.

— Jedną tylko. Niech idzie ino po jedną. Ciekawość mnie pali, Zośka, zgódź się na tę jedną. Dowiem się, co w tej jednej, i dosyć...

— Bodaj to była prawda — szepnęła dziewczyna. — Kunda okrutnie się boi książek.

— Kunda głupia... i czego? Rozmówię się z nią!... Przylecę tu jutro na odwieczerz. Dobranoc, Zośka.

Dziewczyna, zasłonięta krzakiem leszczyny, patrzała za nim, póki się nie rozpłynął w jasności księżyca.

Smutna, pełna ciężkich przeczuć, wróciła do izby.

— No i cóż, chłopak lgnie do ciebie? — zagadnęła ciekawie Tyksina.

— Niech matusia nie idą po tę książkę.

— A la czego? — ofuknęła ją.

— Ja się boję i Kunda się boi.

— Dziewka cię nastraszyła i już. Chłopakowi przykrzy się bez książki. Całą zimę siedział nad nią...

— Ale teraz wiosna! Boży świat śmieje się do nas, robota ciągnie w pole, a on ino książki!... Nie ma to mnie do zabawy, dzieci na błoniu, Kundy, koni. On ino do książki. Kunda mówi, że mu ona nieszczęście przyniesie.

— Kunda głupia, mówi ino przez zajzdrość. Chce, żeby chłopak całe życie trzymał się jej spódnicy. Kto wie, czy ona nie będzie zajzdrościć o ciebie, zobaczysz!

— Co matsia mówią, ona mi pochlebia la tego ino, że mnie Jaś lubi.

— Przyleciał umyślnie, prosił i jakżebym mu potem spojrzała w oczy? Otóż pójdę, a ty nie bądź głupia ze swoją Kundą, bo teraz więcej lgniesz do niej, jak do matki.

Nalała do miseczki przyniesionego od Kundy mleka, ukrajała kromkę chleba i postawiła przed dziewczyną.

Zośka zadumana, smutna, podparłszy głowę ręką, jadła powoli.

— Wlepi się w książkę, a na mnie ani spojrzy — szeptała.

— A choćbyś się zamruczała — krzyknęła matka — to i tak pójdę, i co mi zrobisz?

Tyksina lubiła się wystroić i wystrojona chodzić do dworu. Goszczono ją i słuchano, mogła się ugadać z panienką.

W nowych butach, odświętnej chustce, przeszła przez wieś z miną uroczystą.

Przed dworem zajrzała przez sztachety do ogrodu, odchyliła furtkę, weszła.

W kasztanowej alei na ławce siedziała zaczytana panienka. Tyksina krząknęła, żeby ją zbudzić i dać znać o sobie.

Panienka oczy z książki przeniosła na nią.

Przywitały się.

Zrazu wolno, potem coraz prędzej zaczęła opowiadać Tyksina historyę o Biedroniowym synu. W bystrym potoku słów wytworzyła się legenda. Jaś urósł na mistyczną postać. Wszystko w jej opowiadaniu olbrzymiało, zlewając się w całość pełną uroków i nadzwyczajności.

Panienka słuchała. Tyksina, porwana własną wymową, mówiła z coraz większem ożywieniem.

— A teraz przysłał mnie po książkę do pa-

nienki i już — zakończyła, ocierając chustką zroszone czoło.

— Moja Tyksina, nie mam odpowiednich książek dla waszego Jasia.

— Bądźnijaką, byle była, on na każdej czyta i na każdej się rozumie. Pisane lepiej pono czyta od samego organisty.

— Nie rozumiecie mnie.

— Cobym miała rozumieć! Wiem przecie, że jestem głupia, panienka mądra aż strach, ale i to wiem, że nie wrócę z próżnemi rękoma do chłopaka. Czeka ci on pewno na mnie i z niecierpliwości palce sobie naciąga, aż trzeszczą... Nie wygna mnie panienka ze dworu bez książki.

Nie było rady, panienka poszła do pokoju, Tyksina została na ganku, dumna z dokonanego dzieła.

Niedługo czekała, panienka wyniosła jej trzy książki, oprawne w czerwoną skórę ze złocistymi brzegami. Kobieta drgnęła z radości.

Proś Jasia, aby mi je, gdy przeczyta, sam odniósł.

— Prosić go, jeszcze czego. Powiem mu: panienka kazała, abyś sam książki odniósł do dworu...

— Jak mi opowie, co przeczytał, dostanie inne.

— Co niema opowiedzieć?! Taka głowa nie opowiedziałaby wszystkiego dokumentnie. Tylo, że to nieśmiałe, zahukane przez Biedronia, lękliwe.

— Przyprowadźcie go.

— Żeby sam przyszedł, niema na to rady. Wezmę go za rękę i przyciągnę.

Książki schowała pod chustkę i minąwszy dwór, z niecierpliwości biedz zaczęła. Radość ją pchała.

Wpadła do izby, Jaś czekał, Zosia skrobała ziemniaki.

— Masz nie jedną, ale trzy, czerwone, ze złotem — łuna od nich bije.

Jaś pochwycił gorączkowo, obejrzał, roztworzył.

Pocałował matkę w rękę, Zosię w usta, zasiadł na ławie i zaczytał się bez upamiętania.

— A obiad? — przerwała mu Tyksina po godzinie. — Stara będzie cię wołać, stary szukać. Leć-że prędko!...

Jaś chciał wsunąć książkę za koszulę.

— Ani mi się waż! — krzyknęła matka. — Chcesz czytać, to ino tu. Stary zobaczy, odbierze i podrze.



Książkę oddał.

— Kupcie gaz i lampkę — położył na stole dwie szóstki. — Przylecę, jak się ściemni.

Wybiegł.

— I potrzebnie matsia przynosiła. Nie mówiłam, że się w książkę wlepi i o Bożym świecie zapomni, na nas nie spojrzy.

— A cóżeś ty chciała, żeby ślepia ino w ciebie wrażał. Wolno mu i na książkę popatrzeć.

Jaś gnał do domu, że aż ziemia jęczała. Początek przeczytanej historyi na paru kartkach książki nurtował mu w mózgu, olbrzymiał w wyobraźni. Zastępowały mu na drodze wielkie postaci, rycerze zakuci w zbroje, piękne królewny wyciągały do niego ręce. Widział je, patrzył na nie, gdy się rozwiewały, — tęsknił.

Wpadł zdyszany do izby. Na stole stała miska z mlekiem, druga z ziemniakami.

— Gdzieżeś był? — spytała go matka.

— Tam, tam — odpowiedział, zabierając się do jadła.

— Latasz i latasz, w izbie ani cię uświadczy. Jakoś uciekasz od ojca i matki. Ojca może się boisz, ale że od matki stronisz, to wielka dziwota. Kunda cię buntuje!...

— Nie buntuje, — odparł chłopak — rzadko

kiej zagadam do Kundy. Wiosna, ciepło, dusza rwie się na Boży świat — nogi idą same.

— A toć cały dzień siedzisz na dworze.

— Przy pługu, z bruzdy na bruzdę wciąż jedno.

— A cóżeś ty chciał innego?

Chłopak zamilkł, posmutniał, nabierał na łyżkę ziemniaki, nurzał je w mleku i jadł wolno.

— Nowe nieszczęście — rozważał — każą mi siedzieć w izbie, a tam u Zośki czekają na mnie historye.

Serce go bolało, izba zmieniała się w więzienie, rad był z niej uciec.

Wstał, pocałował matkę w rękę, wziął czapkę.

— Gdzież znów?...

— Do stodoły, prześpię się odrobinę, zanim szkapy zjedzą.

— Tak, to co innego — rzekła zadowolona.

Ujęła głowę chłopca w spracowane ręce.

— Tyś jeden ino u nas, wszystko la ciebie, cały dobytek i ciężka nasza praca, ale przecie nie uciekaj od starych, co sobie odejmują od gęby, abyś ty ino miał więcej.

Pocałowała go, pogłaskała i przytuliła.

Chłopcu ciepło się zrobiło na sercu, przy-

garnął się do matki, głowę położył na jej piersiach i westchnął.

— Cóż, cóż? — szepnęła lękliwie, pieszcząc go.

— A nic, ino mi tak jakoś miło, że mnie przecie matsia przygarnęli do siebie.

— Bądź ino dobry, jak teraz jesteś, a nie poskąpię ci dobrego słowa.

Wpadł do izby Biedroń, matka i syn odskoczyli od siebie.

— Bierz, stara, worki, chłopak miotłę, i do śpichlerza!... Ciepło, rola obsycha, jakby umyślnie pod jęczmień...

Biedrońka skoczyła do komory po worki.

— Weź-że pięć, muszę wysiać odrazu całe pięć!... Niech mi pokażą chłopa w Pstrągowej, któryby siał tyle jęczmienia, co ja! Ha, ha! — zaśmiał się sucho. — A jak się utrafi dobry czas, to się może sprzedać i pięćdziesiąt korcy. Choćby po piątce, to wypada dwie stówek i pół.

Włożył ręce w kieszenie, poszedł naprzód, głośno licząc, za nim matka, Jaś i parobek, przywołany ze stajni.

Pracowano zawzięcie. Jaś z matką trzymali worki, parobek sypał szuflą do ćwierci i worków, Biedroń wiązał, worki rzucano na wóz... Gdy zaprzężono konie, Jaś pochwycił lejce

i bat, stary siadł na workach — wyjechali... Parobek drugą parą z bronami ruszył za nimi.

Zaledwo późno wieczorem wrócili. Kunda mruczała, że stary umyślnie chce chłopaka zagubić.

— Niech on spróbuje pięć korcy jęczmienia w pół dnia zawlec i nazajutrz wstać. A cóż dopiero Jaś, dziecko, czternaście lat, a patrzy na dziesięć.

Słyszała skargi Kundy Biedrońka i miała żal do starego. Zasmakowały jej pieszczoty dziecka, zaczęła się bać o niego drżeniem serca i miłością matki. Poza skąpstwem i chciwością wytwarzało się w niej uczucie ciepła, którego dotąd prawie nie znała. Witała je tajoną ze strachu radością i upragnieniem.

Jaś, blady ze zmęczenia, idąc, chwiał się, chudemi nożynami zaplątywał, zdawało się, że padnie. Kunda zawołała go do stajni i podała mu skopek mleka; wypił i ocucił się. Przy wieczerzy matka go głaskała z pewną rozkoszą, lecz pocałować nie śmiała. Wstydziła się starego i dziecka. Nie całowała go dawniej, skądżeby się jej dziś taka nagła ochota wzięła?...

Biedroń, milczący, z pod krzaczastych brwi rzucał zdziwione spojrzenia na żonę i syna.

Po odejściu chłopca stary zwrócił się do żony:

— Psuj go, psuj, i to wtedy, gdy jakoś zaczyna się garnąć do roboty.

— Jednego mam i chybabym nie była matką, żebym go choć nie pogłaskała. Krowa, a przecie swoje liże.

Stary nic nie odpowiedział, rozebrał się, wsunął pod pierzynę i zasnął.

Jaś zamknął się w stodole i czekał, dopóki światło w chacie ojców nie zgasło. Wysunął się pocichu, przeskoczył płotek i pomknął wygonami do chaty Tyksiny.

Księżyc srebrzył pola i młodą brzezinę. Za krzakami stali rycerze i królewny, uśmiechali się do chłopca, jak gdyby mu dziwy chcieli opowiadać...



— Dowiem ja się o was niedługo, za dwa niecałe stajania...

Rad był z siebie, jakaś dziwna gorączka go pchała. Leciał z całych sił, dopadł do chaty, otworzył drzwi i siadł zdyszany na ławie.

Gaz się pa-

lił, Tyksina spała, Zośka przypadła do niego.

— Cóżeś tak leciał, Jaś, gonił cię kto?...

— Ciekawość mnie pcha, to i gnać było mi leciutko.

Zaśmiał się, wyciągając do dziewczyny ręce.

— Ta ciekawość, mówi Kunda, zgubi cię i tyla.

— A niechta! Co ma być, to będzie — dawaj książkę. Gaz galanto się pali, szkoda go marnować.

Z nadpiecka pochwycił książkę, siadł, oparł głowę na ręku i, zaczytany, zapomniał o Zośce, świecie całym, własnem istnieniu. Był rycerzem, królewiczem, nosił zbroję, bił Niemców... Wcielał się w czytane postacie, żył w nich.

Zośka siadła naprzeciw, wlepiła w niego swe do bławatów podobne ślepka i dumała.

Chłopak ani raziczka nie spojrzał na nią, nie zagadał i nie wiedział, że siedziała tuż przed nim i wzrok wlepiała w niego... Żal ją zbierał, serce się ściskało, przeczuwała, że go traci, że gdy wstanie od książki, będzie inny — nie ten jej Jaś, co się z nią bawił na błoniach, a ludzie za nim zagubiali się. Będzie jakiś inakszy, mądrala, jakiś taki nietykany, harny, czy co?...

Coraz bardziej serce się jej ściskało, w piersiach brakło oddechu, dławiło ją. Broniła się jak mogła, nie wytrzymała — zaszlochała.

Jaś oczy zdziwione podniósł.

— Zośka, a to czego?

Wstał, obejrzał się, nie miał pojęcia, co się stało i dlaczego dziewczyna płacze. Podszedł do niej, odjął jej ręce od oczu, ściągnął z ławki, sam usiadł i przygarnął ją do siebie.

Dziewczynina oparła głowę na jego piersiach i tuląc się do niego, zanosiła się od płaczu.

— Cóż się stało? mówże przecie, Zośka?... Czy cię matuś zbili, czyś gipsówki zgubiła, czy jakie inne nieszczęście cię spotkało? Mówże, bój się Boga.

Zosia objęła go ręką za szyję, płakała wciąż, lecz ciszej i rzewniej.

— I nie powiesz?

— Smutno mi okrutnie, że se rady dać nie mogę — szepnęła.

— Ale la czego? musisz przecie wiedzieć...

Zośka przestała płakać, zarumieniła się, chciała coś mówić, nie śmiała. Jaś zapaską obcierał i suszył zmoczoną od łez twarz. Dziewczynina zamrużyła oczy, chłopak się wpatrywał w nią, w drgające bólem i żalem usta i pchany jakąś nieprzepartą siłą, pocałował.

Dziewczynina drugą rękę zarzuciła mu na szyję i piła rozkosz, szczęście, istność z jego ust.

— Ej, Zosiu, Zosiu i czegóżeś taka żałosna?

Pierwszy raz Zosią ją nazwał.

— I jakże nie mam być żałosna. Kiej, kiej — oczy jej znowu łzami wezbrały — kiej ino w książkę się wlepiasz i o Bożym świecie zapominasz. Kunda powiedziała, że la książki o nas zapomnisz... i prawda.

Buchnęła płaczem, kryjąc twarz na piersiach chłopca.

— Dziecko, Zosiu, co ci w głowie?...

— Bo prawda, ani raziczku nie spojrzałeś na mnie, jakeś się w książkę wlepił.

— Bo ciekawa, pierwszy raz na nią patrzę, a ciebie widzę, odkąd żyję na świecie.

— Potem będzie druga, a potem dziesiąta, a zawdy będzie pierwsza... Tak mówiła Kunda i prawdę mówiła. Jasiu, Jasiu, ty od nas odlecisz, a jeśli nie odlecisz, to nie będziesz ty o mnie dbał... skończyło się.

— Wiesz, co?... kiej się tak labidzisz i martwisz, to razem czytajmy... ja będę czytał głośno, a ty słuchaj.

Zosia nie odpowiedziała, bo i ona była ciekawa, co siedzi w książkach, co tak ciągną

chłopaka. Odgarnął jej włosy z czoła, przygładził, oczy zapaską obtarł, posadził przy sobie i czytać zaczął głośno, płynnie, równo.

Dziewczynina słuchała z początku z wielkiem zajęciem, lecz niedługo potem powieki jej zaciężyły ołowiem, że nie mogła ich podnieść. Oparła głowę na ramieniu Jasia, on objął chude jej ciało w pół i czytał... usnęła.

Ręka mu od trzymania zdrętwiała, książkę położył, Zośkę zaniósł na łóżko, otulił i wrócił do książki.

Zbudziły go pierwsze brzaski jutrzenki, wtedy dopiero zgasił lampkę, wypadł z izby i popędził do domu, a za nim kołując się, leciały postacie historyi.

Wpadł do ojcowskiego obejścia — pusto było i cicho. Wsunął się do stodoły, zakopał w sianie i usnął.

Nie wiedział, godzinę czy wieczność spał. Gdy oczy otworzył, stał przed nim ojciec i trącając go nogą, wołał:

— Stawaj, słonko w góre pomknęło.

Chłopak oczy zamknął i nie wiedział o Bożym świecie.

— Matka — rzekł przy śniadaniu stary do żony — zajrzyj do chłopaka. Śpi ci tak, że go zbudzić nie mogłem. Leciał mi z rąk.

— I pewnoś go sprał? — zawołała wystraszona.

— Sprał, sprał; nie mam co innego robić, ino prać.

Stary się oburzył.

— A nie mówiłam, że na takie dziecko pięć korcy zawlec, to za dużo.

— Dziecko? a tu chłopu czternaście lat. I wkiedy będzie pracował?

Biedrońka poleciała do stodoły, za nią Kunda. Zaczęły budzić chłopca.

— I znów go skatował — wołała Kunda — nie tak, to siak...

Jaś oczy otworzył i usiadł.

— I cóż ci, moje dzieciątko, co? — pytała go, zła, że jej stara zawadza.

— Nic mi, nic, tylko jakoś zesłabłem i spać mi się chce, że powiek udźwignąć nie mogę.

Położył się, zamknął oczy i cicho leżał.

Matka z Kundą uspokojone odeszły. Za chwilę Kunda przyniosła mu niezbieranego mleka, wypił, przewrócił się na drugi bok i usnął.

W południe zbudziła go Zosia. Chłopak się zerwał, przetarł oczy i rozśmiał wesoło.

— Nie spałeś dla tej szelmy książki caluśką noc, no i widzisz, nie możesz ustać na nogach.

— Patrz! — zawołał i podskoczył. — Stać

ci mogę, a i latać, gdybym zechciał, ale se jeszcze dziś odpocznę.

— Wyleż się, wyleż, Jędrek dziś za ciebie włóczy. Skrzepniesz, mój nieboraku.

Wyciągnęła rękę, głaszcząc go po twarzy. Chłopak przygarnął ją do siebie i pocałował.

— Zosiu, ty mnie przecie lubisz?

— Głupi, nie wiesz o tem?

— Wiem i dlatego proszę cię pięknie. A zrobisz mi, moja Zosieczko?

— Gadajże pierwej, co?

— Kiej się boję.

— Mówże, bo cię zbiję...

— Żebyś mi drugą książkę z chałupy przyniosła.

— A nie mówiłam, że nieszczęście. Będziesz czytał, ojciec niespodzianie nadejdzie i złapie.

— Stodołę zamknę i legnę se z drugiej strony do światła... Widzisz, muszę skończyć, bo ci mnie taka ciekawość pali, jakbym kwartę wódki wypił.

— Spiłeś się tą książką...

— Przyniesiesz?

— Nie, nie przyniosę, polecę i sama ją do dworu odniosę.

Zerwała się, chciała uciekać, Jaś pochwycił ją za nogę, upadła na siano. Objął ją za szyję

i całował w usta, w których coraz więcej zaczynał smakować.

— Moja złocista Zosieczko, nie zagubiajże mnie, bój się Boga. Cóż ja ci złego zrobiłem? Jabym ci gwiazdę z nieba ściągnął, gdybym ino mógł.

— Dosyć — szeptała Zośka — dosyć, tchu nie dasz mi złapać.

— A przyniesiesz?

— Przyniosę.

— Jak se szczęścia życzysz?

— Jak se...

Nie mogła więcej mówić, zebrała siły, odsuwając twarz chłopca od swej twarzy.

— Jak nie przyniesiesz, to się sam zerwę i polecę. A niechże mnie tatuś zdybią, będzie piekło.

— Leż, przyniosę. A to ci utrapienie z chłopakiem — szeptała, udając stateczną.

— A teraz wołaj o obiad, bo mi się okrutnie jeść chce.

Dziewczynina zsunęła się na boisko, szepnęła Kundzie o głodzie Jasia i pognała wygonami do chaty.

— Jak ci całuje... niech Najświętsza Panienka obrania. Nauczył się migiem, mądry okrutnie...

Po obiedzie schowała książkę w zanadrze, okryła się dla niepoznaki chuściną i poszła.

Idąc pod górę, posuwała się wolno. Co uszła parę kroków, stawała.

— No, no, gdyby Kunda wiedziała, że mu książkę niosę, dopieroby mi sprawiła bal. Ale jakże nie dać, kiej tak prosi, przychlebia i całuje...

Zamyśliła się.

— Kiej się upił, to się musi i ocucić. Sam powiedział, że innych nie chce. Na matkę nasadzę Kundę, sama odniosę książki do dworu, oddam byle komu i ucieknę.

Wzmocniona postanowieniem, szła raźniej.

— Skończy się bieda i będzie spokój — wmawiała w siebie.

Jaś, leżąc na sianie, nie spał, czekał, niecierpliwił się, wyglądał przez szpary...

Gdy mu zamajaczyła czerwona spódniczka na wygonie, podskoczył z radości. Chciał się zerwać, biedz, bał się ojca.

— Jak ci się ułożę, jak zacznę czytać, ha, ha!

Rozkosz obejmowała go przyjemnymi dreszczami. Tarzał się po sianie, przysięgał sobie wycałować Zośkę.

— Buzinę ci ma taką słodziuśką, ząbki, jak u myszki, bielutkie...

Zaskrzypiały wierzeje, poskoczył, wyciągnął rękę, pomagając dziewczynie dostać się na siano sąsieka.

— Przynoszę, alem się zaprzysięgła.

Podała mu książkę, położył się w miejscu, skąd przed szpary wydobywało się światło.

— Cóż to, nie podziękujesz nawet?...

— No, to chodź, moja rybko, mój kwiateczku...

— Przychlebniku!...

Chwycił ją za spodnicę i pociągnął. Uklękła przy nim, objął ją wpół. Dziewczynina sama zaczęła go całować pieszczotliwie, delikatnie i długo.

— Jak zostanę gospodarzem i osiądę na ojcowiźnie, ty z Kundą będziesz gospodarzyć, a ja se będę ciekawe historye z książek czytał.

— Patrzcie go? a damy se radę bez chłopa? I nie cnęłoby ci się cięgiem leżeć i próżnować?

Chłopcu sprzykrzyły się narzekania na ten sam temat.

— Zosiu, zdaje mi się, że tatuś idą.

Książkę schował, zamknął oczy, dziewczynina wyskoczyła z sąsieka. Gdy usłyszał skrzyp wierzei, oczy otworzył, rozśmiał się z fortelu, książkę wyjął i czytał z rozkoszą smakosza, delektującego się samym faktem czytania.

Zapomniał o świecie.

Zakuty w zbroję, jechał za drugimi wśród puszcz i lasów na wielką bitwę, »Psiem Polem« zwaną.

I znowu zaskrzypiały wierzeje, książkę wsunął w siano i oczy przymknął, patrząc przez szpary powiek. Przed nim stanął ojciec. Zły był i ponury.

— Jakże ci? — zapytał, trącając go nogą.

Jaś nic nie odpowiedział.

— Skaranie... z tym niedojdą — szepnął, machnął ręką i odszedł.

— Teraz będę miał spokój do nocy. Kunda w polu, matusia sadzą hameryki, Zośka pasie. Ucieszę się z królami i królewnemi... Boże, Boże, jak ci to ludzie o wszystkiem wiedzą, wszystko pamiętają, wszystko wypiszą.

O zachodzie słońca, oszołomiony, wysunął się ze stodoły i poszedł do stajni. Kunda i Zosia wiązały krowy, pomagał im.

— Cóż? Kunda, nie przemówisz do mnie, nie pogłaszczesz?

— No, no, byle tylko — odpowiedziała Kunda.

— A ty, Zosia, nie przyjdziesz do mnie?

Zosia, wstydząc się Kundy, nieśmiała i zafrasowana czegoś, przybliżyła się.

— Naskarżyłaś na mnie przed Kundą?...

— Cobym miała skarżyć?

— Przysięgniesz?

— O jej, la czego nie?

— Ja wam tu dam przysięgi — czekajcie! — odezwała się Kunda.

— No, to mnie obejmij za szyję.

Dziewczyna się zawahała na mrugnięcie oczu i objęła.

— Wszyscy przeciw mnie — narzekał. — Ojciec, matka, Kunda, ty, Zosiu, i zostanę na tym świecie sam, jako ten palec. A cóżem ja komu złego zrobił?

Zosia coraz silniej przyciskała go do swych piersi.

— Rzucę wszystko i pójdę, gdzie mnie oczy poniosą. A choćby i na tamten świat, to mi będzie milej.

Zosia, tuląc głowę chłopca do swych piersi, drugą ręką głaskała go po twarzy.

— Zośka — wrzasnęła Kunda — dawaj stołek.

Dziewczynina odskoczyła, Jaś się zerwał, we drzwiach ukazała się Biedrońka.

— Jużeś się ocucił — odezwała się radośnie.

— Nic mu nie jest — dorzuciła Kunda.

Jaś uczuł szorstkość Kundy, zbliżył się do matki i pocałował ją w rękę.

— No, mówże, moje dziecko — nalegała.

— Kunda powiedziała, że mi nic, to pewno i prawda.

— Kunda zła dziś, jak osa, kąsa, kogo dopadnie.

— Czym zła, albo nie, to Bogu wiadomo, ale że jestem głupia, to prawda.

Zaczęła doić Wtoruchę i kląć na nią siarczyście.

— Nożyny cię bolą — zaczęła matka pieszczotliwie, rada wyrugować z serca chłopca Kundę.

— Ociupinę, do jutra przestaną.

— Chwała Bogu, Jędrek nie chciał za dwie szóstki włóczyć, — ojciec markoci.

Wyprowadziła chłopca ze stajni.

— Wracaj do chaty, — rzekła do Zośki Kunda — przylecę do was i sama mleko przyniosę.

Dziewczynina wysunęła się cicho. Pełna serdecznego strachu, szła wygonami do domu.

— Matka go ciągnie i przyciągnie — przecie matka. Przylgnie do ojców, a nas rzuci... Kunda okrutnie zła.

Rozżaliła się.

— Kunda zła, a ja głupia, bo po com z ozorem latała do niej, po com skarżyła się na

chłopaka, kiej dobry i serdeczny. A teraz ci go zabierze matka, a my sieroty same.

Załamała ręce.

— Cóż za szelma jestem. Dobrze ci tak, nie podwódź na chłopca. — Dobrze ci tak — powtarzała, — dobrze ci tak.

Zaczęła płakać i przed nieszczęściem, wżerającem się do serca, uciekać.

Niedaleko chaty stanęła, otarła oczy, uzbroiła się w wesołość i weszła do izby.

— Kunda sama mleko przyniesie — oświadczyła matce.

— Uwarzę ci z naszego. Od mleka okrutnie bielejesz.

— Matka Jasia ciągnie do siebie — szepnęła.

— A niech se go ciągnie, on do ciebie lgnie. A niech se go ciągnie, a ty raz ino ku niemu ślepiami łypniesz i odciągniesz.

— Bo to umiem?

— Szelmo, nie udawaj przed matką... Nie widziałam, jakeś się łasiła do niego, jak ta kocica, co mrucząc, ociera się o kota.

Na dziewczynę buchnęły ognie.

— Ja... ja? co gadacie, matusiu?

— Cicho, nie obrażaj Pana Boga.

Zosia zamilkła, zadumana, siedziała, wpa-

trując się w jasny płomień palących się wiórów na kominie.

Wpadła Kunda, zła, w oczach jej latały światełka. Postawiła na stole garnuszek mleka, pół bochenka chleba, bryłkę soli i w kapuścianym liściu masła. Usiadła, pociągnęła nerwowo chustkę, spadającą z ramion, i zaczęła:

— Ten leń zaczyna do matki leźć, aby ino nic nie robić, czytać, jak jaki pan po nocach, a we dnie leżeć do góry brzuchem. Ale niech go stary przeciągnie rzemieniem raz i drugi, przyjdzie do nas, zobaczycie.

Zwróciła się do Tyksiny.

— Żebyście mi się nie ważyli latać do dworu po książki.

— A ja się boję, żeby nie było na mnie — przerwała Zośka. — Jak se pomyśli, żem latała na niego do was z ozorem.

— A niech myśli, co chce, niech liże łapy starej, niech się łasi ojcu. I co oni mu dadzą? nic, nic, nic, ani odrobiny serca, ani krzty wesołości i uciechy. Wróci on do nas, o to się nie boję — a ino o to, aby nie wrócił leń i nie zgłupiał bez te książki. Tyksina, pamiętajcie!

Zasapana gniewem, ciężko oddychała. Wyjęła flaszeczkę z kieszeni, kazała podać Zosi

kieliszek, nalała, wypiła duszkiem, drugi podała Tyksinie. Ukrajała kozikiem chleba, posmarowała masłem i jadła ponuro.

— My go pieścimy, przychlebiamy mu, dogadzamy, a on ci leży se na sianie cały Boży dzień... Śpi do południa, a po południu czyta. Wielgi ci pan.

Drzwi zaskrzypiały, kobiety drgnęły, wszedł Jaś z książką, twarz Zosi zajaśniała jak słońce.

— Kundeczka przyniosła poczęstunek! — zawołał — to i ja się ociupinkę napiję i pokrzepię.

Nalał.

— Za zdrowie naszej Kundeczki, co jako matka dba o nas, pamięta i krzepi nieboraki. Niech żyje sto lat!

Wypił i pocałował Kundę w czerwony policzek.

— Nie łajdak to! — zawołała — gada ci, jakby z książki czytał. Idź ode mnie, ty wałkoniu.

— Moja Kunda, nie wiem, czego ode mnie chcecie?...

— Chcę — krzyknęła — abyś se dał pokój z temi dyabelskiemi książkami. One cię ogłupią, umęczą, rozlenią, wyssą z ciebie siły i kalkulacyę i co zostanie? ni chłop, ni pan. Na

panaś zagłupi, na chłopa zamądry... ni tu, ni tam.

Twarz Kundy zarumieniła się, a oczy błyszczały, Zosia patrzała w Jasia, jak w tęczę.

Chłopiec powstał, podumał i nareszcie szepnął:

— Prawda!

Zosia chciała się rzucić ku niemu, lecz się wstydziła, Kunda tryumfująco rozśmiała się.

— Niech se czyta i bawi się, kto chce, byle nie ty. Tyś do książki pijak i ona cię, jak pijaka powali.

— Co innego w zimie — dodał.

— Nigdy! tak, jak pijakowi ani jednego kieliszka, albo pójdziesz...

— Kiej nigdy, to nigdy — rzekł z mocą. — Ja sam miarkuję, że książka mnie powoli zabiera.

— Prawda, szelma jest i już.

Usiadł, Kunda się przysunęła, objęła głowę chłopca, położyła mu ją na piersiach, pieściła, głaskała i całowała.

Jaś ujął ją za szyję — Zosia się zbliżyła nieśmiało, jak winowajca i ręką gładziła go po twarzy. Chłopak pocałował małe jej usteczka.

— Łajdak, przychlebca — szeptała rada Tyksina.

Gwarzyli o tem i o owem, weselili się i śmiali, Kunda rozprawiała, przyświadczała jej Tyksina, dzieci słuchały.

Kogut zapiał.

— Dość już, chodźmy, tyś się wyleżał i wyspał, a mnie stary za jakie trzy godziny zbudzi i dalej haruj cały dzień — mówiła Kunda, zbierając się.

Jaś spojrzał miłosiernie na Zosię i pokazał oczami na przypiecku leżącą książkę, tom trzeci. Mrugnął na nią, aby mu nie dawała przy Kundzie.

Dziewczynina rada była nie dać mu zupełnie, ale się go bała. A nuż się rozgniewa i pójdzie do matki, a ją porzuci?

Wyszli — Kunda z Tyksiną naprzód, za niemi Jaś — Zośka została.

— A czegóż tam Zośka tak siedzi — odezwał się chłopiec i poskoczył do izby.

Dziewczyna stała na kominie, zdjęła książkę, podała.

— Schowajże prędko, Kunda zobaczy.

Jaś wsunął ją w zanadrze, pochwycił Zosię na ręce.

— Moja odrobino, tyś przecie dobra...

— Ostatnia książka — szepnęła.

— A skądżebym ich więcej wziął?...

— Idziecie? — wołała Kunda.

Dziewczynina zsunęła się na ziemię, wybiegła, Jaś za nią.

Kunda opowiadała historyę swej służby u Biedroniów, dzieci trzymając się za ręce, szeptały. Księżyc szedł przed nimi i kładł promienie na ścieżkach pod ich stopy. Skąpani w jego blaskach, przytuleni do siebie, szli cicho, jak zbłąkane dusze, wstępujące w progi wieczności.



VI.

Minął kwiecień, siewy skończone, ziemniaki zasadzone w polu, robota ustała, ludzie prosili Boga o deszcz i ciepło.

Liście okryły drzewa, kwiaty ciekawie wyglądały z poza traw, ptaki wróciły, zapachy rozpychały płuca, południowy wiaterek przeciągał, upajał i odmładzał.

Dwoje dzieci stało na zielonem błoniu.

— Odniosłaś?...

— Odniosłam, spotkała mnie panienka i odebrała książki.

— I cóż mówiła?

— Ej nic — nic takiego — pogłaskała mnie i tyla.

— Musiała coś przecie przemówić.

— Zabaczyłam.

— Nie pytała się o mnie?

— Tyle, że ino zagadała, la czego sam Jaś nie odnosi.

— Cóżeś powiedziała?

— Nic, że się wstydzisz, że włóczysz owies, że nie masz czystego przyobleczenia — różności.

— A panienka?

— Śmiała się, bo jest dobra i przyścipna.

Jaś posmutniał, Zosia milczała.

— I czegóż się markocisz? — zagadała.

Chłopak smagał batem murawę i nie odpowiadał.

— Panienka ładna? — odezwał się znienacka.

— Co niema być ładna? Szkarłatna na niej sukienka. A jaka ci dobra!...

— Pytała się o mnie?

— O wszystkich, o matusię, Kundę, Biedroniów.

Dziewczynina się rozgadała, chcąc smutek chłopca rozegnać, rozruszać go, rozweselić, zająć światem, ludźmi, sobą. Tem więcej, że Jaś codzień bardziej smutniał, zapatrywał się coraz częściej, coraz rzadziej odzywał się do ludzi i do niej... Lęki ją brały i ściskały serce, rada była uciec od nich, odpędzić je — wracały.

— Zosiu, mnie się cnie bez książki — szepnął.

— Przysiągłeś Kundzie — zawołała wystraszona.

— Przysiągłem, ale przecie wiesz, że i pijak przysięże, a cnie mu się, że rady sobie dać nie może.

— Więc cóż myślisz? — spytała, wlepiając w niego wystraszone oczy.

— Matusia twoja...

— Za nic, za nic, nie mów jej, nie proś, boi się Kundy, zarzekła się.

Chłopak z coraz większą zawziętością smagał batem murawę.

— A ty? — szepnął.

— Ja... ja? — zbladła. — Jaś, ty nie masz upamiętania nade mną. Jabym nosiła na własne utrapienie? Jak ino dorwiesz się książki, to i nie spojrzysz na mnie.

— No to będę patrzał — rzekł poważnie.

— Co pleciesz, kiej w książkę ślepia wlepisz, to cię już niema na Bożym świecie. Cóż to, nie widziałam?...

— Pójdziesz, to cię będę już tak tulił, tak ci przypochlebiał, tak wlubiał się w ciebie! Zosieńko, mój ty skowronku, co ludziom na zagonie przyśpiewuje, mój ty gołąbku, co gruchaniem ludzi weseli...

Zosia przycisnęła uszy dłońmi.

— Nie buntuj mnie, bom przysięgła. Serce mi się kraje, że cię nie mogę usłuchać i wygodzić ci.

Chłopak pochwycił ręce dziewczyny, odciągnął od uszu i szeptał:

— Stokrotko moja, kwiateczku mój!

— Jaś, nie mów tak słodko, bo mi się w głowie mąci.

Oczy jej zaświeciły łzami, zerwała się i uciekła.

— Nie chcecie, to pójdę sam — zawyrokował. — W niedzielę przyoblekę się w nową płótniankę, krakuskę nasadzę na bakier, do koszuli wstążkę, buty, pasek nabijany, stanę se tuż wele dworu i będę czekał...

Wyprostował się, rozweselił i na uciechę z bata trzaskał.

— Jak raz znajdę drogę, to potem będę latał, kiej mi się żywnie spodoba, a u was nie będę się prosił. Cóżto, ja, syn gospodarski, jedynak, najbogatszy z całej wsi, żebym se nie mógł choćby godzinkę bez dzień z książki poczytać?

Zaczął z radości tańczyć po murawie, widziała zdaleka te skoki Zosia i zaciekawiona wróciła.

— I czegóż? — spytała.

— A nic, tak sobie! Kiej nie chcecie, to i tak będzie ze mnie parobeczek walny.

— Lubię cię, okrutnie cię lubię, kiej ino parobeczkiem jesteś.

Jaś ujął się pod boki i gwiżdżąc, zaczął tańczyć krakowiaka. Zosia stanęła przed nim i porwana rytmem muzyki, zaczęła drobić. Chłopiec się śmiał, Zosia mu pomagała. Wzięli się wpół i krakowiak szedł, aż serce rosło. Zielona murawa pod ich stopami, — wielkie niebieskie sklepienie nad niemi, ani żywej duszy — zdawało się, że jedni na całym świecie, dwoje dzieci — dwa atomy i jednocześnie dwa światy...

W niedzielę ludzie gromadkami ciągnęli do kościoła. Jaś obok matki z wielką książką do nabożeństwa, zdaleka za niemi Kunda i Tyksina, w pośrodku Zośka w niebieskim gorsecie, sznurowanym różową wstążką, w białej chusteczce na głowie i czerwonych koralikach na szyi.

Kobiety patrzały na dwoje tych dzieci z pewną lubością i zachwytem. Z oczu chłopca wyglądała rzewność i rozum, Zosia, biała i różowa jak rajskie jabłuszko, strzelała modremi ślepkami z poza białej chusteczki. Nawet matki, które miały synów i córki w wieku Jasia i Zosi, nie zazdrościły im ani urody, ani lgnięcia do nich ludzi.

W kościele dzieci uklękły obok siebie, spojrzały sobie w oczy, uśmiechnęły się i przywitały.



— Będziesz służył do mszy? — spytała Zosia.

— Dziś kolej na Walka i Stacha — oni służą.

Rad był, że nie służył i jakiś wesół, chociaż niespokojnie wodził oczami po kościele.

Przed wielkim ołtarzem powstał lud, zaszeleściały suknie, do kościoła weszły panie.

— Która nasza panienka? — szepnął do Zosi.

— Ta w słomianym kapeluszu, w błękitnej sukience.

— Ładna i jakaś ci dobra.

— A nie mówiłam?... Widzisz, spogląda na nas, zobaczyła mnie i głową mi kiwnęła.

Jaś wpatrywał się w panienkę, jak w obraz, że aż Zosi zrobiło się markotno. Trąciła go łokciem, szepcząc:

— A nie wpatrujże się tak, jakbyś świętą zobaczył. Ludzie zmiarkują i będą się śmiać.

Dzwonek u wyjścia z zakrystyi, organy na górze, dały znać o rozpoczynającem się nabożeństwie. Jaś roztworzył swoją książkę, Zosia swoją, i zaczęli czytać półgłośnym szeptem. Chłopiec co chwila odrywał oczy od książki, przenosząc je na panienkę. Rad był oswoić się z jej widokiem i ośmielić do niej.

Po skończonem nabożeństwie i po pokropieniu wysunął się przez zakrystyę z kościoła i pogalopował co sił do dworu. Stanął przed gankiem, czapkę zdjął, serce mu biło, bał się, sam nie wiedząc czego, rad był uciec, a stał i czekał.

Koła zaturkotały po żwirze, powóz się zatrzymał przed gankiem. Jaś onieśmielony ustąpił i dopiero, gdy ostatnia wysiadła panienka, zmocował się na odwagę, podszedł ku niej i pocałował ją w rękę.

— Pewnoś Biedrończyk Jaś? — zapytała.

— Tak — szepnął.

— Domyślam się, po co przychodzisz. Wdziejże krakuskę. — Nasadziła mu ją na głowę. — Wejdź tą furtką do ogrodu i zaczekaj na mnie.

Chłopakowi z radości o mało serce nie wyskoczyło. Rozpromieniony pobiegł do ogrodu,

chodził, rozglądał się i chciał układać w głowie to, co miał powiedzieć panience, lecz nie mógł. W główinie mu wciąż kotłowały dwa wyrazy: ładna jest i dobra! O, bardzo dobra! — powtarzał — okrutnie dobra. Jakie ci tu kwiaty — a jakie drzewa! tak samo, jak w książce opisuje, a panienka jest królewna.

Zaszeleściała suknia i żwir pod stopami, obejrzał się, panienka z odkrytą głową, pod parasolką biegła ku niemu.

Chłopak ściągnął szybko czapkę.

— Chodźmy pod cień lip, będzie nam przyjemniej.

Poszła naprzód, za nią nieśmiało Jaś. Usiadła na ławce, przywołała go do siebie. Zbliżył się, stanął, spuścił oczy.

— Przyszedłeś do mnie po nowe książki — nieprawdaż?

— Prawda — szepnął.

Ognie radości buchnęły mu na twarz.

— Czekałam na ciebie. Myślałam sobie, że ani matka, ani Kunda, ani Zośka nawet nie zmogą cię, przyjdziesz — i przyszedłeś.

Chłopiec rękę panienki przycisnął do ust.

— Była u mnie Kunda, zaklinała, prosiła, aby ci książek nie dawać. Mówiła, że się w nie

wlepiasz jak pijak, że o bożym świecie zapominasz, że się zagubiasz. Prawda to?

Jaś miął czapkę i milczał.

Chodźno bliżej.

Zrozpaczony, przysunął się. Panienka ręką odgarnęła mu włosy z czoła i pogłaskała.

— A jak nie masz książek, cnie ci się za niemi?...

— Okrutnie, że sobie miejsca znaleźć nie mogę.

— I nie będziesz się w nie wlepiał bez upamiętania?...

— Nie będę.

— I nie pokażesz ani Kundzie, ani Zośce?

— Mało to miejsca do schowania! — zawołał.

Nadzieja wstępowała mu w serce, rumieniła twarz, oczy rozświecała. Panienka wpatrywała się w niego.

— Biednyś ty, pionierze cywilizacyi — mówiła półgłosem do siebie — możesz paść.

— A niechta! — odparł z rezygnacyą.

— Zrozumiałeś, com mówiła?

— Tylo tyle, że mogę paść. A niechta! — powtórzył. — Ludziska padają jak muchy, to i na mnie byle kiedy przyjdzie kolej.

— Nie obejdziesz się bez książki i musisz ją mieć?...

Chłopak radby zawołać, że musi, lecz nie śmiał. Patrzał miłosiernie na panienkę i oczami mrugał.

— Opowiesz mi dokumentnie, jak przeczytasz?

— Opowiem wszystko. Jak ino raz przeczytam — pamiętam długo, długo...

— Zaczekajże, przyniosę ci.

Chłopak drżał radośnie, patrząc na zgrabną postać, przemykającą się cicho wśród krzewów. Zdawało mu się, że śni. Tyle w wyobraźni swej widział trudności, tyle przeszkód w dostaniu książki, a książka jest...

— Dobra, dobra — powtarzał w duchu z zachwytem uniesienia.

Niedługo czekał. I znowu na murawie ogrodu zamajaczyła jasna sukienka, a w słońcu kąpała się parasolka. Jaś patrzył, oczy mrużył i dłoń przykładał do czoła — zobaczył i uśmiechnął się. Panienka trzymała w ręku książki.

— Jest to dalszy ciąg tej samej historyi, którą czytałeś. Jak mi opowiesz, dostaniesz więcej. Mam ich dwanaście.

Chłopak wyciągnął drżącą rękę.

— A gdzież schowasz, żeby nie zobaczyli?



— Gdzie? za pazuchę!...

Odpiął sukmankę, odchylił koszulinę, wsunął książki i zapiął się.

— Kochasz ty Zosię?

Na chłopaka buchnęły ognie.

— Kocham — szepnął.

— I chociaż ojcowie będą przeciwni, ożenisz się z nią?

— A z kimżebym? Z żadną, ino z nią. Od maleńkości razem. Jakżeby to było, gdyby mi brakło Zośki? — zamilkł.

— Cóżby było? — spytała panienka.

— Poszedłbym za nią.

— Gdzie?...

— Choćby na tamten świat — odrzekł spokojnie, lecz odczuwało się prawdę.

Ujęta szczerością i dzielnością chłopca panienka, pogłaskała go.

— Mój pionierze, nie będziesz ty szczęśliwy na świecie.

— Jak Bóg da. — Pocałował panienkę w rękę i odszedł.

Z początku wolno, później coraz prędzej, w końcu puścił się galopem. Radość go gnała.

Panienka patrzała za nim.

— Sympatyczny chłopczyna. Skąd się wziął taki syn u tych chciwców i skąpców? Co wobec tego faktu powie nauka o dziedziczności?... Z rozkoszą i ciekawością będę śledzić rozwijające się siły i pragnienia biednego pioniera...

Tymczasem Jaś pędził bez upamiętania, aby jak najprędzej zalecieć do domu i książkę schować. Sterczała mu z za sukmanki.

Za stodołą, na początku łączki stała samotna, stara, pochylona wierzba, wewnątrz spró-

chniała; dopadł do niej, znaleziony patyk wsunął wewnątrz wierzby na poprzek, książki na nim położył i rad, że nikt ich nie znajdzie, powrócił do chaty.

Zosia z Kundą stały we drzwiach stajni, Jaś poskoczył ku nim.

— Ponoś do dworu latał — odezwała się Kunda — i cóżeś wskórał?

— A nic, panienka mi powiedziała, że była u niej Kunda i tyle namolestowała, aby mi książek nie dawać... i nie dała.

Zosia spojrzała na Kundę.

— Nie dała? pokaż.

Podniósł w górę ręce, obrewidowały go, książek nie znalazły, lecz radość chłopca widoczna, ukryć jej nie umiał.

Kunda i Zosia patrzyły na siebie i oczami zdawały się pytać wzajemnie, ażali panienka ich nie zdradziła?...

— Zobaczymy — szepnęła do Zosi, — prawda sama wypłynie.

Po obiedzie chłopiec się rozzuł i przewdział, tylko krakuskę z pawiem piórkiem zatrzymał, zasadzając ją z fantazyą na bakier, pochwycił bat i razem z Zosią pognał bydło na błonia.

Dawno go nie było na błoniach. Dzieci go

otoczyły, dziwując się krakusce i pawiemu piórku. Bawił się z niemi, uganiał, przeskakiwał rowy, aż raptem znikł w brzozowych krzakach i już go ludzkie nie widziało oko.

Napróżno Zosia za nim patrzała, wyglądała go, czekała. Nie pokazał się.

Przyczaił się chwilkę w krzakach, wypadł z brzezinki, skręcił na ojcowską łąkę, wydobył z wierzby ukryte książki, przemknął z niemi do stodoły, zamknął się, ułożył na sianie i czytał.

Spragniony, rozkoszował się, chłonął, wlepiał oczy bez upamiętania. Godziny mijały jedne za drugiemi, on czytał i czytał.

Dopiero zmrok obudził go, a strach przed Zośką i Kundą otrzeźwił. Schował książkę, wysunął się ze stodoły i poszedł wprost do izby do matki. Przeczuwał, że tu znajdzie zasłonę przed dziewczyną i Kundą.

Siadł przy otwartem oknie, patrząc na dziedziniec. Matka zbliżyła się do niego, pocałował ją w rękę, głaskała i bawiła się jego miękkimi włosami. Robiła to z zadowoleniem, a gdy Kunda i Zośka wpędziły bydło do obejścia, z pewną dumą, jak gdyby pokazać im chciała: patrzcie, nie odbierzecie mi go, przyszedł do mnie sam.

Kunda spojrzała na Zosię i wzruszyła ramionami.

— Przecie to matka — odpowiedziała dziewczyna.

Podczas doju Jaś przyszedł do stajni.

— Uciekłeś — z żalem przemówiła do niego Zosia.

— Spać okrutnie mi się chciało, a potem matusia zawołała mnie do izby.

— Jutro?

— Jutro rano z tatusiem jadę do Borzęckiego lasu — wrócimy na wieczór.

— A po za jutro? — spytała.

— Przylecę do was, przecie ujrzymy się w południe.

Wybiegł ze stajni.

Dziewczynie się zdawało, że jakiś chłód powiał od chłopaka. Zaczynała przypuszczać, że panienka ją zdradziła i książkę mu dała.

— Kunda mówi prawdę, ta książka, to nasze utrapienie i nieszczęście. Wszystko się dobrze składało, — ta szelma z piekła rodem wlazła i psuje.

— Czego ślepia wytrzeszczasz i patrzysz nie patrzący — ofuknęła ją Kunda. — Co ma być, to będzie. Głowę dam, że był we dworze i książkę dostał. Wierz dworowi, on cię zawsze

oszuka i w pole wyprowadzi. A com się jej nie naprosiła, nie nazaklinała. Nic nie pomogło, uwzięła się i dała... Jej się zdaje, że chłopak, to tak, jak ona, co ją umyją, ubiorą jak lalkę, nakarmią i dadzą książkę w rękę, a ona nie ma nic więcej do roboty, jak ino kartki przewracać i ślepia na książkę wytrzeszczać. Czy się w nią wlepia, czy przy niej głupieje, to jej wszystko jedno. Inaczej z chłopem, co dziesięcioma palicami musi...

— Jaś bogacz — przerwała Zosia.

— Takie ci i chłopskie bogactwo. Nie pilnuj rok, a skapiesz do cna.

Kunda była zła, Zosia nie chciała jej drażnić — zamilkła.

Zgnębiona i smutna wracała do domu, niosąc pod zapaską garnuszek.

— I co mi po mleku? Co mi po urodzie, kiej go tracę? Ucieka ode mnie, od Kundy. Matka go ciągnie... Ta szelma — myślała o książce — ona mi go kradnie. A bodajeś z piekła nie wyszła! I ta panienka, niby taka dobra, że do rany przyłóż, a czy ci taka głupia, czy zbytnica, że umyślnie na złość nam robi?... Musiał ją molestować, prosić, ślepiami zawracać, łasić się — on to potrafi. Ho, ho! — on to potrafi, jak nikt... I co teraz?

Zaczęła cicho, rzewnie płakać. Płacz ją coraz więcej rozbierał i rozżalał, sprawiając jej ból i zarazem dziwną rozkosz. Czuła, że nie poradzi, książki nie zmoże, że musi się pogodzić i przez nią serce chłopca dla siebie zachować. Nie umiała sobie tej kombinacyi wyrozumować, lecz ją odczuwała.

Otarła oczy, siadła na murawie, odpoczęła i wolno, czekając, póki jej twarz nie oschnie, wróciła do izby.

Nazajutrz Biedroń i Jaś w samo południe wrócili z lasu, wioząc pod niebo wyładowaną furę gałęzi. Chłopiec z parobkiem zwalali, pomagała im Zosia, odrzucając cieńsze gałązki na kupę.

Jaś się śmiał i baraszkował, parobek mu pomagał, żartowali z dziewuchy, jej siły i zręczności.

Kunda i Zosia miały chłopca na oku. Widziały jak po obiedzie skradał się do stodoły i zamknął się w niej. Kunda podsadziła Zośkę pod belki. Szpara była tak wielka, że dziewczyna z łatwością przez nią dostała się cicho na koniczynę.

Jaś zaczytany nie słyszał. Zaledwo go zbudził chrzęst suchej koniczyny pod stopami dziewczęcia, schował szybko książkę, zamknął oczy i udawał, że śpi.



— Śpiochu, wstawaj! — zawołała Zośka, siląc się na wesołość. — Już czas ludzi wygnać w pole, a gospodarz śpią.

Chłopak zaczął chrapać.

— No, no, nie udawaj — mówiła, siadając przy nim, — widziałam wszystko.

Uderzała go ręką pieszczotliwie po twarzy, palcami otwierała mu powieki. Chłopiec nie chciał ich rozewrzeć. Dziewczynina nachyliła się do jego ucha i szeptała:

— Widziałam, jakeś się wlepił w książkę umyślnie przyszłam ci powiedzieć, żebyś się nie bał. Czytaj se, kiedy chcesz, a ja nawet przed Kundą pary z gęby nie puszczę. Kiej nas panienka zdradziła, a ty bez tej szelmy obyć się nie możesz, to se czytaj, biedaku, ja cię będę zasłaniać i chronić przed ślepiami Kundy i starego.

Chłopiec oczy otworzył, przewrócił się w znak, wyciągnął ręce, objął dziewczynę, tulił do siebie i całował.

— Zosiu, tyś dobra, tyś na całym świecie jedyna la mnie. Wiesz, panienka pytała, czy się z tobą ożenię?...

— I cóżeś powiedział?

— A cóżby, że prawda. Zosiu, my od maleńkości, jak te wróbliny, ino razem, zawsze jedno wele drugiego, a na starość mielibyśmy się rozlatywać. Powiedz sama.

I znowu ją przytulił, całował w usta, gładził ręką po twarzy. Dziewczynina łasiła się, jak kotka, rada, że się pogodziła z szelmą książką, bo przez nią odzyskała chłopca, kochał ją przecie i jak dawniej, dobry był dla niej.

— Kiej ty jesteś ze mną — szeptał, — to się już o nic nie troskam. Będziemy się wspomagać i jakoś radzić. Sam ci byłem, jak ten palec i smutek mnie okrutny ogarniał.

Dziewczynina ujęła w dłonie chudą twarz chłopca i patrzała mu w oczy.

— Nie bój się, nie będziesz już samotnikiem; pomogę ci i skryję przed ślepiami starego.

— Jasiek! — zaświszczał ostry głos Biedronia i jednocześnie rozległ się odgłos uderzeń kija o drzwi stodoły.

Dzieci drgnęły wystraszone, Zosia zbladła jak chusta.

— Lecę — zawołał Jaś i zerwał się na równe nogi.

Nasłuchiwali wystraszeni. Ciężki chód oddalał się.

— Drzwi od stodoły zostawię otwarte — szepnął, książkę schowaj!...

— Zostanę póki nie wyjedziecie — odpowiedziała.

— Dobrze — szepnął, skoczył na boisko, kół od drzwi odciągnął, wyszedł wesół, raźny.

Parobek zaprzęgał konie do jednego wozu, Biedroń do drugiego. Jaś rzucił się pomagać ojcu. Wyniósł z komory siekiery, piłę, powrozy.

Zaturkotało na dziedzińcu, pył podniósł się na drodze, Zosia patrzała przez szpary. Czając się przed wzrokiem starej, wymknęła się ze stodoły i poleciała do stajni.

— Cóż? — spytała ją Kunda.

— Spał sobie cichutko i spokojnie.

Kunda spojrzała badawczo w oczy dziewczynie.

— Ty mnie nie oszukasz, gadaj prawdę, bo jak się zawezmę, to was oboje rzucę. Przychlebiał się, łasił i przeciągnął cię na swoją stronę! Odpowiadaj!...

— Spał, czy udawał... nie wiem, ale oczy

miał zamknięte, książki nie widziałam — odpowiedziała wystraszona dziewczyna.

— To cię oszukał!...

— Może i oszukał, któż wie? Ja nie wiem i nie pomstujcie na mnie, bo i mnie się serce kraje.

Pocałowała Kundę w rękę, objęła ją w pół i przytuliła się do niej. Kunda rozbrojona głaskała ją i pieściła. Dziewczyna nie zdradziła tajemnicy, Kunda domyśliła się prawdy. Nie wiedziały, jak walczyć, jak odwrócić nieszczęście, co czynić. Kunda miała wielki rozum, lecz wobec uporu i namiętności chłopca — stała bezsilna.

— Wcześniej czy później stary zawsze się dowie, że chłopak nocami czyta, w dzień śpi! Sądny dzień się zrobi!...

— To też pomagaj, żeby się ino nie dowiedział.

Kunda stała zapatrzona, dziewczyna tuliła się do niej, pełna smutku i bojaźni. Obie rozumiały, że nieszczęście zbliża się, a nie miały pojęcia, jak je odwrócić.

Pod niemą opieką Kundy, a dzielną i sprytną pomocą Zosi, Jaś czytywał książki w chacie Tyksiny, w stodole ojcowskiej i w polu.

W niedzielę wyganiał bydło, z ukrytą za

pazuchą książką, Zosia je pasła, chłopak krył się w parye, przytulał do krzaków... czytał i czytał.

Na żniwa Kunda wysłała Zosię do panienki.

Dziewczyna wpadła zdyszana do dworu, uprosiła chłopca kredensowego, żeby ją zameldował.

Panienka wyszła, Zosia bała się wobec służby zdradzać tajemnicy Jasia.

— Radabym mówić, ino się boję — szepnęła.

Panienka ujęła ją za rękę i zaprowadziła do swego pokoju.

— Tu możesz mówić śmiało.

— Kunda i ja prosimy panienkę — zaczęła wystraszona — aby na żniwa nie dawać książki Jasiowi. Chłopak się w nią wlepia, czytuje po nocach, w dzień chodzi jak ćma, często przy robocie drzemie. Gdyby go tak Biedroń zdybał w nocy nad książką, byłby sądny dzień!



— A ty go zdybujesz?

— Co go nie mam zdybywać. My z Jasiem jedność. Przecie wiem, że nie ma na to rady — wie i Kunda. Chronimy

go przed ślepiami starych. Ja za niego pasę bydło i obzieram się, a on wtedy leży se w krzakach i czyta. Ale w żniwa?!

— Nie dać mu nic do czytania, ani jednej?...

— Złocista, ani jednej! niech se odpocznie. Po siewach, to prędzej. Zima zawita, przyjdzie do nas, będzie miał czas, ciepło w izbie, spokój; ja z matusią będziemy prząść na wrzecionach, a on niech se czyta. Ale we żniwa ulituj się panienka. Chłopak od tego niewysypiania schudł, zczerniał, ślepia mu tylko urosły, wielgie ma i patrzy przez nie smutno, jak zaklęty... Chłopaki dokazują po błoniach, rwą się do koni: śmiechy, wesołość, aż dusza rośnie, a on w krzaki, wyciąga z zanadrza książkę i czyta.

Panienka przyciągnęła ją ku sobie.

— Ale o ciebie przecie dba?

— Ino tyle, co mu bydło pasę i pilnuję, aby stary go nie zdybał. Przyleci do izby, ledwo się przywita, zaświeci gaz, wlepi się w książkę i oczu nie odwróci.

Zalała się łzami.

— Wielgą nam panienka krzywdę zrobiła. Chłopczysko — powtarzała myśli Kundy, łkając — rósł jak drudzy, cieszył się życiem,

przyścipny był jak nikt. Jak się rozhulał, to i końca uciesze nie było...

— A teraz cóż?

— Teraz?... teraz, panienka wie, jaki jest... Ukryła twarz w zapaskę, aby utamować wybuchy płaczu.

Panienka nie wiedziała, jakim był teraz Jaś, lecz się domyślała. Żal się jej zrobiło dziewczęcia i mimowoli wyrzuty sumienia zaczęły w niej nurtować. Uciszyła je.

— Gdybym mu ja nie dała książek, poleciałby do Zalesia do dworu, lub do miasta i dostałby!... Ja przynajmniej daję mu dobre, uczciwe, inni mogliby mu dawać złe.

— My wiewa z Kundą, że niema na to rady, że już tak padło na niego i że się nie odmieni, byle ino żniwa spokojnie przeszły.

— Powiedz-że, moje dziecko, Kundzie, że do Wszystkich Świętych nie dostanie ani jednej.

— Ani jednego papierka — dodała Zośka — choćby molestował i prosił.

— Ani jednego, choćby nawet płakał, tak rzewnie, jak ty płaczesz.

Zosia otarła zapaską oczy, uśmiechnęła się, pocałowała panienkę w rękę, pokłoniła się i chciała odejść.

— A jak się wydasz za Jasia, jakże sobie poradzisz?

— My z Kundą i matusią damy sobie radę w gospodarstwie. A może — dodała ciszej — obje się tyle tej szelmy, że go od niej odrzuci.

— Może — odpowiedziała panienka, nie chcąc zakrwawiać serca dziewczynie.

Obdarowała ją wstążkami i robionemi kwiatami, odprowadziła na ganek, powtórzyła zaklęcia i pożegnała.

VII.

Minęło lat trzy... Jaś urósł i rozrósł się, brew mu zgęstła, rzęsy się wydłużyły, oczy nabrały dziwnego blasku i serdeczności, włosy ściemniały. Ludziska lgnęli do niego. Pisywał im listy — pomagał...

— Aż milej się robi, gdy spojrzy, uśmiechnie się i pokaże bieluśkie zęby — mówiły kobiety.

Bieluśkie zęby przykrywały wiśniowe wargi, a ponad niemi wydobywał się czarniawy meszek.

Dziewczęta patrzały w chłopca jak w obraz, lecz on tego nie widział, nie zbliżał się do nich. Nieśmiały, nie umiał do nich przemawiać, nie wiedział, jak je zaczepiać, tem więcej, że ponad inne górowała urodą Zosia. Wybielała, urosła, nabrała ciała, śmiałości, a z mo-



drych jak bławaty oczu, rzucała na świat i ludzi uroki.

— Uroki albo czary — kończyły kumy pogwarę o Zosi. — Oni ino la siebie. Tak już widać święta Panienka uradziła. Zawsze ci razem, on nikogo nie widzi, ino ją, ona jego.

Stary Biedroń, słysząc te rozmowy, pięści zaciskał, zsuwał brwi, z oczu pioruny rzucał, lecz milczał przy ludziach. Dopiero w domu wobec żony. zrywał się, bił pięścią w stół i krzyczał:

— Dziadów będę wprowadzał do chaty i zwalał sobie na kark! Czekajcie, pokażę ja wam, nauczę ja was. A to szelmy, opajęczyły mi chłopaka, zmawiają się z Kundą, zczarowały przeciw nam wszystkie baby we wsi i myślą, że im oddam cały dobytek. To moje, to moje, to moje!...

Głos mu chrypiał, twarz siniała.

— Cicho, cicho — przerywała mu żona. — Po co się szarpać, po co dławić? Myślisz, żem ślepa i nie widzę, jak te szelmy odciągają chłopaka ode mnie! Gdy przyjdzie do izby, ino patrzy, rychło uciec. Onby tylko w nie pchał, a one nas na starość radeby były zagłodzić!... To nasze!... a kiej nasze, nie damy!...

— Wygnać szelmy, tłuki, wygnać na cztery

wiatry, a chłopakowi pogrozić, a nie, to go sprać, aby choć z tydzień poleżał.

— Prać? ludzie jeszcze pamiętają pręgę na ciele chłopaka, wkiedy leżał bez duszy. Rusz go, a cała wieś ujmie się za nim.

— Co?! żeby mnie nie było wolno własnego dziecka skarać! Ja im pokażę i na złość...

— Bij, chłopak ucieknie.

— A niech ucieka, niech mi raz z oczu zejdzie!... Nikłe, nieglaźne, głupie, zapatrzone, aż ręka cięgiem świerzbi, że se rady dać nie mogę.

— Cóż? kiej jednego masz i takiego przyjąć musisz.

— Widziałaś Jędrka? to ci parobek i gospodarz, statek, rozum, siła, zdrowie.

— Kto wie, jaki byłby Jędrek. I Jaś dobry, tylo te szelmy odciągnęły go od matczynego serca i trzymają. Kunda, to nasz wróg. Jej się zdaje, że ona po naszej śmierci będzie tu panią.

— Gadałem z organistą — zaczął Biedroń ciszej. — Mówi, że za Nastką da pięć morgów gruntu, korali za dwa sta i krowę, byleby ją wydać za naszego chłopaka.

— Pięć morgów za Nastką!?... Dziewczyna jak ulał, ożenić ich choćby jutro — zawołała stara.

— Jegomość nie chce, bez wojsko... Każe czekać jeszcze choćby dwa roki, aby chłopa-

kowi było po dwudziestym, jej po szesnastym. Gdyby ino było można, organista nie zaspałby gruszek w popiele.

— Prawda, prawda. Mój Boże, córka organisty, pięć morgów, dziewucha jak rzepka! Ona już coś miarkuje.

— Matka jej pewno wspomniała — dorzucił Biedroń.

— Była tu kielka razy. Wpadnie, pocałuje mnie w rękę, załga się, byle nie po co, popatrzy i ucieknie. Cóż, kiej go w izbie nie uświadczy.

— Ja mu uświadczę... — pogroził świerzbiącą do bicia ręką i cicho zaklął.

— Mój Marcyś, tylko się nie rozsierdzaj i nie pomstuj na własne dziecko. Trzeba nam powolutku wszystko rozkalkulować i jednego się trzymać. Zbierz się, pójdziemy do organistów, po drodze weźmiemy od Żyda flaszkę miodu i będziemy radzić. Organista to przecie głowa.

— Jeżeli pójść, to z chłopakiem — rzekł Biedroń.

— Szukaj wiatru w polu. Tylko co gębę otarł, czapkę nasadził i przepadł...

— Może w karczmie?

— On ci do karczmy, do hulanki, do zberezi z parobkami, tak samo jak i ty.

— To gdzie? — wrzasnął stary — u dziadówek?!... Niech się ino która z nich na dziedzińcu pokaże!...

— Wygnałam, nie ujrzysz ich. Kundzie pogroziłam. Zacisnęła zęby i nie pisnęła ani słowa, ale w ślepiach widziałam płonące kaganki. Jak spojrzy, to mnie mrowia przechodzą...

— A mnie ręka świerzbi.

Starzy poszli do karczmy po flaszkę miodu i z nią do organistów, a w chacie Marcinowej odbywała się wielka narada. Kunda wodziła rej, Marcinowa tryskała gniewem, jak iskry z suchego drzewa. Tyksina lamentowała cicho, dwoje młodych, przytulonych do siebie, doznawało nieznanych im dotąd uczuć bojaźni o los i przyszłość swą...

— Co robić?... — zajęczała Tykśina.

— To, że ciężko!... Żeby dyabli wzięli starego, tobym se ze starą radę dała.

— Cóż, kiej go nie biorą — dorzuciła Marcinowa.

Nastało frasobliwe milczenie.

— Panienka przyjechała — zagadała Zosia. — Widziałam ją, dziś już se pani! Możeby ona co poradziła?

Jaś drgnął.

— Przyjechała? — powtórzył.

— Abo to ją stary posłucha?... A ona przecie nie pójdzie do niego.

— Więc cóż robić?

— Czekać, mądrować, kalkulować i patrzeć. Stary chytry, jak lis, co ślady za sobą ogonem zamiata, ale i my mamy rozum.

— Przyjechała — powtarzał w duchu Jaś — przyjechała, serce mu drżało. Rozkoszna radość przechodziła ciarkami po skórze. Zapomniał o wiszącem nad sobą nieszczęściu, o radach Kundy, miłości Zosi, o świecie całym...

Panienka przyjechała, myśl ta śmiała się do niego w postaci nowej książki. Dawno już jej nie miał w ręku, nie widział. Tęsknica go za nią zbierała.

— Przyjechała, przyjechała — będzie się znowu zaciekawiał, drżał z niecierpliwości, pożerał stronę po stronie...

Marzył i na tle książki wytwarzał sobie inny świat, innych ludzi.

— Przyjechała — powtórzył półgłosem.

— I cóż z tego — ofuknęła go Kunda. — Zośka głupia, a ty z nią, jeżeli se myślicie, że wam pomoże. Stary panem na swych śmieciach i zasie ludziom do niego.

— Ale, że przyjechała, rad jestem. Dobra, ugadana, wesoła, nie harna jak drugie.

— Bo ma rozum — dodała Kunda.

— Dobra, bardzo dobra, jutro polecę do niej, uskarżę się i będzie mi lżej.

Jaś powstał, rad był wymknąć się i lecieć do dworu, lecz nie śmiał.

Przez okno wyjrzała Marcinowa.

— Biedroń leci wprost na moją chałupę.

Zerwali się na równe nogi wystraszeni.

— Ja się go nie boję — szepnęła Kunda — ale jeszcze nie czas z nim rozpoczynać.

— Do komory! — dała rozkaz Marcinowa, otwierając drzwi.

Kunda, Zośka i Jaś wpadli do komory, Marcinowa zamknęła ich na kłódkę, siadła przy Tyksinie, ułamała kawałek chleba i tylko co zaniosła go do ust, gdy wpadł Biedroń.

Czerwony był, w głęboko osadzonych oczach latały żółtawe ogniki, ręka mu drżała, usta roztworzył i oniemiał. Nie znalazł syna, Kundy, Zośki.

— A czemuż to, przestępując próg, nie pochwalicie Chrystusa Pana? — zaczęła Marcinowa.

— Ja ci pochwalę — szepnął.

— Czego tu chcesz? — krzyknęła. — Ślepiami przewracasz i węszysz, czy niema czego

porwać?... Skradłeś łąkę, a teraz radbyś może pierzynę ściągnąć. Spróbuj!...

— Szelmy, gdzie mój syn? — szeptał wściekły. — Kradniecie mi chłopaka, ale ja was nauczę.

— Wynoś się z mojej izby, bo ci łeb polanem rozwalę, ty zbóju!

Biedroń zrobił krok naprzód. Marcinowa z Tyksiną zerwały się. Marcinowa pochwyciła dębową pałkę do rozbijania ziemniaków. Obie strony roznamiętnione, drżące rozszalałym gniewem, stały naprzeciw siebie, milczące, groźne.

Pierwszy opamiętał się Biedroń i ochłonął.

— Jeżeli zobaczę chłopaka z wami, szelmy, lub z tym latawcem, to wam kości połamię.

— A to go trzymaj na łańcuchu, sam przy nim siedź i szczuj go na ludzi.

Biedroń wyszedł trzaskając drzwiami, że aż szybki w oknie zabrzęczały, za nim wypadła Marcinowa z dębową pałą. Szła wciąż, rzucając przekleństwa. Stary odgryzał się jak mógł, przyśpieszając kroku.

Wstyd mu było ludzi, miał ochotę rzucić się na babę i zdusić ją, lecz się bał.

Na załamie z poza krzaków wysunął się organista. Marcinowa, zobaczywszy go, stanęła i grożąc, rzucała ostatnie przekleństwa.



Arystokraci wiejscy pomknęli, kryjąc się za wyniosłością wzgórza, Marcinowa wróciła do chaty. Na środku izby zbici w gromadkę stali Kunda, Tyksina, Jaś i Zośka.

— Widziałam, com chciała — zawołała. — Organista go przysłał i czekał na niego za brzezinką.

— Zaczyna się wojna — odezwał się Jaś.

— Zaczyna — powtórzyła Kunda. — I dosyć tej wolnizny, trza się wziąć na pazury.

Kobiety zamyślone słuchały, dziewczyna zbladła.

— Zośkę stara ze swego obejścia wygnała, a Jaś nie może latać do niej, chyba nocą, albo w święta, w lesie, paryi, na rozłogach...

— Znam ja jedno miejsce w Zaborowskim

lesie — zawołał Jaś. — Raz ino pokażę Zosi, a potem będziemy się schodzić.

— Stary z organistą — mówiła dalej Kunda — albo w polu oglądają urodzaje, albo na organistówce piją miód na przyszłe zrękowiny Jasia z Nastką. Chodźmy, jak wróci, zastanie nas w obejściu.

Zwróciła się do Zosi:

Pocałujcie się dobrze, ale ino raz... Trzeba pocierpieć, to potem szczęście smakuje jak miód.

Zosi łzy z oczu płynęły cicho, stała zrozpaczona, niema.

— No, raz, dwa, trzy i hala — marsz w drogę.

Jaś się pochylił i również onieśmielony boleścią Zosi, zaledwo dotknął ustami jej ust. Lecz to delikatne, nieśmiałe dotknięcie zelektryzowało oboje. Dreszcze przeszły po ich ciałach, dopadły do serca i zatamowały oddechy.

— A teraz marsz! — zawołała Kunda. — Żeby się żadna z was nie ważyła sama spekulować, bo może być źle. Ja jedna, co siedzę z Biedroniami od dwudziestu lat i zjadłam beczkę soli — znam ich. Bądźcie zdrowe: Zośka Jaśka, Jasiek Zośki — albo padnę!...

Wyszli, dotarli do krzaków, obeszli niemi dookoła wioskę, wracając łączką Biedroniów do domu.

Kunda mówiła, Jaś milczał, myśląc ciągle o przyjeździe panienki i o tych dreszczach ciepłych, które mu przechodziły po skórze na wspomnienie książki. Radby się dostać do dworu, lecz jakoś nie śmiał.

W izbie zastali matkę. Pocałował ją w rękę, ona pogłaskała go po twarzy.

— Byłam u organiściny — rzekła łagodnie.— Wiesz; że Nastka rośnie jak na drożdżach.

— I robi się z niej walna dziewucha — dorzucił wesoło Jaś.

— Jak rzepka — dokończyła stara i pocałowała go 'rozpromieniona.

Chłopak wybiegł z izby, pokręcił się po dziedzińcu i ścieżką poza stodołą pomknął do dworu.

Stanął przed bramą, oparł się o wierzeje i czekał zmiłowania Bożego. Pod czaszką świdrowała mu książka. Dawno już, oprócz książki do nabożeństwa nic innego nie czytał. A takby pragnął...

Książka wypełniała mu teraz cały świat...

Oczy zmrużył i uśmiechnął się do czarów historyi zaklętych w książce.

— Jaś!... — zbudził go głos, spojrzał: stała przed nim panienka.

Poskoczył ku niej, ucałował ręce wzruszony i szczęśliwy.

— Wyrosłeś, zmężniałeś, dzielny z ciebie robi się parobek. Zosię widziałam, ładna dziewczyna — kochacie się?...

— Okrutnie — wyszeptał nieśmiało.

— Gdyby Biedroń nie pozwalał, uciekajcie do mnie, ja was pożenię i wesele sprawię.

Chłopcu się zdawało, że śni.

— Umyślnie przywiozłam ci nowe książki, musisz je przeczytać. Tyś pewno po nie przyszedł. Tęskniłeś za książką, przyznaj się?...

— Rady se dać nie mogłem — odpowiedział śmielej.

— Zaczekaj, mój chłopcze, dam ci taką ciekawą, że nie będziesz ani jadł, ani spał, tylko czytał i czytał.

Szybko po schodach dostała się na werandę, znikając za szklanemi drzwiami. Jaś został, nadzieja ucieczki rozsadzała mu serce. Będzie miał i książek, ile tylko zechce i Zośkę przy sobie. — Kundę przecie pani przyjmie!... Ktoby jej nie przyjął?... Kunda za mną poleci...

Wróciła panienka.

— Masz »Potop«. Dlatego dzieło to tak się nazywa, że wojska szwedzkie zalały cały kraj, jakby potopem. Trzeba było dzielnie się bronić, żeby się nie dać. Spodziewam się, że wszystkie piękności tej książki odczujesz.

Chłopiec trzymał w ręku książkę i stał wzruszony.

— I nie podziękujesz mi?

Wstrząsnął się, pochwycił rękę panienki podniósł ją do ust i jednym tchem wypowiedział:

— Ucieknę z Zośką, a ojciec przyśle po mnie żandarma.

— Schowam was, a potem odeślę do siostry mego męża na Podole.

— Daleko? — zapytał.

— Więcej jak sto mil... Tam was już ojciec nie znajdzie.

— Nie będzie tam panienki, to i książek nie będzie — odezwał się żałośnie.

— Będą, będą, nie bój się. Niczego ci nie zabraknie, gdy tylko będziesz dobry i uczciwy.

Zamyśliła się, widocznie szukała w pamięci. Jaś stał przed nią rozpromieniony, chwytał powietrze w płuca, wytężał słuch, aby nie stracić ani jednego wyrazu.

— Jest u siostry mego męża — zaczęła wolno — wielka pasieka, przeszło dwieście uli. Pasiecznik stary, lecz kocha pszczoły, jak dzieci. Tybyś się przy nim poduczył, potem wysłanoby cię na naukę pszczelnictwa do Lwowa... Są to projekty, wprzód musisz zestarzeć się do tyla, aby ci ksiądz mógł dać ślub z Zosią, nieprawdaż?

— Prawda! Ja kocham pszczoły i krzywdy im nie zrobię.

— Podoba ci się ta myśl?

— Dziśbym leciał.

— W pasiece miałbyś dość czasu na czytanie!... Ale trzeba zaczekać, aby samemu nie lecieć, lecz z Zosią.

— I Kundą — dodał cicho.

— Zabierz i Kundę, przyda się. A tymczasem czytaj »Potop« wolno, nie spiesz się, zabawię z wami kilka tygodni.

Chłopiec rad był wypytać się o Podole, pasiekę, służbę, naukę, lecz nie śmiał i pilno mu było do Zośki lecieć, opowiedzieć jej o szczęściu i o projektach przyszłości. Podziękował i poleciał.

— Mam pasiecznego dla Ludki — zawołała »panienka«, zwracając się do młodego, dorodnego męża, ukazującego się we drzwiach werandy.

— Kogóż?

— Widzisz tego chłopca w białej sukmanie, mknącego ścieżką pod górę z »Potopem« pod pachą?... Marzyciel, pionier cywilizacyi, a tu warunki ciężkie. Ojciec skąpy chciwiec, lud nieokrzesany... Za wcześnie na misye. Światło, któreby rozniecał, zgaszą brutalne ręce ojca

i pół dzikiego ludu. Pionier padnie, nie zrobiwszy wyłomu. Szkoda chłopca, radabym go uratować. Schowam go w waszej pasiece.

— Czy go uratujesz, moja filozofko — odezwał się ciepło mąż, wyciągając do uścisku ręce.

— Róbmy, co można, mój pesymisto. Takie usposobienia, jak Jasia, jedynie na łonie cichej i łagodnej natury egzystować mogą, w zetknięciu z ludźmi padają.

— Schowaj wszystkich pionierów do pasiek, a wielką przysługę zrobisz społeczeństwu?!...

— Tego jednego, tylko tego jednego pozwól mi uratować. Za to zrobię wielką przysługę Ludce, dam jej uczciwego, łagodnego chłopca, stworzonego do pielęgnowania pszczół. Ożenię go z Zosią i niechaj przynajmniej dwoje ludzi na świecie przeze mnie zostaną szczęśliwi! To wielka przyjemność!

— To kwestya, czy zostaną?

— Tak mi się zdaje i pozwól, aby mi się zdawało. Niech i ja mam moje rozkoszne marzenia, na temat uszczęśliwiania ludzi, nie zabijaj mi ich — proszę cię, niech sobie płyną spokojnie...

* * *



Jaś zmęczony biegiem i wybuchami radości, które szarpały mu serce, chwytał gwałtownie w płuca powietrze, przystając na stromej ścieżce. W jednej ręce ściskał »Potop«, drugą zdjął krakuskę i pot rękawem płótnianki obcierał.

Ucieczka, pasieka, książki, Zośka, błyskawicami przelatywała mu po głowie... Stawał, patrzał, słuchał... Słyszał brzęczenie pszczół, świst lokomotywy, czuł całusy Zosi, słyszał ostry głos Kundy.

— Kunda musi być z nami!

Pomknął, ważąc w ręku książkę.

— Co tu papieru, jaka ci wielga historya. Będzie co czytać choćby z jaki tydzień!... W pasiece obejdę se raniutko ule, pogadam z gospodyniami, robotnice pójdą w pole po miód i dopiero legnę se pod lipą i książkę rozłożę. Zośka zawoła, albo przyniesie śniadanie, a tu,

słychać, pszczoły się roją. Dalej do roboty! lecimy po worki z siatką — i nowy ul przybywa.

Podskoczył, fantazya chłopca nie była szeroka, lecz za to ciepła. Minął kościół, z drogi rzucił się w krzaki, aby uniknąć ludzkiego wzroku i dopaść do chaty Tyksiny. Rozwarł z impetem drzwi i stanął. Na środku stała Kunda podparta pod boki, na ławie siedziały Tyksina i Marcinowa, Zośka zapaską rozdmuchiwała ogień na kominie.

— A nie mówiłam, że poleciał do dworu — zawołała Kunda.

— Poleciałem, — odparł Jaś — ale nie wiecie, co przynoszę?

— Cóżby? książki na swoje nieszczęście.

— Paniénka powiedziała, że jeżeli ino chcę uciekać, to mi pomoże. Zośkę zabierze i wyśle nas o sto mil, heń, heń, gdziesik na Podole, do pasieki, gdzie nas nikt nie znajdzie, a mnie wykieruje na pasiecznika. Samych tam pono uli pięć stówek.

— Czego ona włazi między ciebie i ojców, czego się wraża w nieswoje rzeczy... Co jej do ciebie? — krzyknęła Kunda.

Chłopak rozwarł szeroko oczy.

— A wiesz ty, że dwadzieścia pięć morgów

pola, pięć łąk, lasek na pustkowiu i całe obejście ludzie rachują na tysiące. A wiesz ty, że to wszystko twoje i będzie twoje i musi być twoje, słyszysz?!...

Zaczęła go szarpać za płótniankę z coraz większą energią.

— Tyś pan, tyś wielgi pan, drugiego takiego na okoliczność niema!... Dwór pierwszy, tyś drugi. Ksiądz i organista, furda?!... Możesz se postawić murowany dwór i książek skupować secinami, a ona cię wygania od ojcowizny, od bogactwa, od wszystkiego!... To twoje, wszystko twoje! — i wara komu innemu, la ciebie wszystko. Stary wcześniej czy później musi ślepia zamknąć, musi, musi, — ty weźmiesz wszyćko i jakbyś se dał wydrzeć, ja pierwsza plunęłabym ci w ślepia. U ciebie stówka, to będzie nic!... Myślisz se, żeby Zośka od takiego bogactwa odeszła, a matka ją puściła? I ona chce być panią, i ona chce po biedzie odpocząć i użyć świata, i ona se przecie zasłużyła u Boga i ludzi, na odrobinę szczęścia i uciechy, a ty chcesz ją sponiewierać. Ho, ho, ja wiem, ja se miarkuję, że *ta* pani we dworze radaby cię wciągnąć do pasieki i tam zamknąć, żebyś na nią całe życie pracował?! Mądra ona, ale i ja nie głupia... Gdy-

byś się ino ruszył, samabym cię oskarżyła i żandarmami sprowadziła. Staryby cię sprał i byłaby zgoda... Tyś pan, to leż jak pies na swych śmieciach i pilnuj swego!...

Zachrypła, mówić więcej nie mogła i zmęczona opadła na ławę, robiąc ciężko piersiami.

— Wiem, co moje i nie dam se mego wydrzeć — zawołał Jaś, prostując się.

Kunda zerwała się i pocałowała go.

— A niech mnie zechce prać, to się spróbujemy. Jam dobry, ale się poniewierać nie dam — mówił dalej blady i groźny.

Bogactwo, posiadanie, zwyciężyły go.

Pogroził pięścią.

— Mój robaczku, tyś już na parobka wyrósł, ludzie cię szanują i kochają. Niech on ino zmiarkuje, że się nie dasz, że u ciebie siła, nie zaczepi cię, nie bój się!... Dlaczego mnie ani trąci?... bo wie, żebym mu polanem łeb rozwaliła — prawiła Marcinowa.

— Nie daj się, tyś pan — powtórzyła Tyksina.

— Cała wieś pójdzie za tobą jak jeden — dodała Kunda. — Stary zostanie sam z organistą.

— I nikt mnie nie zniewoli, żebym się żenił

z Nastką! A niech spróbują, to się pokaże...

Zośka rzuciła mu się na szyję.

Drzwi zaskrzypiały od sieni.

— Stary — szepnęła Tyksina, cofając się ku komorze.

— Niech wejdzie — odparł Jaś, wyzywająco. Kto tam? — krzyknął.

Nikt nie odpowiadał, na twarzach kobiet malował się przestrach, na bladej twarzy chłopca wściekłość. Tyksina zajrzała przez okno, nikogo nie dostrzegła.

— Wiatr przeciągnął od krzaków i drzwiami zaskrzypiał — rzekła Kunda, otwierając sień.

Odetchnęli, kamienie spadły im z serc. Jaś tryumfująco się roześmiał. Bez walki zwyciężył i jako zwycięzca stanął wobec kobiet. W sercu Zosi i Kundy zaczął się wyrabiać pewien kult podziwu i upokorzenia się przed siłą chłopca. Piękność i dobroć ustępowały pod wrażeniem energii i odwagi, jakie w ostatniej chwili okazał.

— Czuję, mój Jasieczku, że ty się już nie dasz staremu — mówiła rozpromieniona Kunda.

Jaś pogroził z wyzywającą dumą.

— I la czego miałbyś uciekać i kryć się, jako zbój, w pasiece — co?...

— Nie ucieknę od mego bogactwa, kiedy

Pan Bóg i prawo mi dają. A ktoby mi je chciał odebrać, to mu pokażę, swoje wydrę z gardła.

Powiedział to takim tonem, że żadna z kobiet nie wątpiła, że wydrze.

— Nie dasz ty swego, czuć to w twym głosie. A jeśli stary myśli, żeś ty głupi, to się omyli, bo ty go jeszcze nauczysz rozumu.

Chłopiec przypomniał sobie, że ma za pazuchą książki, wydobył je, roztworzył, przysunął się do ognia komina i zaczął czytać.

— Wiesz Jaś, — dodała Kunda — że teraz to się nawet nie boję tych ksiąg! I co ci zrobią?!... Nic... za wielkiś ty pan i za mądry, abyś se nie dał z temi szelmami rady? Chodźmy, sen mnie zbiera, świtaniem trzeba się zerwać i cały Boży dzień na nogach.

Chłopiec powstał, Zosia przytuliła się do niego. Objął ją w pół i przycisnął.

— Nie wydrą mi cię. A niech spróbują — dodał i pięść zacisnął. — Chodź, Kunda! pracuj, haruj, na nic nie pytaj, bo la mnie harujesz i trochę la siebie.

Pocałował w rękę Tyksinę i Marcinową — wyszli. Zosia nie śmiała za nim lecieć. Zaczynał ją ogarniać jakiś lęk przed siłą chłopca, jego potęgą i wolą.

— Ho, ho, to już inny — rzekła Marcino-

wa — nie ten, cośmy go niosły na płachtach i nie ten, kiej go nawiedzała Święta Panienka.

— Nie ten — przyświadczyła Tyksina — ale kto ci on tera?...

— Tera? chłop Zośki! Kiej ją chce, będzie ją miał!

— Ale może pierwej stary go zabić.

— Abo on starego — dodała Marcinowa.

— Nie mówcie o takich okropnościach, bo na mnie skóra cierpnie, w nocy nie będę mogła spać — szepnęła Zosia. — I tak go już Kunda bez upamiętania judzi na starego.

— I ma rozum! Chłopaczyna był nieglaźny, zapatrzony, zaczytany w książkach, ona go ocuciła i pokazała, kim jest. Zrozumiał odrazu i pięść zacisnął. Gdyby wtedy, kiej drzwi zaskrzypiały, wszedł stary, spróbowaliby się. Stary mocny jak żelazo...

— Ale Kunda poszłaby w ogień za chłopcem — dorzuciła Marcinowa. — A i moja ręka twarda.

— Dajcie pokój — prosiła się Zosia — bo w nocy będzie mi się zwidywać. Jabym tam z ochotą skryła się do pasieki, żebym ino spokój miała i jego wele siebie...

— Cicho, głupia, lepiej być panią na swo-

jem, jak w pasiece tęsknić za światem i ludźmi. Kunda ma rozum.

Marcinowa zerwała się.

— Pamiętajcie, że moja łączyna wróci do mnie, a po mojej śmierci znowu do Zośki. Przysięgłyście, to wam wara uciekać do pasieki.



VIII.

Nazajutrz matka i syn siedzieli przy śniadaniu, jedząc z jednej miski.

Wszedł stary, był chmurny, zły, wzburzony.

— Gdzie ty latasz po całych dniach? — krzyknął.

— Niedziela — odpowiedział śmiało, chociaż mu wargi ze wzruszenia drżały.

— Gdzie latasz? — wrzasnął stary — pytam ci się: gdzie?...

— Nie wolno mi? — odparł butnie.

— Gdzie? — powtórzył stary, idąc ku niemu z zaciśniętemi pięściami.

Chłopak blady i straszny wstał, matka rzuciła się między nich. Stary odepchnął ją na łóżko, przysunął się do syna na odległość pół kroku. Zmierzyli się wzrokiem. Chłopak drżał nerwowo z wściekłości, gotów do walki na życie lub śmierć! Siłę tę odczuł stary i cofnął się przed nią.

— Jakto, mnie, ojcu, nie wolno spytać się dziecka, gdzie było?

— We dworze — odpowiedział cicho i spokojnie Jaś — przyjechała panienka, kazała przyjść, dała mi książki — czytałem.

Stary odetchnął, matka stanęła wśród nich.

— A tobie co po książkach, żeby ci do reszty we łbie popsuły?...

— Zapomnę, — szepnął — wszystkiego zapomnę, com się bez trzy lata uczył.

— Zapomni — poparła syna matka. — Do karczmy nie chodzi, za dziewczętami nie ugania, niechże choćby w niedzielę zabawi się książką.

— Jabym mu dał chodzić do karczmy, uganiać za latawicami!... Organista się skarży, że go nie nawiedzasz.

— Za mądry na mnie — odparł Jaś.

— Ale nie on sam w chacie siedzi. Jest gospodyni, są córki.

— Za młodym na zaloty — odpowiedział i wyszedł z izby.

— A do Zośki w sam czas — dokończył stary przez zęby. — Z nią, szelmo, gadasz cały dzień i nie kończysz.

— Tylko nie obcesowo, mój ojcze. Powolutku, pomalutku, cichutko, tak jak morgi od pijaków skupujesz. Chłopak czuje, że będzie pan, to i hardzieje... We dworze go pieszczą, sadzają przy sobie, nie dziwota, że nie dałby się dziś w pyski bić i poniewierać.

— Ja mu pokażę! — zawołał stary.

— No i co? — przerwała Biedrońka. — Chłopczysko ciche, spokojne, nie włazi ci w drogę, nie rachuje twego bogactwa, co zrobisz, to la niego święte. Czego ty chcesz od niego?...

— Głupia! — krzyknął stary — wiem, czego chcę. Gdybym podniósł rękę, rzuciłby się na mnie.

— To twoja krew, a ty dałbyś się poniewierać?

— Głupia, jam ojciec!...

— Kiej ojciec, to nie podnoś ręki, jak nie masz za co.

Stary popatrzał na żonę roziskrzonemi oczyma, wściekły na chłopca, babę i siebie za prze-

graną — wyszedł. Rad był chłopaka zaczepić i zbić na kwaśne jabłko, lecz nie wiedział za co i bał się... Walka ojca z synem byłaby straszna, a nawet pełna hańby dla niego.

— Czuję, że mógłbym go zabić — szeptał. — A niech ręka Boska obrania zabijać własne dziecko.

A mimo to ręka go świerzbiała, gniew w nim hulał, ściskał serce, chwytał za gardło. Odgadywał w chłopaku odmienną naturę, innego człowieka; musiał go szanować, zaczynał się bać i za to wszystko znienawidził go. Jakaś utajona wyższość chłopaka, której nie mógł zrozumieć, lecz ją odczuwał, przygniatała go. Chciał porwać te pęta, nie wiedział jak... Czuł, że gdyby go raz sprał należycie, toby się uspokoił i odetchnął na jakiś czas.

Na dziedzińcu było pusto. Jaś poszedł kosić łąkę, Kunda poniosła śniadanie parobkowi, konie i bydło wypędzono na błonia. Stary chodził od budynku do budynku i klął. Wszystko mu złe, wszystko mu zawadzało. Pies zaczął się łasić do jego nóg, kopnął go. Psisko skowycząc, odeszło.

— Czego on chce od własnego dziecka, co mu ono winno i jeszcze takie?!...

Biedrońka nie rozumiała przyczyn zawzię-

tości starego, lecz odgadywała niesprawiedliwość.

— Przeczuwam nieszczęście i boję się — szeptała, składając ręce nabożnie.

Tymczasem w polu poza świerczyną, Jaś kosił łąkę bez upamiętania. Gdy skończył, ułożył się wygodnie, wyjął z zanadrza pierwszy tom »Potopu« i czytał.

Nowe obrazy, odmienny styl, siła, energia, prawda, jasność pochwyciła go odrazu. Nowy duch z czytanych kartek wstępował w niego i przeobrażał go. Rzeczy, które dawniej zaledwo przeczuwał, teraz dopiero rozumiał. Razem z pułkownikami rzucił pod stopy hetmana buławę, zachwycał się fortelami Zagłoby, śmiał z Rocha — i dopiero odetchnął całą piersią i rozradował serce, gdy pułkownicy uwolnieni siedli na koń. Książkę schował rozmarzony i wrócił do domu.

Zatargi z ojcem zmalały w jego oczach pod czarami książki. Nawet Zosia i miłość do niej zbladły wobec wielkiej walki o śmierć i życie całego narodu.

Z kosą na ramieniu szedł wolno, przed oczami jego duszy szalała krwawa walka, strzały padały. Kosę ściskał, chciał lecieć, pomagać... Na drodze, przed chatą Kunda go dopadła.

— Stary wściekły, wydziwia okrutnie. Przysłała mnie matka z prośbą, abyś się mitygował. Matka za tobą, ze mną się zmawia przeciw staremu, górą nasza!... Tylko, mój Jasieczku, mityguj się, ustępuj mu we wszystkiem. Zły ci jak osa, chce cię sprać, a nie śmie.

Jaś się roześmiał, pokazując z za wiśniowych ust białe zęby. Potrząsł głową, że aż złote włosy wydobywające się z pod kapelusza zaszeleściały. Tryumfował, był dumny, zdawało mu się, że jest podobny do Wołodyjowskiego... Kmicica jeszcze nie rozumiał.

— Boi się mnie — powtórzył z dumą.

— Ale to zawsze rodzic, — Jaś, pamiętaj.

— A przecież tego despektu nie zrobię, żebym rękę podnosił na własnego ojca. Zamierzy się, ucieknę, a chwyci mnie, to dopiero wtedy będę się bronił.

Stanęli przed obejściem, Jaś wszedł na podwórze, Kunda obleciała do około, bojąc się wchodzić staremu w oczy.

Chłopak wszedł do izby. Opartą o framugę okna zobaczył organiściankę. Spojrzeli sobie w oczy. Na dziewczynę buchnęły ognie, pierś jej pod cienką perkalikową koszulą zadrżała, wargi się nieznacznie zatrzęsły — zadygotała...

Spojrzenia ich skrzyżowały się. Fala magnetycznego strumienia przeszła na niego, zapierając oddech. Dziewczyna była namiętna, w oczach jej zabłysły ogniki — namiętność udzieliła się chłopcu; — pierwszy raz w życiu odczuł ją, gorąco go przeszło, stanął, patrzał, jak na zjawisko, przynoszące mu rozkosz.

— Dobre południe — powiedział cicho wzruszony, nieśmiały.

— Dobre — szepnęła dziewczyna, ciągnąc palce u ręki, że aż trzeszczały.

Chłopak otworzył drzwi do komory, postawił kosę, wrócił i siadł na ławie, mając przed sobą dziewczynę.

— Urosłaś — rzekł wesoło.

— A ty to nie? Rosłam powolutku, aleś na mnie nie patrzał.

— I raptem zobaczyłem dużą, śmyśną i jakąś taką, że aż czuć ogień, co od ciebie bucha.

I znów twarz dziewczęcia oblała się szkarłatem, biała koszula falowała, słychać było bicie jej serca.

— Nie gadaj tak, bo ucieknę — szepnęła.

— A to cię będę gonił.

— To i cóż?...

— I jak złapię, wycałuję.

Dziewczyna ukryła pałającą twarz w dłonie.

— Śmiałbyś?..

— La czego nie?

— A Zośka Tyksianka?...

— Cóż Zośka, a co Zośce do mnie?

— Ona mówi, że ma prawo do ciebie.

— Jakie prawo? co za prawo? Ksiądz jak stułą zwiąże, to wtedy jest prawo — głupia.

— Całowałeś ją...

Dziewczyna podniosła oczy, płomyki w nich latały, rozśmiała się, koszula się wznosiła. Płomyki te przypiekły chłopcu. Blady wstał, objął ją w pół, oderwał od twarzy ręce i całował, aż zesłabł.

Dziewczyna się wydarła i uciekła.

Trzaśnięcie drzwiami ocuciło go, stał jak przed zjawiskiem, które tylko co znikło.

Błyskawica oświeciła mu umysł, szarpnęła nerwy, poruszyła fale krwi, cisnące się do serca. Odgadł — zrozumiał. Zośce nie paliły się płomyki w oczach, piersi nie drgały życiem, ogień z nich nie szedł. Zośka go całowała wobec Kundy i matki swej, pieściła, tuliła, kochała — ale ognia w niej nie było, coby go przejmował i oddech zapierał.

Siadł, podparł głowę na ręku i dumał — a tymczasem rycerstwo tłumnie leciało do nie-



go, obejmowało go, brało z sobą i pędziło z nim światami do Częstochowy bronić Cudownej Panienki i Króla...

Mimowoli sięgnął za pazuchę po książkę, wyjął, otworzył ją i czytał łakomie.

Drzwi zaskrzypiały, weszła matka, chłopiec książkę schował.

— Dziewczyna mi się skarżyła, że ją całowałeś. Ale rada temu była — dodała ciszej, uderzając go ręką po ramieniu.

— Okrutnie ci ognista — odparł Jaś.

— Wszystko się w niej pali, a najwięcej robota. Iskra, płomień — no i niczego gładka na gębie, ślepia jak tarki, ma wszystko, co potrzeba, nic jej nie brakuje.

I znowu go uderzyła pięścią pieszczotliwie w kark.

— Gdybyś ty miał rozum, miałbyś dostatek i szczęście...

Przed oczami chłopca przesunęła się Zośka zapłakana, bolejąca. Żal za dziewczyną ścisnął mu serce. Ból i wstyd wstrząsnęły nim. Popod oknami przemknęła postać starego.

— Pocałujże ojca w rękę na przywitanie — szepnęła szybko matka.

Wszedł Biedroń, Jaś się pochylił do jego ręki.

— No, no — rzekł stary — już się zaczynasz rwać do dziewuch. To tak samo, jak ja, gdy byłem w twoim wieku.

Zaśmiał się i zatarł radośnie ręce.

— Cicho, zbereźniku, nie psuj mi chłopaka — dodała filuternie żona.

— Uczyć go nie trzeba. Dawaj prędko jeść

i dalej do siana. Trzeba je rozbić, okrążyć i skopić... Żywy ogień z nieba leci.

Pomarszczona twarz starego jaśniała, rzucał ukradkiem ciekawe spojrzenia na syna, rad, że tak łatwo mu poszło.

— Jak jest hubka i krzesiwo, to o ogień nie trudno — powtarzał w duchu. — Ktoby się spodziewał?... Zdawało się, że chłopak przy spódnicy nie umie trzech zliczyć... Pewno go szelma Zośka rozzuchwaliła i nauczyła.

Jedli w milczeniu. .Jaś, pochwycony na gorącym uczynku, posmutniał. Żal go tłoczył, Zośka stała przed nim zapłakana... Kochał Zosię, lecz od organiścianki ogień buchał, obejmował go i ciągnął.

Położył łyżkę, otarł rękawem usta — wstał.

— Gdzie idziesz?...

— Spocznę ociupinę, trawa wielga, powalona, ciężko było kosę w nią wrazić.

— Prześpij się — dodała matka.

— Na parę pacierzy — zawołał za odchodzącym stary.

Jaś wyszedł i pędem poleciał do stodoły. Zaledwo się ułożył, pochwycił książkę, a zaledwo zaczął rozkoszować się obroną Częstochowy i dzielnością Kmicica, gdy raptem stanęła przed nim Kunda. Wystraszony, patrzał.

— Rwałeś się do organiścianki? — spytała z eptem.

Poza tą cichością szeptu czuć było ogień i wściekłość.

— Kunda, siadaj przy mnie.

— Odpowiadaj: tak, albo siak — żachnęła się.

Chłopak się zerwał, przyłożył twarz do ucha Kundy.

— Wolę dziś skonać, jak Zośkę porzucić, dziś bez Zośki życia nie miarkuję, obrzydłoby mi — i jakby na to padło!... Ale coby miało paść? Nie chcę i już. Kunda, przysięgam ci, nie dam się, co mi zrobią?

Zbladł, trząsł się nerwowo. Kunda pochwyciła w drżące ręce głowę chłopca i pocałowała.

— A cóż się Nastka chwaliła, żeś ją pocałował?

Chłopiec, milcząc, wzruszył ramionami.

— A to ci podłe plemię dławidudów. Jaś, nie opuszczajże nas i jakeśmy zaczęli, trzymajmy się razem do końca... Zestarzałam się, służąc ci, — organiścianka, gdyby została twoją, wygnałaby mnie. Jaś, ciebie mam za syna, Zośkę za córkę.

Rozpłakała się, Jaś ją pochwycił, tulił i całował.

— Kunda, ja cię przecie miłuję jak matkę

i gdyby nie ty, święta ziemia dawnoby mnie gryzła. Ja przecie miarkuję, że jak wkiedy książkę otworzę, to nie będziecie na mnie swarzyć. Kunda będziesz u mnie panią i gospodynią. A jaki ci na zimę z zielonego sukna podbity białym barankiem kaftan sprawię...

Kunda się rozśmiała, otarła oczy zapaską, pogłaskała chłopca i odeszła.

Jaś gorączkowo wlepił się w książkę. Właśnie Kmicic podkradał się z kiełbasą prochową pod »kolubrynę«, co wielką szkodę w murach Jasnej Góry robiła. Już zgolił Szweda stojącego na warcie, w gardziel armaty wepchnął kiełbasę, miał ją podpalić, gdy szorstki głos starego wypełnił dziedziniec. Jednocześnie trzcina jego odbiła się przeraźliwie o drzwi stodoły. Chłopiec zaklął, książkę schował — i przywykły do posłuszeństwa — poszedł.

Przy sianie Nastka, w białej jak słońce koszuli, w czerwonym gorsecie i krótkiej spódniczce, boso, a nogi miała bielutkie, przeleciała na odwieczerz z grabiami.

Jaś poszedł kopić i zdawało się, nie patrzał na nią, nie zaczepiał jej, nie odzywał się. Dziewczyna porozumiała się szeptem z rówieśnicami i piosnka wyleciała w powietrze: o Jasiu, co koniki poił, Kasia wodę brała... Jaś

porzucił Kasię, Kasia skoczyła na samo dno jeziora, rybacy wyciągnęli bledziuśką, jak opłatek.

Chłopakowi zdawało się, że Zosia za nim utopi się z rozpaczy.

— Zosiu, nie zdradzę cię, choćbym ducha miał wyzionąć!

Po tem zaklęciu zaśpiewał wesołego krakowiaka, dziewczęta mu odpowiedziały. Piosnki przecinały powietrze, echo je przedrzeźniało, padająca rosa niosła polami do wioski.

Serce starej rosło, Biedroń karazował krzaki na łące, przestawał co chwila i słuchał. Twarda natura jego miękła pod działaniem głosów dziewcząt.

— Rwie się do chłopaka — powtarzał — jak opętana. Abo ino do chłopaka? Rwie ci się do pana, do bogacza...

Gniew go opanował.

— Do bogacza, do bogacza — szeptał. — To ja jestem bogacz z własnej pracy, a ten kiep nie ma nic. Do mnie się nikt nie rwie, ludzie mnie unikają, a do niego się garną... On bogacz, ja parobek u niego. Zasypią mnie ziemią, on weźmie wszystko, zabierze wszystko i puści. Żebyś miał puścić i ojcowiznę zmarnować...

Nie śmiał dokończyć, myśl, co w nim świdrowała, radby ją wyrwać z mózgu z korzeniami i rzucić daleko od siebie.

Po wieczerzy, gdy zaledwo świetlana chmura na zachodzie tłumiła światło księżyca, Jaś pocichu wydostał się ze stodoły, przeskoczył płotek i pognał wygonami do Zośki.

Żal go ogarnął, smutek tłoczył serce, wstyd mu było przed samym sobą, a mimo to Nastka leciała przed nim. Widział ją — podkasywała umyślnie spódniczkę, żeby zobaczył białe nogi. Śmiała się do niego, oczami strzelała... Leciał coraz chyżej — dziewczyna, skąpana w świetle księżyca i białej mgle, tańczyła wciąż przed nim. Młodość w niej kipiała i rozkosz, którą zaledwo przeczuwał, zapalała w nim płomienie.

Dopadł zdyszany do chaty, otworzył gwałtownie drzwi — objął wzrokiem Zosię i zobaczył zarysowujące się kształty młodości, na które dotąd nie umiał patrzeć... Siadł na ławie zmęczony, wyciągnął ręce, dziewczyna się przysunęła, objął ją w pół i przytulił rzewnie i gorąco.

Dziewczę odczuło ciepło uścisku i zadrżało, koszula z poza gorsetu odchyliła się, białe ciałko zajaśniało na tle czerwonych płomyków,

koszulę odsunął ustami i zaczął całować. Nie broniła się, ręką głaskała mu włosy.

— Cniłeś za swoją?...

— Okrutnie — szepnął.

— A słycham, organiścianka lata za tobą, jak jaskółka, zagląda ci w oczy, wabi cię i ciągnie.

Nic nie odpowiedział, coraz silniej cisnąc rozpaloną twarz do jej piersi. Dziewczyna się przelękła tych uścisków i gorąca, które biło od chłopca.

— Dosyć — szepnęła, wydarła się i odsunęła.

Chłopak zmęczony, ciężko oddychał, oczy mu świeciły, a twarz paliła. Piękny był w oczach Zosi.

— Mój ty biedaku, dużo jeszcze musisz się namęczyć, zanim ociupinka szczęścia spadnie na nas.

— Przeleci migiem — odpowiedział wesoło, wyciągając książkę z zanadrza. — Moja Zosiu, ino odrobinę! Muszę się dowiedzieć, co się stało z kolubryną i Kmicicem.

— Co za kolubryna?

— Taka ci armata okrutnie długa, co ją Szwedy pod Jasną Górę przyciągnęli i nią chcieli zmódz Świętą Panienkę...



Przewracał kartki, szukał, znalazł i czytał.

— Mój Jasieczku, tylko niedługo, bo zesłabniesz.

Chłopiec nie odpowiedział, czytał wciąż, póki nie dobił do końca rozdziału.

— Uciekli — zawołał. — Chwała Bogu, uciekli.

Odetchnął.

— Kto? — spytała Zosia.

— Szwedzi — Jasna Góra uratowana, Cudowna Panienka wolna! Zosiu, te wielkie historye, to wszystko prawda, a człek o tem nic nie wiedział i tak żył, jak ten głupi... Cudowna Panienka odegnała Szwedów, ale se też dobrała do pomocy Kordeckiego i Kmicica — chłopów nielada — mądrali — dzielnych.

Objął dziewczynę, całował jej usta, szyję, potem jakby ją chciał przepraszać, pocałował jej rękę i wyszedł, a Zosia za nim wołała:

— A przychodźże, bo mi serce z żalu pęknie...

Chłopiec wracał zadowolony z siebie.

Szwedzi uciekli z pod Częstochowy, a Zośka odzyskana. Biegł wesoło... po promieniach księżyca i mgłach płynęła przed nim Zosia o modrych ślepkach i dobrym uśmiechu. Czuł ciepłą jej rękę na twarzy i pocałunki serdeczne...

— Cudowna Panienka odegnała Szwedów, to i mnie przecież pomoże, gdy będę twardo stał przy swojem — jak Kmicic...

Z tem postanowieniem wsunął się do stodoły i zasnął. Śniły mu się bitwy, zasadzki, kolubryna, ucieczka Szwedów. Wszędzie był przy boku Kmicica, twardo stał i dzielnie się potykał.

— Wiwat! — wołał przez sen — naprzód, wiara za mną.

IX.

Przed końcem tygodnia skończył Jaś całą powieść, wchłonął ją w siebie, że aż zaczęła z niego promienić. Rad był biedz do ludzi i opowiadać im o wielkich czynach i cudach na Jasnej Górze, o zwycięstwach, powrocie króla.

W niedzielę zerwał się, palony gorączką, pobiegł na cmentarz i zanim rozpoczęło się nabożeństwo, zaczął opowiadać o »Potopie« zebranej gromadce. Słuchano go ciekawie w skupieniu ducha. Chłopak był mowny, ciskał płomieniami z oczu, a wyrazy płynęły mu z ust, jakby zboże siał pełną garścią.

Zadzwoniono, ludzie rozciekawieni, dziwując się powieści chłopca, poszli do kościoła.

— Najświętsza go nawiedza, to i cóż, że szepce mu do ucha i kładzie na niego uroki — mówiły kobiety. — Piękny ci jak malowanie, mądry jak »jegomość«, a dobry?!... Żeby ino Biedroń umiał go uszanować.

Jaś po udanej próbie na cmentarzu rad poleciał po nieszporach do karczmy. Książki zabrał z sobą i tam zaczął ludziom prawić o przeczytanych dziwach. Gdy mu zabrakło toku myśli, otwierał książkę...



Gospodarze go słuchali, kobiety z lubością wpatrywały się w niego, lecz parobcy drwiąc po cichu z proroka, niecierpliwili się. Gdy tylko skrzypki z daleka na dworze zagrały, karczmę wypełniły śmiechy i żarty, pełne wesołości.

— Muzyka, muzyka — szeptały młode dziewczęta, gospodynie za niemi. Zaczęto przytupywać nogami.

Drzwi się szeroko rozwarły, izba wypełniła się tłumem, basy zahuczały. Chłopak machnął ręką, zamilkł, posmutniał i wyszedł.

— Jaś, nie zostaniesz i choć ociupinkę nie pokręcisz się z nami? — wołały za nim dziewczęta.

Odwrócił się, popatrzał na nie dziwnie, podziękował i poszedł przez zarośla i kręte ścieżki wprost do chaty Tyksiny.

Zosia w różowym gorsecie, białej koszuli, koralach na szyi, a chusteczce na głowie wyglądała uroczo. Szczęśliwa, uśmiechała się serdecznie. Modre jej ślepka patrzały smętnie, lecz poczciwie.

Przy matce nie śmieli się całować. Po ostatnich uściskach onieśmielili się nawet do siebie. Na widok Jasia po twarzy Zosi przeszły różowe płomyki i schowały się za haftowaną kryzę koszuli.

— Byłem w karczmie — odezwał się, siadając na ławie.

Matka i córka rozwarły oczy.

— Chciałem pogadać z ludźmi, opowiedzieć im o tych wielkich wojnach, co się działy, o sławnych wodzach... Jakoś samemu wiedzieć i nie mieć do kogo gęby otworzyć, smutno. W piersiach rozpiera, człek radby się

wygadać, wyspowiadać i chodzi jak zbłąkany.

— A nas to nie masz? — odezwała się nieśmiało Zosia.

— Co tam z babami o wojnach rozprawiać.

Machnął ręką niechętnie i zamyślony siedział, patrząc w przestrzeń.

Raptem pochwycił dziewczynę, wziął ją na ręce i chodził z nią po izbie.

— Matusiu, — zwrócił się do Tyksiny — wyście to pierwsi przynieśli mi książkę ze dworu i niech wam Bóg da zdrowie. Przecie się wie, co było na świecie, człek nie żyje jak to bydlę, co się ino obziera, aby zeżreć i legnąć.

— Dokazujcie, a tu łada chwila może wpaść, jak zeszłej niedzieli, stary i narobi okrutnego piekła!...

Zosia zsunęła się z rąk Jasia, poskoczyła do okna, otworzyła je, wyjrzała.

— Do samych brzozowych krzaków nikogo — szepnęła.

— Zosiu, chodźmy w Czyżowski las, nikt nas nie zoczy, ugadamy się, odpoczniemy. Jakoś mi dziś z ojcem drzeć się nie glaźno. Pójdziesz?

— Idźcie od chaty w dół, na strumyku pod

wierzbą, jest kładka, nikt was nie ujrzy — radziła Tyksina.

— Chodźmy — szepnęła Zośka.

— Idźcie, idźcie — nalegała matka — bo o nieszczęście nie trudno.

Otworzyła drzwi, wyszła z izby, rzucała wzrokiem na wszystkie strony i zawołała:

— Żywej duszy — lećcie!...

Jaś podał ramię Zosi i razem, jak zwykło państwo, zbiegali z góry.

— Przylepka chłopak — szepnęła Tyksina. — A to ci moja dziewucha wyciągnęła *lumer* na loteryę, ale ci cierpnę, jak to się skończy. Za wielgie szczęście i la tego się boję. Pan Bóg skąpy w rozdawaniu szczęścia — i la tego się boję...

Patrzała za niemi, mimo że pełna strachu, rozpromieniona. Chłopak i dziewczyna przytuleni do siebie, biegli, zieleń ich odcinała, słońce złociło.

— I cóżby to Panu Bogu szkodziło, dać tym dzieciom odbrobinę szczęścia — co?... A coby staremu Biedroniowi szkodziło przytulić ich do siebie?... Dziewczynina nie bez to, że moja, ale cicha, potulna, sama dobroć. I cóżby Bogu na niebie, a ludziom na ziemi szkodziło, dać im tę ociupinę szczęścia?!...

Machnęła rozpaczliwie ręką, otarła łzy cisnące się do oczu, odpychało ją od pustej izby — poszła do Marcinowej.

Chłopak i dziewczyna wpadli na dworską łąkę, wijącą się za biegiem strumyka, który ją przecinał, wśród ciemnych olch i białych brzóz, stojących na straży dwóch lasów, rozdzielonych łąką. Cicho było, sennie, rozkosznie, ani jeden listek na drzewie nie szeleściał, ptaszek się nie odezwał.

— Dobrze ci? — szepnął Jaś.

— Jak w niebie — odpowiedziała dziewczyna.

Przeniósł ją przez strumyk, obejrzeli się i wpadli w gąszcz.

— Jesteśmy na Czyżowskiem i tu nas nikt nie podejdzie, nie złapie, nie wystraszy. Tu nikogo nie potrzebujemy się bać, ani ojca, ani organisty. Tu ci nie przyjdą!...

Dęby, buki i brzozy splatały się razem, tworząc w górze zielone sklepienie, pod nogami złotawe podścielisko. Wielki, cichy, zadumany las i dwoje dzieci — szczęśliwych, rozradowanych ciszą, spokojem i samemi sobą...

— Tu się będziemy w święta i niedziele schodzić — zawołał Jaś. — W izbie dusza na ramieniu, nie bez to, żebym się bał, ale bez

to, że nie lubię się strachać, obzierać, patrzeć, uszu nadstawiać.

Przytuleni, mknęli coraz głębiej.

— Patrz, — szepnęła Zosia — jakby umyślnie kto dla nas liście zgrabił.

Niewielką kotlinę otaczały drzewa, trawa blado zielona, miękka, rozścielała się pod ich stopami.

— Tu założymy obóz, tu będziemy odpoczywać — zawołał chłopiec.

— Ty będziesz opowiadał, a ja słuchać. Wiesz, Jaś, że lubię, jak opowiadasz te ciekawe z książek historye. Czy to warto w karczmie?

— Widzisz, ty tu sama, a tam ludzi huk — patrzą, słuchają, dziwują się. Tylko szelma Żyd przeszkadza. On wie, że wkiedy tańcują, to wódka płynie... Jak osiędę na ojcowiznie, dobuduję wielką izbę, ludzie się zejdą, a ja wtedy będę im prawił. Wiesz, Zosia, człek jak się czego dowie, to coś w nim gra, coś go bodzie, żeby się z tem przecie wygadał i podzielił z drugimi...

— Jak osiędziesz na ojcowiźnie i będziesz bogacz, to cię będzie stać na murowany dwór, jak mówi Kunda. A cóż dopiero na nową izbę. Stawiaj, ile chcesz, bylebyś do karczmy

nie chodził... La takiego panicza nie pięknie...

— Ej, ty, moja panienko!... Jak się pobierzemy, to przecie nie będzie nam źle na świecie, co?...

Poskoczył i pocałował ją w usta. Usiedli na wyniosłości otaczającej kotlinę. Chłopiec oglądał się, udając, że patrzy okiem doświadczonego wodza.

— Tu — zaczął — możnaby obóz wygodnie założyć. Niedaleko woda i łąka dla koni! W tej kotlinie gotowalibyśmy jeść!...

Wstał, założył ręce za siebie i patrzał zamyślony.

Zosia oparła łokcie na kolanach, głowę na rękach i zasłuchana patrzała. Chłopiec pobudzony wzrokiem dziewczyny, zapalił się, mówił z wrastającą siłą...

Słońce przesunęło się ponad zielonem sklepieniem, zapalając raptownie las czerwoną łuną.

— Wracajmy — szepnęła Zosia.

— Nie dasz pyska? nie pocałujesz? nie pogłaszczesz?...

— Tu nie! w izbie, gdzie chcesz, tu się boję, mój Jasieńku — lećmy...

— Boisz się, czego?...

— Wszystkiego, a siebie najwięcej. Wracajmy, moje ty złoto, mój ty królewiczu!...

Nie czekając na odpowiedź, biegła naprzód, Jaś za nią.

— Kiej nie chcesz, to nie, tylo nie uciekaj przecie.

Dziewczyna zatrzymała się, podała mu rękę, szli jedno obok drugiego. Słyszeli, jak im serca biły, onieśmieleni drżeniem i niespokojnością własnych nerwów — milczeli.

* * *

Napróżno Biedroń szukał syna w całej wsi, był w karczmie, bał się zaglądać do chaty Tyksiny, bał się go spotkać z Zośką. Nie dowierzał sobie i własnej wściekłości.

— Zadrwił sobie ze mnie i z organisty, wycałował dziewuchę i rzucił. Co ten łajdak sobie myśli, czego on chce ode mnie, od świata i ludzi... Może on myśli — ścisnął kij, zdawało się, iż ślady palców na nim zostaną. — Może on myśli — nie śmiał dokończyć: że za dużo byłoby nas dwóch na świecie — powiedział wolno i obejrzał się, czy kto nie słyszy. Wrócił do izby, stara siedziała przy oknie.

— Był w karczmie, prawił ludziom jakieś

dziwy, głupstwa, ale gdy muzyka zagrała, poleciał, przepadł.

Usiadł na ławie, zdjął kapelusz i szeptał, obcierając zroszone czoło.

— Za to pasanie, drogo sobie każą płacić te psia krwie...

— Jeszcze nie wiesz, a już się wściekasz...

— Słuchaj stara — przerwał — układałem se, że przeniosę chałupę po Maślance na grunt organisty, tam pobuduję i osadzę ich. Zostalibyśmy sami na własnych śmieciach u siebie. Nastka z chłopakiem dorabialiby się na swojem... A ten łajdak, co on robi, czego ode mnie chce, co sobie myśli?

Zatrzymał się i zastanowił.

— Boże, Boże, daj mi opamiętanie — zaczął się modlić.

Biedrońka się zerwała, przybiegła do chłopa, tuląc go do siebie.

— Cicho, cicho, widocznie dyabeł cię opętał... Chłopaka masz, że ci zazdrości cała wieś, dobry, cichy, inakszy, jak drudzy.

— A właśnie nie chcę, żeby był inakszy. Niech będzie jak drudzy — niech hula, breweruje, ale niech ma rozum, niech wie, czego chce, niech idzie za drugimi, niech pracuje...

— Cóż-to próżnuje?...

— Robi ino tyle, co mu się każe. Ale żeby dbał o ojcowiznę, zabiegał...

— Ty masz za niego głowę.

— A jak mnie nie stanie, co wtedy, co wtedy?!... Wtedy te szelmy przyjdą tu i rozsiędą się, a ciebie wygnają...

— Dasz mi wymowę, to i co mi zrobią?...

— Nie chcę, żeby przychodziły — zadławił się z wściekłości. — Lepiej niech śmierć przyjdzie — dodał cicho, lecz zaraz rzucił się na kolana i wzniósł ręce w górę.

— Boże miłosierny, obraniaj-że mnie na stare lata od zatracenia wiecznego!

— Ojcze, bój-że się Boga! — zawołała stara. — Jak cię wściekłość opanuje, to i końca miary z nią niema. Siądź-że, spocznij, napij się miodu...

— Daj mi kwaśnego mleka, może mnie ochłodzi.

— Tybyś chciał, żeby chłopak był taki jak ty — ludziom na palce patrzał i radby im z gęby wydzierać.

— Cicho, — krzyknął Biedroń — bo i ty przeciwko mnie. Zostałem jak ten palec sam na świecie.

— Chcesz być sam, bo własne dziecko odpychasz od siebie.

— Ucieka!...

— Boi ci się.

— Już mnie się nie boi, wyzywa i patrzy z góry, jak na swego parobka.

— Nie prawda.

— Prawda, kiedy ja mówię, słyszysz!...

— To go nie poniewieraj.

— Ja was oboje sponiewieram — wrzasnął.

Biedrońka zamilkła, czuła, że wściekłość starego gotowa na niej się odbić — chciała odejść.

— Gdzie! — zawołał.

— Do obejścia, popatrzeć tu... haw.

— Czekaj — przysunął się do niej i szeptem mówił: — Umityguj go, niech on ze mną nie zaczyna, niech on mnie szanuje, niech mi ustępuje, niech się mnie boi, niech mnie słucha, bo albo mnie krew zaleje — albo!... W imię Ojca i Syna!... boję się...

— Człowieku, własne dziecko, własna krew — ludzie go kochają.

— Właśnie, że go kochają — szeptał. — On wszędzie pierwszy, on przede mną — on, ino on, zawdy on. Dlatego chcę go pobudować

na pięciu morgach organiścianki — niech mi zejdzie z oczu. Matko, mityguj go!...

Głos mu drżał, ręce drżały, oczy świeciły złowrogo. Biedrońka załamała ręce.

— Dopust Boży, kara Boska sprowadziła taką zawziętość na własne dziecko...

— Mityguj go — powtórzył Biedroń, lecz pod wrażeniem kary Boskiej, nie mógł usiedzieć — wyszedł.

Jaś wracał. Przed karczmą stali parobcy, ćmili papirusy, odpoczywając po tańcu.

— Był tu stary, — rzekł jeden z nich do Jasia — szukał cię, wypytywał ludzi.

— I jakoś ręka okrutnie go świerzbiała — dodał drugi.

— Leć do Zośki i schowaj się, póki go nie odświerzbi.

Rozśmiali się dziko. I oni go nie lubili. Nie wdawał się z nimi, mimowoli imponował im: rozumem, bogactwem i miłością ludzką.

Jaś pomknął dalej, nie odzywając się.

— Fizdrygant, niedojda, babski przylepka, zmarzlak!... No, ale jak mu stary lanie sprawi, rozgrzeje się.

Śmiechy doszły uszu chłopca — stanął.

— Wiem — szepnął — ręka starego świerzbi

bez to, żem nie poszedł z nim do organistów. I co mu powiem?

Stał zamyślony.

— Co robić, co robić — powtarzał, ściskając książki.

I książki nasunęły mu myśl, żeby z niemi iść do dworu. Usłuchał.

— A jak panienka zażąda, żebym jej opowiedział?... To opowiem i jak jeszcze!

Poskoczył uszczęśliwiony projektem.

— We dworze światło palą do późna.

Leciał, ile mu sił starczyło, dopadł na ganek, panienka go ujrzała i zawołała do pokoju.

Przed północą w izbie u Biedroniów świeciło się. Jaś wszedł cicho, pocałował ojca i matkę w rękę, kładąc w czerwoną skórę oprawną książkę na stole.

— Byłem we dworze — rzekł. — Starsi państwo i panienka posadzili mnie za stołem obok siebie, częstowali winem, Bóg wie nie czem, a ekonom wtedy stał przy drzwiach. Wypytywali się o matkę i ojca. Panienka darowała mi tę oto książkę.

Biedroń zmiękł. Pochlebiało mu, że syn jego siedział z państwem za stołem, a ekonom, z którym wojnę prowadził, stał przy drzwiach.

— Mnie nie zaproszą — mruknął.

— Bo tatuś nie byli we dworze — tłómaczył Jaś.

— Chociażbym tam wlazł, nie posadziliby mnie za stołem.

— Dlaczego?

— Bo nie — krzyknął. — Znam ja ich i ty nie masz po co do nich łazić, lizać się i łasić.

— Dobrzy...

— Póki nic od nich nie chcesz. Ruszaj spać, jutro do roboty o świcie.

Chłopak odchodził powoli, lecz nie mógł wytrzymać i powiedział:

— Tamte były zwyczajnie pisane, a ta wierszem i nazywa się »Pan Tadeusz« — zamknął drzwi.

Starzy popatrzyli na siebie.



— Tyś się wściekał, że do Zośki lata, a ja ci mówię, że to chłopak inakszy.

— To nie mój syn — rzekł cicho Biedroń.

— Najprzód Boski — odpowiedziała kobieta.

— Ale krew nie moja, natura nie moja.

— Ludzie mówią, że pono do twego ojca z urody podobny — odpowiedziała.

— A niech go!

Stary schwycił się za głowę, klął siarczyście, zęby zaciskał i powtarzał w duchu:

— Nie moja krew, nie moja natura...



X.

Następnej niedzieli w Czyżowskim lesie w tej samej kotlinie wysłanej zieloną trawą, na wzniesieniu siedziała Zosia, przed nią stał Jaś z otwartą książką i czytał:

. . . .

»Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
»Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
»Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
»Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
»Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
»Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
»Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała.
»A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
»Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Głos mu drżał, rzewność go opanowała, łzy w oczach świeciły. Dziewczyna wpatrywała się

w chłopca na poły zdziwiona, na poły wystraszona, wytrzeszczając oczy, jak gdyby wzrokiem chciała przebić otaczające ją ciemności.

— Zosiu, czy ty miarkujesz? — zapytał Jaś.

— Co nie mam miarkować — odpowiedziała cicho.

— Czy ty czujesz, Zosieczko, czy czujesz, jak to ślicznie napisane.

— Przecie znam pszenicę i żyto, dzięcielinę rumianą. Albo na naszych miedzach nie siedzą stare grusze!?...

Jaś usiadł obok dziewczyny, szepcąc na pamięć:

»A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
»Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Zaśmiał się wesoło upojeniem rozrzewnienia.

— Zośka, świat przecie miły, byle mieć jakie takie ślepia i patrzeć na niego.

— Prawda — poświadczyła, lecz nie miała pojęcia, jakich to trzeba ślepi, żeby patrzeć na niego.

Jaś powtarzał zcicha:

»Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
»Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
»Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała.
»A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
»Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą...

— Trzeba miać ślepia, żeby to widzieć, i coś w duszy, żeby czuć... Zośka, czy ty czujesz?... Ja od tygodnia inakszemi oczyma patrzę na naszą wioskę i jakoś ją lepiej miłuję... I u nas gryka jak śnieg biała, i u nas dzięcielina panieńskim rumieńcem pała... I po twojej gębusi nieraz mknie panieński rumieniec.

— Pleciesz — szepnęła Zosia.

— Plotę?... — i usta swoje powoli zbliżał do małych, różowych ust dziewczyny.

— Pleciesz — powtórzyła figlarnie.

— Plotę? — pytał chłopiec, przysuwając usta tak blizko, że uczuła gorący jego oddech.

— Pleciesz — szepnęła, lecz w tej chwili na twarz jej raptownie buchnął szkarłat.

Zaśmiał się Jaś.

— Moja ty, dzięcielino rumiana — pocałował ją ciepło, serdecznie i przytulił do siebie. — Tamtemu było na imię Tadeusz, mnie ino Jaś, ale jej Zosia i tobie Zosia. I dlatego jeszcze milsza mi jesteś. Zosia, Zosieńka...

»Przypadkiem oczy podniósł i tuż na parkanie
»Stała młoda dziewczyna... Białe jej ubranie
»Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
»Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję...

— Zosiu, a ty odsłonisz mi ramiona i łabędzią szyję?...

— Cicho — ofuknęła go.

— Odsłonisz, dziewczyno moja! A wiesz, że jabym cię jeszcze więcej kochał, gdybyś ty to wszystko tak czuła, jak ja czuję. Moja złocista, czy ty czujesz?... Jestem sam, sierota na Bożym świecie, ze mną książka. I nie mam z kim ani uciechy, ani radości podzielić. Ty jedna, mój gołąbeczku, patrzysz mi w oczy i słuchasz mnie. Wtedy mi cieplej jakoś, że nie czuję sieroctwa mego, że mi jakoś weselej i raźniej...

Zbliżył usta do ust Zosi i pocałował ją uczuciem wdzięczności, ona go głaskała, odgarniając z czoła jasną czuprynę.

— Jak zostaniesz moją — mówił dalej — to zawsze w święta będę ci czytał, musisz słuchać. Kupię sobie szafę za szkłem, taką, jak we dworze, i każdą książkę tam schowam.

— A dużo ich będziesz miał?

— Tyle, na ile mnie stać będzie. Przecie mówicie, że będę bogacz. Dobrze, Zosiu?

— Dobrze — odpowiedziała wesoło.

Jaś znowu otworzył książkę i czytał:

»O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
»Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
»A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
»O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.

»Z dawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
»I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
»Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
»Jakieś dziwne oczekiwanie, jak przed świata końcem
»Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne...

Spojrzał na dziewczynę i odczuł, że znudzona patrzy szklanemi oczyma.

— Zosiu, czujesz?

Pogłaskała go.

— Wiesz, ty se czytaj, a ja trochę jagód uzbieram. Gardziołko niemi odświeżysz.

Wstała, poskoczyła w las.

Chłopak patrzał za nią smutny. Wargi drżące ściskał, w sercu wzbierał mu żal. Zerwał się, książkę rzucił.

Zośka go nie rozumie, nikt go nie rozumie, nie odczuwa tego, co on czuje... Zrozumiał nareszcie, że jest sierotą — i że nigdy, nigdy niczem nie będzie, jeno zawsze, do końca życia sierotą, położy się w grób sierotą. Załamał ręce, żal i lęk go zbierał przed życia całego samotnością. Stał zbolały, zapatrzony w przestrzeń. Myśli mu przelatywały, jak wichry, nie miał siły zatrzymywać ich i układać.

— Jużeś się naczytał — wołała, biegnąc Zosia — patrz, com ci nazbierała jagódek, borówek i malin.

Przypadła, objęła go wpół, posadziła na wyniosłości, usiadła mu na kolanach i palcami kładła do ust maliny.

— Moje chłopaczysko — mówiła — nie ma nigdy wytchnienia. Cały tydzień w polu, a w święto z książką. I przecie zdrów, mocny, ładny jak malowanie. Takiego chłopaka zazdrości mi cały świat. A czemże ja sobie na takiego zasłużyła — czem?... Może bez to, żem doglądała cię, kiej cię Najświętsza nawiedzała — pamiętasz?... Dawno to już, dawno, byłeś malutki, chudziutki, małom się za tobą nie zagubiła... przyszła Najświętsza i zrękowiła nas. Moje chłopczysko, prawda, że ty jesteś mój. Niech sobie starzy wydziwiają, ile chcą, my trwajmy, to przecie przetrwamy.

Zarzuciła mu rękę na szyję, patrzała mu w oczy, tuliła się i kładła do ust jagody.

Chłopcu raptownie zatamowało oddech, krew buchnęła do głowy, zimno go zatrzęsło, ręce mu drżały...

— Jaś, Jaś nie patrz tak na mnie — prosiła się Zosia, tuląc się do chłopca nerwowo, wystraszona i szczęśliwa...

. . . .

Późno wieczorem, przytuleni do siebie, zamyśleni, milczący, jak gdyby wypędzeni z raju,



wracali. Na rozłogu Zosia go pocałowała i skręciła do chaty, Jaś wolno, smutny, choć uśmiechnięty, wracał.

— Cóż tak późno? — ofuknęła dziewczynę matka, gdy przestąpiła próg izby.

— To ino powiem matusi — mówiła szybko, gorączkowo — że Jaś mój na całe życie, że mnie nie porzuci, nie odstąpi, nie oszuka. Kocha ci mnie, jak nikogo na świecie, byle przetrwać, byle ino przetrwać.

Matka popatrzała jej ostro w oczy, dziewczyna spłonęła.

— I czegóż się tak wpatrujecie? — zawołała urażona.

— Czego? wiem ci ja, czego! Ale pamiętaj sobie, Zośka, że broń Boże jakiego nieszczęścia — o niczem nie chcę wiedzieć.

— O czem?

— Biedroń twardy jak żelazo, nawet czas nie może go zmódz. Musicie długo czekać, pamiętaj sobie Zośka.

Dziewczyna, udając zagniewaną, odwróciła się od matki.

— To to już tak — szeptała Tyksina — daj Boże szczęście... Nie daleko ty zajedziesz, kiej se tak poczynasz. Chłopak się prędko naje białego chleba i będzie go szukał gdzieindziej... To to już tak, a ja głupia myślałam, że za rok, za dwa — inaczej przecie samych nie puszczałabym w las.

Załamała ręce i zapłakała.

— Zośka, Zośka, jużeś tak rychło swój wianuszek straciła.

Zosia z płaczem rzuciła się matce w objęcia.

. . . .

Jaś przeskoczył nizki płotek obejścia, na ujadające psy gwizdnął i poszedł wprost do stodoły. Książkę wsunął za krokiew, rzucił się na siano i marząc o mrówkach i Zosi, chciał zasnąć, lecz sumienie targało mu serce i odbierało sen, aż je młodość zwyciężyła.

Nazajutrz na samem świtaniu wpadła do niego Kunda.

— Była tu wczoraj Nastka, — mówiła szybko — siedziała, czekała. Starzy posłali za tobą parobka do dworu i mnie kazali cię szukać. Stary zaglądał do izby Tyksiny, wrócił wściekły, ściskał laskę w garści i cicho klął. Ale od tej cichości i tych przekleństw mrowie przechodziło. Ino się nie strachaj, mój Jasiu, wytrwaj i już. Abo go krew zaleje, abo ustąpi.

— Niech będzie, co chce — zawołał Jaś — ja jeno tyle wiem, że z tobą, Kundo, razem całe życie!...

— To ty dużo wiesz, to ty wszystko wiesz, mój paniczu księgami karmiony. Idę doić,

zbieraj się i przychodź — napijesz się, skrzepniesz.

Wybiegła, Jaś jeszcze chwilę wyciągał się na sianie, rad był przewrócić się na prawy bok i zasnąć, lecz się zerwał, poszedł do studni, umył — otrzeźwiał odrazu. Przed stajnią zobaczył się z ojcem, chciał go pocałować w rękę, stary się szarpnął, spojrzeli sobie w oczy. Wzrok starego był straszny, lecz z ust nie wyrzucił ani jednego wyrazu — odszedł. Czy tak w nim wrzało, czy krew go dusiła?

Chłopak wytrzymał spojrzenie ojca ze spokojnem męstwem, które mówi, że padnie, a nie ustąpi.

W izbie matka, również zadąsana, milczała, lecz Jaś, oszołomiony »Panem Tadeuszem«, pod wrażeniem piękności poezyi, pochłaniającej całe jego jestestwo, pod wrażeniem uścisków Zosi i gorących pocałunków, nie zwracał uwagi na starych. Roztargniony, zjadł śniadanie, poskoczył do stodoły, wyjął książkę z za krokwi, schował ją za pazuchę i poszedł do pracy.

Stary przed południem wsunął się do izby, siadł, czapkę zsunął z czoła, podparł głowę i dumał.

— I cóż? — spytała go cicho stara.

— Co się mamy z nim drzeć i szarpać, siły tyrać i rozzuchwalać go. Czekajmy, póki nie przyjdzie czas. Wtedy zaprowadzę go do jegomości, organista Nastkę, damy na zapowiedzi, za trzy tygodnie sprawię wesele i basta.

— Najlepiej! po co swary, niepokoje, zabijatyki.

— Chłopak na pięciu morgach organiścianki w swojej chacie, a my na całem! Matko, słyszysz?...

Zatarł ręce i roześmiał się.

— Na całem, — powtórzyła za mężem — na całem, na całem. Nie będą nam patrzeć na ręce, deptać po piętach — zazdrościć.

— Na całem — zawołał Biedroń — do końca, do samego końca. Nie damy źdźbła słomy i kwarty mleka.

— Nie damy!

Stara się zaśmiała. Niczego tak nie lubiła, jak nie dawać.

— Matko, ja się umiem przyczaić, kiedy potrzeba — zawołał Biedroń, zrywając się z ławy.

— Umiesz! — przyświadczyła.

Stary twardą, popękaną dłonią pogłaskał

pomarszczoną jej twarz. Rozradowana, ujęła go za rękę i pocałowała.

— To nasze, słyszysz?

— Słycham — szepnęła.

— Nie damy.

— Nie.





XI.

Wśród pracy i nadziei jednych, wyczekiwania drugich, mijały dnie, za niemi tygodnie. Jaś w niedziele i święta, nie postrzeżony przez starych, dostawał się do chaty Tyksiny, zabierał Zosię, mknęli w las. Tam dopiero żył, cieszył się, bawił i rozkoszował głośno. Deklamował całe ustępy »Pana Tadeusza«, których się nauczył na pamięć. Młodość w nim wrzała, ideały dawnych czasów cisnęły się do mózgu, wytwarzając nowe obrazy, nowe myśli.

Dziewczyna patrzała na poetyczne uniesie-

nia chłopca, jak na zberezie młodości, lecz porwana jego wymową i energią, brała w nich udział i powoli zaczynała nawykać do opowiadań Jasia. Nie rozumiała go, lecz słuchała z przyjemnością jego głosu i oczy wlepiała w rozjaśnioną twarz chłopca.

» . . . Już drżą drążki, tak lekkiemi ruchy,
»Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
»Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia...

— Zosiu, — przerwał — chciałbym mieć cymbały. Czuję, że w lotbym się nauczył grać. A nie, to se kupię skrzypki. Kunda mi da ze swoich uciułanych na skrzypki. Jak się umęczę czytaniem, będę grał, a jak graniem, to se poczytam.

— Jaś, bój się Boga, daj pokój muzyce. Jakby ino stary zobaczył u ciebie skrzypki, gotów cię zabić. Marcinowa mówią, że ojciec starego nic nie robił, ino grał i zaprzepaszczał ojcowiznę i dopiero twój tatuś musieli ją odrabiać i ludziom wydzierać. Pono stary jak usłyszy muzykę, trzęsie się ze złości... Książkę łatwiej schować, skrzypki same się drą, ino smyk przyłożyć. Ze skrzypkami nie zaczynaj mój Jasieczku!...

— Nie, to nie. Jak będę na swojem, a ty

moją, wtedy kupię se skrzypce. Sprowadzę je z samego Krakowa. Dopiero będzie muzyka!

» . . . . Skoczne dzwięki
»Radością oddychają, radością słuch poją;
»Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją!...

Porwał Zosię w pół i wyśpiewując krakowiaka, tańczył z nią po murawie. Młodość w nim grała!...

— Radość mi serce rozrywa i każe się weselić i każe się śmiać do świata, do słonka, do uroków wszelakich. Przecie ja jestem dobry i nikomu nic złego ani robię, ani życzę, to i dlaczego nie mam się weselić?... Wiesz, Zosia, co, uciekajmy do pasieki. Przecie, jak będzie czas, wrócę i odbiorę swoje. Radbym lecieć w świat, do ludzi — coś wielkiego robić, czemś być. Jakaś mnie zmora niecierpliwości dławi.

— Kiej chcesz, uciekajmy — odpowiedziała.

— Będzie nam dobrze, zawsze razem, zawsze jedno wele drugiego, zawsze przy sobie... Zosieńko moja, w »zielonej sukience, ustrojona w równianki i kwieciste wieńce«, ja już nie mogę wyżyć bez tej zbytnicy (pokazał na książkę) i bez ciebie, Zosiu. Tak mi

się bez was cnie przez cały tydzień, że rady se dać nie mogę. Gdzie ino mogę, dnie karbuję kozikiem i liczę...

— Ha, kiej chcesz, uciekajmy i mnie się strasznie dłuży. Przecież ci nikt ojcowizny nie zabierze...

— Nikt, ale przed Kundą ani pary z ust... Wiesz co, skoczę do dworu i ułożę się z panienką. Może mi da jeszcze jaką książczynę...

— Łecisz, aby ino się załgać po książkę.

— Zosiu, przysięgam ci, chcę uciekać i uciekniemy. Stary tak jakoś wpatruje się we mnie, jakby mnie chciał zdławić, matusia prawie, że gęby nie otworzą. Cosik mnie od naszego obejścia odrzuca; zimno tam i ponuro, jak w czyścu. Czegoś się boję, czegoś się stracham. Do pasieki, do pasieki!

Pochwycił Zosię w objęcia, tulił ją i całował. Nie broniła się już, nie miała siły, tylko szeptem powtarzała za nim:

— Do pasieki — tuląc się pieszczotliwie do chłopca.

Kochała go i oddała mu się bez pamięci, z rozkoszą upojenia, wiary w niego, z rozkoszą poddania się.

— Do pasieki — powtarzali, biegnąc przez las. Za niemi kładło się czerwone słońce, pur-

pura słaniała się do nóg, obejmowała ich. Na niebie biła łuna, oblewała krwią liście drzew, czerwieniła łany zbóż i wodę strumyka.

— Jeszcze takiego nieba nie widziałam, — szepnęła dziewczyna — lęk mnie zbiera i boję się czegoś.

Chłopak w milczeniu przeniósł ją przez strumyk, szli razem przez zakrwawioną łąkę... Stawał co chwila, oglądał się i powtarzał cicho:

— Dziwy, dziwy... Jaki ten świat piękny, byle ino odrobinę pokoju, odrobinę dobrej woli, odrobinę szczęścia... Do pasieki! — zawołał.

Dziewczynina wystraszona drgnęła, tuląc się do niego, powtórzyła jak echo:

— Do pasieki!...

— Na Podole! Tam pono kraj miodem i mlekiem płynie...

— Któż ci to mówił?

— Książka!... Gdy książka jest, ludzi nie potrzeba. Na Podole, moja złota rybko, tam dopiero będziesz po pasiece hulać. Uciekajmy choćby dziś, choćby jutro.

— Jutro — powtórzyła Zosia.

— Którędy stąd najbliżej do dworu? — zapytał.

— Nie wiesz? ścieżka przez Madejowe pole.

— Prawda!... zabaczyłem. No, Zośko, pocałuj mnie raz, drugi, trzeci, a teraz uściśnij mocno, mocno. Ot, tak — i leć do domu, zbieraj łachy, wiąż węzełki i w drogę — marsz...

Dziewczynina tuliła się do niego i puścić nie chciała.

— Cóż-to, ostatni się raz widzimy? Przecie do pasieki sam nie ucieknę?...

— Czegoś się stracham — szepnęła z żalem w głosie.

— Ja nie, byle ino ruszyć w drogę.

Wyrwał się i poleciał, Zosia stała smutna i patrzała za nim, powtarzając:

— Byle ino odrobinę spokoju, to szczęście samo przyjdzie. Zdaje mi się, że jakaś zmora pochwyciła mi w garść serce i dusi.

Chłopak dopadł do dworskiej bramy, stanął i rozglądał się. Cisza i spokój uderzyły go. Przestraszył się, tęsknica siadła mu na serce, nie śmiał się ruszyć z miejsca.

Z kuchni wybiegła z konewką dworka. Zaczepił ją, dziewczyna wyszczerzając do niego zęby opowiada mu, że młodsza pani — tak nazwała panienkę — wyjechała z panem gdziesik do kąpieli, a starsi państwo ją odprowadzili. Nikogusieńko w całym dworze niema.

— A kiedy panienka wróci? — spytał Jaś.

— Najwcześniej za cztery tygodnie, ma tu wpaść na jeden lub dwa dni i wracać do swego gospodarstwa.

Jaś się zamyślił i posmutniał.

— I czegóż wytrzeszczasz ślepia, — spytała dziewczyna — czy chcesz, żebym się w nich przeglądała?...

— Nikogo niema? nikogo? — powtórzył z żalem, że aż zadziwił dziewczynę.

— A cóżto, czy jakie nieszczęście?

— Oj nie — odpowiedział i poszedł — obok niego szła dziewczyna.

— Cnie ci się bez młodszej pani?

— A cnie — powiedział.

— Patrzajcie, jaki mi pan.

Jaś popatrzał na dziewczynę i zaśmiał się. Zaśmiali się razem.

— Wiesz co, ty jesteś okrutnie głupia.

— A niechta, alem smyśna dziewucha i już.

Śpiewając, zbiegła na dół do studni, chłopiec smutny, zgnębiony, ścieżkami szedł pod górę na wieś. Wyjazdu panienki nie spodziewał się i nie przeczuł. Był to dla niego cios. Tak pragnął uciec, tak się cieszył nadzieją ucieczki, tak mu obmierzło życie w domu ze

starymi, tak tęsknił za Zosią, że miejsca sobie znaleźć nie mógł.

Dopadł do Madejowej ścieżki i pognał nią wprost do chaty Tyksiny. W brzozowych krzakach zdawało mu się, że ktoś idzie za nim, usłyszał chód. Stanął, spojrzał.

— Majaczy mi się z tego żalu! — zawołał i pognał całym pędem dalej.

Okno w chacie Tyksiny zastał otwarte, stanął w niem i ręką przyzwał dziewczynę do siebie. Wybiegła, objął ją w pół, pocałował i ze smutkiem, tłoczącym mu serce, opowiedział o wyjeździe panienki.

— I cóż poczniemy? — spytała, łamiąc ręce, Zosia.

— Zaczekamy, póki nie powróci.

— Albo mi to wolno długo czekać?

Wspięła się na palce, pociągnęła głowę chłopca ku sobie i szeptała mu do ucha, póki się nie rozpłakał głośno i serdecznie.

— Zosiu, — zawołał — a ja ci jestem okrutnie rad i taki kontentny, jakby mnie kto na sto koni wsadził. Jutro polecę do dwora i przyobiecam dwie szóstki chłopakowi z kredensu, jeśli mi da znać, gdy panienka wróci. Uciekniemy, choćby na koniec świata!...

Biedroń, przyczajony w krzakach, słyszał

całą rozmowę — kij w ręku ściskał, zęby zaciął i nie ruszał się z miejsca. Wrzał cały, lecz się nie ruszył. Bał się walki z synem, bał się własnej wściekłości.

Utulona dziewczyna przysięgami chłopca, wróciła do chaty, Jaś pognał do domu.

Stary szedł za nim wolno, w głowie mu huczało, ręka drżała, nogi ociężały, ledwo je ciągnął pod górę.

W izbie się świeciło. Biedrońka czekała na męża. Blady, zmęczony, wszedł, zbliżył się do żony i szeptem opowiedział podsłuchaną rozmowę.

— Źle, — powtarzała — źle, ciężko go będzie od tej szelmy odciągnąć. Umiała sobie poradzić.

— Czego dwór miesza się do mego chłopaka, do moich spraw — co? La czego te psiakrwie chcą mi go zabrać!?...

— Chłopak uczciwy, dobry, ma rozum, będą ciągnąć i ssać go, ile się da...

— Niech ucieka łajdak i niech go moje oczy więcej nie widzą! — krzyknął.

— A jak go zabraknie, to ciężko ci będzie.

— Ale nie damy, wszystko la nas zostanie — mówił cicho.

— A po naszej śmierci?

— Po naszej śmierci łajdaczkom odda naszą krwawicę, — to lepiej, niech przepadnie...

— Chłopak przylepka i bez niego już się nie ostanę, nie upamiętam się. Przecie to moja krew.

— A on dba o nas?...

— Nie ciągnęliśmy go jakoś do siebie.

— Za to ciągnęły go te szelmy. Niech leci na złamanie karku!

Stara milczała, lecz czuła, że gdyby chłopak poleciał, leciałaby za nim. Niech robi, co chce, byle został przy niej, z nią!

— Ciężko, — szepnęła — ty rodzicem nie umiesz być.

— A ty go tulisz, głaszczesz, i cóż z tego?...

— Zamilkli — stary rzucił się na łóżko i zasnął twardym snem spracowanej starości.

— Będzie źle, — rozmyślała matka — stary nie ustąpi, chłopak na swojem zechce postawić. Będzie źle, ciarki po mnie chodzą na samą myśl, że ojciec z synem wezmą się za łby. Boże...

Padła na kolana, zaczęła się modlić... zasnęła.

* * *

Raniutko Jaś wyjechał do lasu po gałęzie. Wpadł do stajni, ucałował serdecznie Kundę, w izbie pożegnał się z matką, siadł na wóz, ojciec w tyle usadowił się na wiązce siana — ruszyli, zatrzymując się przed organistówką. Jaś popędził w nadziei, że gdy mu się uda szybko wóż nałożyć, odpocznie i poczyta sobie książkę.

Wjechał do lasu, zawrócił i stanął nad paryą, z której miał wynosić gałęzie. Tylne koła, aby się wóz nie stoczył, pozakładał kawałkami drzewa, sam zeszedł na dół.

Czy to, że koń się szarpnął, czy też, że drzewo, podłożone pod koła, było za cienkie, wóz się stoczył na dół, dyszel poszedł w górę, koń się zawiesił na naszelniku, charkał straszliwie, dusił się...

Chłopiec, wystraszony, pochwycił siekierę, przyskoczył i drżącemi ze strachu rękoma ciął naszelnik. Twarda skóra odbiła raz, siekiera się pośliznęła, tnąc skórę konia.

Krew bluznęła, charczenie robiło się straszne, chłopak zbladł, siekiera wypadła mu z rąk, zamroczyło go, upadł, zataczając się pod płytko rozlany strumień wody.

Upłynęło chwil kilka. Nadszedł ojciec — jednym rzutem oka ocenił niebezpieczeństwo. —

Wściekłość go opanowała, cały zapas duszonego gniewu zawrzał w nim, — przyskoczył, zamierzył się i ciął zemdlonego laską w głowę.

Dębowy kij zatrzeszczał, jęknęło coś w powietrzu — zamierzył się drugi raz, ręka mu zdrętwiała, woda strumyka zaczęła się farbować. Poskoczył do konia, kozikiem przeciął naszelnik, rana nie była wielka. Zwrócił się do syna, trącił go nogą, chłopak się nie ruszył. Pochylił się; szklanne oczy chłopca patrzały na niego strasznie. Ujął go za rękę, była zimna, puścił, padła jak kłoda. Ukląkł, podźwignął go, zimne ciało leciało mu z rąk.

Zimny pot wystąpił mu na pomarszczoną twarz, dusiło go. Strach nim trząsł, w głowie szumiało. Wydrapał się z paryi — uciekł. — Wpadł na podwórze, stara się go przestraszyła.

— Gdzie syn? — spytała.

Nic nie odpowiedział, wytrzeszczając strasz- liwie oczy.

— Gdzie Jaś? — zawołała.

Na krzyk matki wybiegła Kunda, popatrzała na starego i wielkim głosem wrzasnęła:

— Zabił go!

Wypadła i lecąc przez wieś, wołała:

— Zabił, zabił mi dziecko, ratujcie!...

Ludzie jak szaleni wybiegli na gościniec.

— Zabił! — wołała oszalała z rozpaczy Kunda, — zabił mi Jasia.

— Gdzie? gdzie? — pytali, lecąc za nią.

— Boleść mnie moja zagna i pokaże...

Pędziła naprzód, ludzie za nią. Trafiła odrazu. Wóz, para koni; obok niego martwy chłopiec. Woda strumienia zmywała mu z rany skrzepłą krew. Chłopak, zdawałoby się, że śpi, gdyby nie zamarłe oczy. Kunda z krzykiem



rzuciła się na niego, zaczęła go całować, cucić, chuchać mu w usta — napróżno. Uklękła i zapłakała serdecznie — kobiety za nią. Zrobił się lament, rozdzierający serca. Gospodarze przytomniejsi zamknęli chłopcu oczy i oświadczyli, że musi tak leżeć, póki nie zjedzie komisya.

— Nie musi! — wrzasnęła Kunda. — Wszyscy widzą, że ma rozbitą czaszkę, tak go ki-

jem dębowym w nią zdzielił. Nie pozwolę, żeby mi dziecko leżało, jak pies, w wodzie.

Pochwyciła go na ręce i wyniosła na murawę.

— Wóz wyciągnąć z paryi, konie wyprowadzić, gałązkami wysłać śmiertelne łoże — rozkazywała.

Ludzie jej słuchali, kobiety łamały gałązki leszczyny i młodą brzezinę, wyścielając nią wóz. Kunda z Felą, ująwszy się za ramiona, podsunęli ręce pod chłopca i podźwignęli go. Jedna z kobiet trzymała mu głowę, drugie ujęły go za nogi, wydobywając się powoli z paryi.

Zwłoki ułożono na wozie, Fela pochwyciła lejce i bat, konie ruszyły. Wóz otoczyły kobiety, Kunda, trzymając się szczebla, ciągniona, szła przy głowach Jasia i zawodziła tak boleśnie, że aż się serca ludzkie krajały.

Cała wieś wysypała się na gościniec. Otoczono wóz — złorzecząc, przeklinając, grożąc, wtoczyli się na dziedziniec.

Stary skrył się do komory, mogli go byli rozszarpać. Chłopiec był ulubieńcem wsi, jej głową, sercem, chlubą... Kobiety uważały go za błogosławionego, którego Najświętsza na-

wiedza i przez niego śle na wioskę łaskę swą i chroni ją od pożogi i głodu.

— Zbój ten nie mógł ścierpieć świętego dziecka przy sobie! — wołały rozwścieklone.

Z izby wybiegła matka z wyciągniętemi rękoma.

— Precz, zbóje! — krzyknęła Kunda — nie dotykajcie mi dziecka.

— Precz, zbóje! -- powtórzyły za Kundą kobiety.

Stara dopadła do wozu, zobaczyła otwartą ranę na czaszce chłopca, krzyknęła i uciekła.

Goniły ją straszne przekleństwa kobiet.

— Otwierajcie stodołę! — rozkazywała Kunda -- wysłać boisko w rogu sianem; dziewczęta niechaj lecą po mak i bławaty, chłopcy, naznoście gałązek leszczyny i wikla. Wystrojemy mu śmiertelne łoże, tak pięknie, że jak Najświętsza zobaczy, rozraduje się... Niechaj która z kobiet skoczy do izby po czystą koszulę, wstążkę, płótniankę, nowe buty i krakuskę. W krakusce było mu ślicznie. Gospodarze zaniesiecie mi go delikatnie do stodoły. Nie dam go tym zbójom do izby...

Organista zajrzał na dziedziniec i w chwili, gdy ludzie przenosili Jasia, wpadł do starego do komory i zamknął się z nim.

Długo radzili, tymczasem dziewczęta poznosiły pęki maków, korali i bławatu. Zaczęły je wić i żałośnie zawodzić.

Kunda, zapracowana, nie miała czasu na rozpacz i żal. Umyła go, ubrała, zadzierzgnęła w koszulę czerwoną wstążeczkę przepasała go paskiem, płótniankę na trzy haftki zapięła, krakuskę pochyliła tak samo na bakier, jak ją pochylał Jaś, do rąk wsunęła mu krzyżyk, oderwany od różańca, a pod splecione ręce wsunęła »Pana Tadeusza«.

— Umiłowałeś książkę, że może i bez nią młodziuśkie życie straciłeś. Niech idzie z tobą na tamten świat... nią się wykażesz przed Najświętszą i tam se w pokoju czytać będziesz. Stary zbój nie będzie na ciebie podjudzał...

Zapłakała rzewnie, że aż serca dziewczyn ścisnęły się, rzuciła się na ciało, całując je po twarzy i rękach.

Dziewczęta skończyły wieńce, Kunda otoczyła nimi chłopca. W maki, korale ustroiła mu głowę. Czerwień, pod blaskiem słońca, padając na bladą twarzyczkę, oróżowiła ją...

— Patrzajcie, łuna od niego bije! Święty! — krzyknęła i padła na kolana, za nią dziewczęta.

— Dawajcie bławaty. Z bławatów porobię

girlandy. Moje ty złotko, mój ty królewiczu, królujesz teraz w niebie.

Łzy nie dały jej mówić, wargi drżały, serce pękało.

— Obyś ty mnie zabrał do siebie i przytulił. Ale ty pewno każesz mi się jeszcze poniewierać po świecie, abym na Zośkę miała baczenie...

Otoczony zielenią, przybrany w kwiaty — zdawało się, że śpi i uśmiecha się.

Zadzwoniono na południe, lud, klnąc zbója szmerem, rozszedł się do domów. Kunda usiadła w nogach chłopca, gałązką zganiała muchy i płakała. Żal ją i boleść rozbierała, że mówić nie mogła, broda latała, strugi łez po zmarszczonej twarzy płynęły.

Wieczorem — zjechała komisya, sędzia i doktor, ludzie zaczęli się cisnąć, Biedroń nie wychodził z izby. Wójt trzymał porządek. Zbliżył się doktor.

— Zabił go i już! — zawołała Kunda. — Patrz, jaka rana.

Zdjęła krakuskę z głowy chłopca i pochyliła ją delikatnie ku sobie.

— Tarmosić chłopca nie dam. A gdybyście go krajać chcieli, to wam ślepia wydrapię!...

— Precz! — krzyknął wójt.

— Ty sam precz! — wrzasnęła. — Zbój posmarował ci łapy śrybrem i wołasz precz.

Wójt podniósł rękę. Zasłoniły ją kobiety, pokazując pięście.

— Poślę po żandarma — groził.

Tymczasem doktor zmierzył ranę, zajrzał do jej środka i rzekł do sędziego:

— Czaszka pęknięta, — krew zalała mózg.

— Jak go zdzielił z całych sił dębową lagą w głowę, jakże nie miał mu jej rozwalić? — powiedziała Kunda.

— Widziałaś? — krzyknął wójt.

— Jakbym tam była! Cóżto, nie znam tego zbója, co własne dziecko rad był zamordować, żeby mu ino nic nie dać — i zamordował...

— Niema naocznego świadka? — zapytał sędzia.

— Chłopca wyprowadził do lasu po to, aby świadkami były nieme drzewa — odparła Kunda.

Wójt rad był ją zdusić, lecz się bał, mruczał tylko i ślepiami błyskał. Lud przyświadczał Kundzie i szemrał głośno.

— La bogaczów inna sprawiedliwość, la biedaków inna.

Komisya z wójtem odeszła do izby — Kunda

nałożyła chłopcu krakuskę, poprawiła wieńce i girlandy, stojąc na straży.

Jednym wozem komisya, drugim wójt z organistą i Biedroń pojechali w stronę lasu. Kundzisko, szarpane boleścią i głodem, chociaż nic do ust wziąć nie mogła — ułożyła się, jak pies, u nóg chłopca — zasnęła.

Wieczorem Zośka wróciła z zarobku z sąsiedniej wsi. W izbie zastała matkę spłakaną i ponuro patrzącą Marcinową. Przypadła do nich wystraszona.

— Cóż — bójcie się Boga — gadajcie...

— Sierotko ty moja — zajęczała matka.

— Jak? co? — pytała szeptem — nogi pod nią zadygotały — mówcież na Boga.

Matka zaczęła zawodzić i lamentować.

— Co!? — krzyknęła przeraźliwie dziewczyna.

— Biedroń zabił Jasia, — rzekła sucho i twardo Marcinowa.

Dziewczyna stała długo, jakby piorunem rażona, patrząc osłupiałym wzrokiem na świat. Krzyknęła dziko, przeraźliwie i uciekła z izby. Kobiety wypadły za nią, lecz dziewczynę pędziła rozpacz, mignęła im przed oczami i zniknęła w krzakach.

— Dziecko! — krzyczała lecąc Tyksina —

moje jedyne dziecko! Ratujcie mi dziecko... Gdzie dziecko moje!?...

Marcinowa silniejsza rzuciła się w krzaki.

— Ja cię znajdę — szeptała — i nie oddam śmierci, żebym paść miała.

Dziewczyna, nieprzytomna, leciała bez pamięci i czucia. Księżyc wyjrzał z za chmur, kładł swe promienie na ziemię, srebrzył łąki, brzozowe gaje, krył się i znowu wypływał, świecił, uśmiechał się, i dalej płynął cicho, spokojnie, jak gdyby ziemia była rajem... Spokój, cisza, łagodny blask księżyca oprzytomniły i rozwściekliły dziewczynę. Zacisnęła pięści i stanęła. Groziła księżycowi i całemu światu. Za gniewem wkradał się do serca żal za utraconem szczęściem i żal za chłopcem, za którego życieby oddała. I znowu ją rozpacz wzięła, dławiła w gardle, szarpała sercem, coś ją gnało — poleciała. I znowu z poza chmur na jasne niebo wypłynął księżyc, oświecił wzgórza, białe chaty, i rzucił garść srebra na śmigłą wieżyczkę kościoła. Dziewczyninę żal i boleść zwyciężyły, objęły ją w posiadanie... Dygocąc z żalu, drapała się pod górę bez tchu i upamiętania.

— Co mi po życiu bez niego, co mi po całym świecie bez niego.

Stanęła, spojrzała na księżyc, szepcąc:

— Nie chcę żyć, nie chcę, nie, nie...

I znowu drapała się pod górę z gwałtownością gorączki. Dopadła na cmentarz. Mogiły, drzemiące białe brzozy wydobyły nowe z piersi dziewczyny boleści...

— Tu spocznie moje chłopczysko i ja obok niego, z nim — przytulimy się na całą wieczność, jakeśmy się tulili za życia.

Pochwyciła długie, cienkie warkocze brzeziny, skręcając z nich długą wić. Robota szła szybko, skręcona gałęź wyciągała się ku górze.

— Nie chcę, — szeptała — nie chcę bez niego jednej godziny, jednej minuty, nie chcę, nie chcę... A wijże się prędko! boję się, żebyś się nie urwała... Najświętsza! nie trza było nas zganiać do kupy, teraz musisz mnie z nim przyjąć do siebie i pobłogosławić...

Wić wyciągnęła się w górę, należało nawiązać węzeł, pętlicę zrobić. Ręce jej drżały, dygotała całem ciałem, szczęki dzwoniły zębami.

W powietrzu zajęczało żałośnie.

— A gdzieżeś, gdzieżeś, moja dziecino — gdzie?... Starą matkę sierotą zostawisz i jak psa porzucisz? Samą — na całe życie samą — a to mi lepiej kamień uwiąż do szyi i do

wody rzuć. Dziecino moja, a gdzieżeś ty, gdzie?...

Głos drżał i pełen bólu jęk... Jęk ten pochwycił serce dziewczyny, zesłabła, ręce jej opadły, wypuściła wić, zsunęła się na ziemię, zamroczyło ją, niebieskie jasności objęły, potem ciemnica — przewróciła się.



— A co, nie mówiłam, że na cmentarzu ją szukać. Tyksina, do mnie, haw, tu! — wołała ostrym tonem Marcinowa — siadaj przy dziecku, ja skoczę po konie. Tylko mi jej nie budź... Może jej duszyczka wyleciała do duszy Jasiowej, niechże się nacieszą sobą.

W tej samej chwili do stodoły Biedronia, gdzie leżał Jaś, weszli: wójt, organista i kościelny, pochwycili śpiącą Kundę, zatkali jej ręką usta, zaciągnęli do stajni, wepchnęli, drzwi zamknęli na kłódkę.

Kunda pomstowała, dobijając się straszliwie,

tłukła pięściami do drzwi. Organista pokpiwał z niej, wójt i kościelny śmieli się.

Z zapaloną latarką wysunął się z izby Biedroń, żona szła za nim, płacząc cicho.

Zniesiono z wozu trumnę, organista odrzucił zieleń i girlandy, wieniec ściągnął chłopcu z głowy, krzyżyk schował, książkę cisnął na boisko, krakuskę mu zdjęto, położono go w trumnie, przykryto wiekiem, złożono na wóz — odjechali.

Biedronie szli za wozem milczący, ponurzy. Starego sumienie jadło, starą lęk ogarniał i żal za jedynakiem. Bała się każdego szelestu, każdego skrzypnięcia wozu.

Na ustawionym katafalku w kośnicy złożono trumnę. Stary kazał sobie otworzyć kościół, padł krzyżem przed wielkim ołtarzem, stara uklękła przy nim, kościelny zdrzemnął się w ławce.

W godzinę później zbudził ich, wyprowadził, kościół zamknął, dwa cienie snuły się drogą.

— Zabiłem go — powtarzał stary — zabiłem własną krew, zabiłem krwawicę całego życia, a teraz mnie wezmą, skują na resztę starych lat.

Zaczął się targać za włosy.

— Cicho, cicho — szeptała żona. — Komi-

sya napisała, że chłopak zleciał z paryi na kamienie i został. Organista pokazał, jak i którędy. Nie bój się, nie wezmą cię.

— Widzę go wciąż, — mówił stary — patrzy ci na mnie litościwie i pyta się: Tatuś, bez coście mnie zabili? Życie się do mnie śmiało, a tyś wziął i zabił mnie na wieczność... Oj, ty zbóju! — krzyknął, stanął i, wylękniony, obejrzał się.

— Chodź, chodź — prosiła go stara.

— Takąś jakąś zemstą zionąłem, a to przecie mój syn... I zostałem ci sam z krwawicą moją i nie mam komu jej dać... Jakoś czegoś nie cierpiałem go — i zawsze coś mi szeptało: bij, bij...

— Nawykłeś, kiedy chłopak był jeszcze mały, prać, i sprałeś na śmierć...

— Chłopak mi stoi przed oczyma, taki bledziuśki, taki miłosierny — i co teraz zrobię!?... Gdzie pójdę, gdzie się obrócę, stoi, patrzy i pyta: Tatusiu, bez coście mnie zabili?...

Stary zapłakał.

— I co mi po krwawicy i po ciężkim znoju całego życia?

— To ta szelma Kunda dziecko nam odciągnęła — skarżyła się stara.

— Pójdę i zabiję ją, a potem niech mnie

rozćwiertują — zawołał, ściskając nerwowo pięście.

— Jeszcze czego, żeby cię zabijano za marne życie tej szelmy. Ledwo cię organista wydobył z jednego nieszczęścia, chcesz leźć w drugie. Chłopaka pochowa się jak pana, a po spowiedzi zlezie ci z oczu... Przecie to moje dziecko i kochałam go więcej, niż ty. Serce matczyne to nie chłopskie, okrutnie mnie żalem ściska.

Wybuchnęła płaczem.

— Sierotyśmy na starość — mówił ponuro stary.

— Prać, tylo prać — szeptała matka. — Takeś się rwał do skóry chłopca, jak pies do ścierwa.

Serdeczne łkanie i potoki łez zdławiły jej głos.

— Te łajdaczki, dziadówki, bez nie znienawidziłem syna. Gdyby nie one, żyłby dziś...

Skarżył się, zwalając z siebie winę, mimo to chłopiec z okrwawioną czaszką wlepiał w niego smutne swe oczy.

— Krwawico moja, i cóż mi z ciebie — powtarzał szeptem, zamykając oczy przed widziadłem.

Weszli do izby, było im zimno, pusto. Pierwszy raz odczuli samotność i odosobnienie.

— Teraz dopiero ludzie będą na nas szczuć i pomstować. Chłopaka, bez to, że święta Panienka nawiedzała go w chorobie, mają za świętego, a tu własny ojciec...

— Cicho, — szepnął stary — czy chcesz, żebym poszedł do stodoły i powiesił się. Pierwszemu, co zacznie pyskować, pięścią zamknę gębę...

— Wszyscy, cała wieś pyskuje, wojuj ze wszystkimi. Czy to krzywda ludzka na nas się mści?...

Starego coś wstrząsnęło, zsunął się na ławę.

— Daj miodu — odezwał się.

Stara z komory wyniosła kupioną dla organisty i Nastki flaszkę. Wypił od razu trzy czwarte, resztę podał żonie.

— Napij się, bo ci powieki do oczu nie przywrą.

Położyli się, lecz powieki nie chciały do oczu im przywrzeć. Jaś wciąż litościwie wlepiał niebieskie oczy w starego i patrzał.

O wschodzie słońca Hanka otworzyła stajnię, zastała Kundę siedzącą w kucki. Zerwała się, zarzuciła chustkę na siebie, pobiegła do stodoły, pozbierała rozrzucone girlandy, wieniec, książkę i nie oglądając się, poszła do wsi szukać dziewcząt różańcowego bractwa,

do którego sama należała, z niemi udała się do kośnicy.

— Same go na ręcznikach zaniesiemy do świętej ziemi, a teraz pomóżcie mi wieko zdjąć.

Dziewczęta z łatwością oderwały założone wieko, Kunda ubrała chłopca w wieńce i girlandy, książkę schowała mu za koszulę.

— Nosiłeś ją zawdy za pazuchą, zanieśże ją i do Najświętszej i pokaż Jej, za co cię stary uśmiercił. A niech ci ją organista wyciągnie, dam ja mu.

Odwróciła się do kościelnego:

— Tylko mi go tknij, kwiatki wyrzuć — wieko zawrzyj, to cię spalę!

— A co mam tykać, a co mnie do tego — ja kościoła pilnuję...

— Powiedz organiście — że ja go nauczę...

Pocałowała chłopca w usta i w ręce.

— A pożal się przed Najświętszą mojej doli — i dla Zośki uproś jakie miłosierdzie. Ona cię miłowała nie dla twego bogactwa, ino, żeś był dobry i przychlebny...

Uklękły i zaśpiewały:

Dobra noc, kwiecie różany,
Dobra noc, Jezu kochany,
Dobra noc!

Dziewczęta chciały odmówić »Zdrowaś Marya« za dusze zmarłych.

— Nie potrzebuje waszych »Zdrowasiek« — rzekła Kunda — on sam se rozmawia z Najświętszą, ile zechce. Módlcie się do niego, niech i za wami przemówi.

Kościelny chwycił się za głowę, lecz ze strachu, aby go Kunda nie spaliła — milczał. Dziewczęta, patrząc w bladą twarzyczkę Jasia, szeptały swe żale i prośby...

Kunda poszła do Feli, najęła konie — wóz wjechał w obejście Biedroniów.

Wyniosła skrzynkę, pierzynę zawiązaną w płachtę, stare buty i kożuch podarty.

— To wszystko, czegom się dorobiła... Bądź zdrowa, — odezwała się do Hanki — a przynieś mi po pogrzebie z całego roku zasługi. Powiedz staremu, żebym po nie sama nie przychodziła, bo gdy przyjdę, będzie źle.

Dziewka pocałowała ją w rękę, Kunda siadła na wóz tuż przy Feli.

Gdy przejeżdżali okok chaty, wstała, wyciągnęła rękę i spokojna jak wyrocznia, strasznym zawołała głosem:

— Własnego dziecka nie mogliście uchować, musieliście go, zbóje, zabić... przeklinam was!...

Biedronie, żeby nie widzieć Kundy, nie słyszeć przekleństwa, pozatykali uszy rękoma i odwrócili się. Wóz odjechał, cicho się zrobiło na dziedzińcu — starzy długo bali się oderwać rąk od uszów i obejrzeć się.

W obejściu zapanowała ponura cisza. Stary siedział w izbie, stara włóczyła się wśród zabudowań, jak cień. Patrzała nie widzący, słuchała nie słyszący.

Zadzwoniono we wszystkie dzwony, organista wpadł do Biedroniów i zabrał ich do kościoła na śpiewaną wotywę za duszę syna.

* * *

Kunda wysiadła przed chatą Tyksiny.

— Macie mnie — rzekła. — Straciłam syna — zalała się łzami — przyjeżdżam do córki. Nie przywożę bogactwa, ale za to twarde ręce i łeb na karku. Nie damy się. Gdzie Zośka?

Tyksina otworzyła drzwi komory, płacząc głośno. Na łóżku leżała blada, zimna, sztywna dziewczyna.

— Nie wiem, czy z niej już dusza nie uleciała. Takąśmy ją zabrali z cmentarza, taką jest dziś. Com się jej nie naprosiła, aby spojrzała, przemówiła... nic... Ledwo jej mocą rozwarłam zęby i wlałam ociupinkę mleka.

— Niech śpi — odrzekła Kunda, przykładając ucho do ust dziewczyny. — Zbudzisz ty się na czas, sieroto moja, zbudzisz...

Tyksina zaczęła jej szeptać do ucha...

— Tak! — zawołała — tak! — powtórzyła Kunda — tem ci lepiej, że będzie mieć pociechę, a my przecie na starość nie zostaniemy same.

Zwróciła się do Zosi.

— A niechże cię Bóg błogosławi — pogłaskała ją po bladej twarzyczce i pocałowała. — Śpijże, sieroto moja, i nie bój się, ja cię obronię.

Tyksina, rada, że Kunda wieść tę tak radośnie przyjęła, otarła zapaską oczy, odetchnęła.

Kunda się rozpakowywała i rozgaszczała.

— Trzeba kupić drugiego prosiaka i drugą krowę. Mam uciułanych trochę... a u starego zbója dwadzieścia papierków.

Wyjęła ze skrzynki mały tobołek, owinięty gałgankami. Ciężki był, samo srebro.

Zaczęły liczyć i wyliczyły pięćdziesiąt dwie sztuki.

Twarz Tyksiny rozjaśniła się.

— To na krowę, — rzekła Kunda — a na prosiaka u starego. Na dwie fury koniczyny

zapracujemy do zimy. Darmo u was chleba jeść nie będę i przydam się...

Tyksina objęła ją za szyję, pocałowały się... Usiadły obok siebie i układając rulony srebra, radziły o przyszłości. Tyksina z Kundą miały latać na zarobek, a dziewczyna wele domu, aby się, broń Boże, nie utrzęsła, bo o nieszczęście nie trudno...

— Moje chłopczysko — wołała Kunda — wczoraj się śmiało do mnie, a dziś...

Zalały się łzami serdecznego żalu.

— Od dziś za tydzień jarmark w Wielopolu, polecimy. Bydło tam tanie. Jeżeliby dziewczyna nie domagała, zostawimy przy niej Marcinową, jeżeli będzie zdrowa, to ją zabierzemy.

Nowe horyzonty otwierały się przed niemi: nowych walk, pracy i nadziei — nie było czasu na rozpacz. Wybuchała wielka, rwała serca, lecz krótko trwała.

Dzwony się rozlały, wpadając przez otwarte okna do izby. Głos ich zatrząsł na nowo sercami kobiet. Kunda zarzuciła chustkę świąteczną na ramiona i wybiegła. Tyksina została przy Zośce.

*
* *



Pogrzeb odbywał się wspaniale, światła huk, chorągwie wszystkie, jegomość w kapie, organista, kościelny, chłopcy w komżach i czerwonych pelerynach. Bito we wszystkie dzwony, sześć dziewcząt na zmianę niosło na ręcznikach trumnę. Kunda, dziewczęta i dzieci ze wsi sypały przed trumną z koszyków kwiaty...

Organista pokazał proboszczowi te ramoty i zberezie. Proboszcz się rozgniewał i obruszył.

— Nie bój się jegomość — zawołała Kunda — wystarczy kwiecia i na pogrzeb jegomościa... Nie zabraniaj nam uczcić Jasia, a choć umarł bez spowiedzi, to i tak grzechy zmył serdeczną krwią, co mu ją zbój wytoczył.

Jegomość nie lubiał słuchać o swoim pogrzebie, a na wspomnienie zbója przestraszył się i zamilkł.

Kwiaty sypały się przed trumną, chorągwie, poruszane wiatrem, furczały, światło przy białym dniu migotało czerwono. Srebrne galony

kapy jegomości kąpały się w słońcu, powietrze drżało od dzwonów, śpiew się unosił...

Kunda obcierała łzy. Płacz kobiet głuszyły dzwony i tłumił śpiew.

Biedroń z żoną szli tuż za księdzem, staremu serce drętwiało, lecz mimowolnie oczy latały po jarzącem świetle, chorągwiach i kapie jegomości, a umysł obliczał, ile mu każą zapłacić, na ile go organista zedrze. Biedrońka rada była pompie, lecz drżała ze strachu na myśl wielkich wydatków i skąpstwa starego...

— Ten stary zbój myśli se, że Pana Boga sutością pogrzebu przekupi — szeptały kobiety.

Orszak wszedł na cmentarz. Za niewiele chwil została świeża żółta mogiła, na znak, że uleciało w wieczność jedno młode życie. Na cmentarzu zrobiło się pusto, cicho, sennie. Stare brzozy, ruszane wiatrem, powiewały długimi warkoczami, nucąc cichą, smutną pieśń zapomnienia...

Wszystko przeminie...

* * *

Mijały dni, Zośka się ocuciła, Kunda ją uściskała, rada, że chłopiec jej nie zeszedł

marnie z tego świata, bo zostawi po sobie zastępcę...

— Będziemy go chować razem we troje i pieścić i całować. To będzie nasz jedyny i wara komukolwiek do niego... Wara Biedroniom!... Nie damy go...

Podniecona nadzieją, pieściła biedaczkę, jak tę, która jej rozkosz i możliwe na ziemi szczęście przyniesie.

Zosia odczuła opiekę i miłość, strachy od niej odeszły.

— Będziesz mieć syna, bo musi być syn! — wołała Kunda — jego syn... rozumiesz. Cała wieś rozraduje się tą wieścią, wszystkie dziewczęta będą ci zazdrościć, wszystkie kobiety błogosławić, a ja będę cię na rękach nosiła.

Mrugnęła znacząco na Tyksinę.

— Dziękuję ci, moja Zosiu, — rzekła matka — że przecie sierotami nie zostaniemy...

— I nam na całe życie radość dasz — dokończyła Kunda. — A teraz se pamiętaj, na bok wszelakie lamenta. Musisz dbać o siebie i pilnować się, jak oka w głowie. Może Najświętszej było tęskno za Jasiem i zabrała go. Za dobry był i za przykładny na tym świecie, a na pocieszenie zostawia ci drugiego Jasia. Bo i jemu będzie Jaś...

Zosia z żalu po Jasiu zalała się łzami.

— Nie płaczże, bo chłopak będzie się ino mazał i buczał... Najświętsza wie, co robi...

. . . .

Przyjechała panienka, Kunda poleciała do niej uskarżyć się, pożalić, naradzić. Z powrotem przyciągnęła za sobą roczną cielicę, za którą Żyd na drodze dawał jej trzydzieści papierków... Kupiona krowa, dwa duże prosiaki w chlewku i młoda cielica, złagodziły smutki i żale...

Dużo było pracy i dużo do myślenia. Cielicę postanowiły zatrzymać i choćby się zapożyczyć, odchować ją na walną krowę.

— Jaś ją będzie pasał, nasz Jaś — powtarzała Kunda.

Wieść o darowiznie jałowicy i poważnym stanie Zośki rozniosła się po wsi, wypełniając serca kobiet radością, a usta ich błogosławieństwami.

— Przecie chłopczysko nie zeszło marnie, Kunda dziecko odchowa. Ho, ho! ona go swoim rozumem i pracą wykieruje...

Kunda stawała się rozumem i wyrocznią wsi.

VIII.

Biedronie zostali sami w chacie i obejściu. Wszystko wróciło do dawnego trybu, lecz czuć było straszliwą pustkę. Stary stał się jeszcze bardziej ponury, w ciężkiej pracy szukał ratunku. Stara osiwiała i prawie zaniemówiła...

Ludzie unikali Biedroniowej zagrody, jakby zapowietrzonej. Organista tylko się zjawiał, rozprawiał, radził i odchodził, a po nim Biedroń szedł do kościoła, krzyżem leżał, spowiadał się i znosił kościołowi, co mógł, cielęta i zboże korcami. Lecz jakoś się nie rozpogadzał, sumienie nie przestawało go jeść.

Na jesień wszedł do służby Kasper Biedroń, syn po nieboszczyku bracie starego, chłopak cichy, spokojny, milczący, jak wszyscy Biedronie, o chciwie zaciśniętych ustach i bystrem, przenikliwem spojrzeniu, mały, lecz krępy, twardy jak krzemień, mocny jak sama siła...

— Ten nauczy chciwca, — mówili ludzie — to nie Jaś...

Lecz Kasper nie chciał nikogo uczyć. Jadł za jednego, a robił za czterech. Robota paliła mu się w rękach...

— Żeby to nasz był taki, — odezwał się stary do żony — żyłby do dziśdnia.

— Nasz był przylepką, a to mruk — westchnęła, ocierając łzy z oczu.

— Nie gada, nie czyta, w pana się nie bawi, ale za to pracuje — odpowiedział stary z niebywałą energią. — Dorobi, a nie straci.

Stara pokiwała żałośnie głową i nic nie odpowiedziała.

I znowu organiścianka zaczęła wpadać do izby Biedroniów, całować starą po rękach, a ślepka wytrzeszczać do Kacpra. Lecz stara zalecanki dziewczyny przyjmowała z niechęcią — i ukrytym w głębiach serca wstrętem...

Za to stary rad był dziewczynie, szczypał ją lekko po twarzy i głaskał. Kasper mu się nadał, takim pragnął widzieć syna, odczuwał go i rozumiał. Bystrość Kaspra, jego energia, rozum, podejrzliwość, nieufność, zachwycały go. Kasper nie dojadł, nie dospał, a pilnował dobytku. Przy Kasprze zaczynała znowu zamożność dźwigać się i rosnąć.

Organista zaprzestał pędzać starego do ko-

ścioła i spowiedzi, a za to sam często przychodził z flaszką miodu w zanadrzu.

Radzili, radzili i uradzili Nastkę oddać Kasprowi, jako spadkobiercy Biedroniów.

W sercu starej smutek i żal po stracie chłopca rósł i przenikał ją całą — świecił jej w oczach, wychodził na usta, łamał ją i garbił. Zobojętniała nawet na bogactwo. Z dziwnym spokojem zgodziła się na zrękowiny, — lecz zapowiedziała z siłą i energią, że na wyprawienie wesela w jej chacie nie pozwoli.

— Od tego karczma — rzekła wolno — i dom organistów...

Staremu, który usiłował sprzeciwić się temu, odrzekła, że jeżeli w obejściu jej pokaże się muzyka, pójdzie i już nie wróci.

Zalała się łzami. Stary okrutnie się bał łez. Gdy je tylko u żony zobaczył, stawał mu przed oczyma syn z rozłupaną czaszką.

— Nie zmarnuje naszej krwawicy — rzekł, tłómacząc się przed żoną.

— Niechta — odpowiedziała cicho, — głos jej drżał.

— Dorobi.

— Sobie... To nie nasza krew, nie nasza pociecha, nie nasze dziecko...

— Przecież widzisz, — tłómaczył się — jaki

porządek, jaki ład... dobytek rośnie. I to wszystko... nasze... Na wiosnę pójdą na swoje i zostawią nam do ostatniego źdźbła...

— Nasze dziś, jutro ich...

— Do samej śmierci nie dam nic...

— Jutro, abo za rok sumienie zeżre serce... wezmą wszystko...

Stary się żachnął, jak gdyby mu kto pazurami po sercu przejechał. Nie mógł dłużej patrzeć na smutek żony, na stroskaną twarz i siwe włosy — uciekł z izby.

Do stajni dobudowano na tymczasem dwie izbiny, gdyż na wiosnę miano wystawić porządną chatę, na skraju pięciu morgów — wiana Nastki — i tam przenieść młodych. Organista zapłacił cieśli i murarzy, sprowadził z miasta okna i szyby — i wybielił. Izbięta wyglądały ubogo, lecz schludnie. Biedroń nie wydawał pieniędzy, a Kasper pracował jak koń — i jakże nie miał mu być rad?...

Wesele organista sprawił sute. Nastka miała gorset jak ornat czerwony, a na tej czerwoności kwiaty złotem kapały. Pito, tańcowano i jedzono mięso całe trzy dni. Biedroń pierwszy raz od śmierci syna znalazł się wśród ludzi... Stawiał się jak mógł, śmiał się jak umiał i dziesięć butelek miodu od Żyda przecie sprowadził.

W tym samym dniu w chacie Tyksiny przyszedł na świat syn — ku wielkiej uciesze matki i Kundy, utrzymującej, że podobniusieńki do Jasia, jak dwie krople wody.

— Jakbym na Jasia patrzała — mówiła, płacząc z radości. — Wszystko, co mam, la niego, i la tego ja go poniosę do kościoła i ja się skumam z Zośką...

Zośka kazała go sobie ciągle pokazywać... Tyksina z Marcinową gospodarzyły, Kunda opiekowała się matką i synem.

— Nie puszczę cię — mówiła do Zośki — z łóżka wcześniej, jak za trzy dni, a na Boży świat za pięć. Jesteś młodziutka, delikatna, mogłoby się co w tobie oberwać. Jaś musi mieć matkę zdrową. Ach, jaki ci podobny do ojca, do mego Jasia!...

— Kunda, przecie to mój! Ty go jakoś poniewierasz, ciągle mówisz o ojcu, a o nim nic...

— Głupia, głupia, poniewieram! — wołała rozpromieniona Kunda.

— Pocałujże mnie — prosiła się Zosia. — Nie pocałowałaś mnie ani raziczku.

— Mam na to czas...

— Bo ty ino za chłopakiem uganiasz, a o mnie nie dbasz.

— I nie głupia to? patrzcie!

Poskoczyła do Zośki, objęła ją i ucałowała.

— Pamiętnika niema, żebym kiej była taka rada i kontentna, jak dziś. Słyszysz, jak się chłopak drze; patrz, szuka... a dajże mu ssać.

Przyniosła dziecko. Młoda matka omdlewała z rozkoszy i radości.

* * *

W czwartek po północy państwo młodzi, odprowadzeni cicho przez Biedronia i organistę, wrócili do dwóch wybielonych izdebek, dobudowanych do stajni.

Stary poszedł do chaty, położył się, lecz usnąć nie mógł. Głowa mu pałała, powieki spadały, ciało leżało jak kłoda, lecz sen nie przychodził. Żal go gniótł, a lęk co chwila cucił.

— Nie takieby to było wesele mego syna — szepnął.

Z ciemności odpowiedział mu głos:

— Zabiłeś mnie!...

Stary usiadł na łóżku, wytrzeszczył oczy — słuchał.

— Zabiłeś mnie wtedy, gdy sama młodość do mnie się śmiała. Byłem dobry, ludzie mnie kochali... a teraz ci nowi za mnie zapłacą.

Włos mu się zjeżył.

— Stara, śpisz? — szepnął ochrypłym ze strachu głosem.

— Dawnom odwykła od snu — odparła.

— Słyszałaś?

— Cicho, jak makiem siał, a mnie się widzi, że to wieczność, że leżę w tej ciemnej, bez końca wieczności i la tego zasnąć nie mogę...

Stary padł na łóżko, ujął rękę żony, całował i płakał.

— Czem ja ci wynagrodzę tę krzywdę? czem? — powtarzał.

— W chacie Tyksiny — mówiła Biedrońka, tuląc się do męża — przyszedł na świat syn. Mówiła mi akusierka Szerszeńka, że taki ci podobny do naszego, jak dwie krople wody. Pamiętasz, jaki był nasz, kiej przyszedł na świat!?... Szerszeńka była wtedy u mnie, ona pamięta i mówi, że podobiuteńki. Pamiętasz naszego Jasia, wkiedy przyszedł na świat.

Stary płakał, tulił się do żony, całował jej ręce, żal go zmógł i zasnął...

Biedrońka marzyła o swym Jasiu, wkiedy przyszedł na świat i o Zośczynym Jasiu. Dwa te pojęcia zlewały się w jedną całość, pełną uroku. Chłopczyna zaledwo się urodził i od

razu dwa twarde serca złagodził, przynosząc im rozkosz spokojnego snu.

Biedrońka posłała po Szerszeńkę, zamknęły się z nią w izbie — radziły... Stara obcierała łzy płynące strumieniami po tej twarzy. Szerszeńka prawiła ze wzrastającym zapałem. Po skończonych naradach Szerszeńka wybiegła z chaty, niosąc pod pachą zawiniątko. Leciała wygonami ku chacie Tyksiny — wpadła.

— Wielgie miłosierdzie boskie — zawołała. — Biedrońka zmiękła, patrzcie! rozwinęła zawiniątko. Te łachy dla Jasia, do tego osełka masła, serek i kaszka perłowa dla Zośki!... No, widzicie, sama mnie zawołała, kazała mi ciągiem opowiadać o małym Jasiu i wtedy z żalem za swoim płakała — okrutnie płakała. Kunda, słyszycie!... kazała was pozdrowić, prosiła, abyście do niej nie mieli urazy.

— A ja wam mówię, — rzekła Kunda — że nikt, tylko Najświętsza, żeby ukarać chciwość starych, zabrała jednego, a nam na pocieszenie dała drugiego. Ona to kruszy serce Biedrońki, a kto wie, może i skruszy starego!...

Mowa Kundy zrobiła głębokie wrażenie. Zośka była rozpromieniona, Szerszeńka uwierzyła i z gębą poleciała na wieś...

Kobiety przychodziły z podarkami nawiedzać małego. Dziwna miłość otaczała chłopczynę, połączona z tajemnym kultem, a Zośkę — nieświadomą siebie cześć, jako matkę wybrańca...

Krótkie dni zimowe leciały migiem, że niepodobna się było obrobić. Kasper był wszędzie, ciężko pracował, lecz z każdym dniem nieznacznie, cicho brał władzę — wola jego była rozkazem, a rozkazy święcie wykonywane. Nastka garnęła dla siebie, co mogła. Wpływy, władza i mienie przechodziły do dwóch izdebek przylepionych do ściany...

Starzy czuli, że są nieznacznie wydziedziczani, że im wszystko z rąk i z pod nóg leci... Stary jak mógł nadrabiał miną, hałasował, krzyczał, rozkazywał, lecz niewiele sobie z jego rozkazów robiono. Wszystko szło energicznie, lepiej niż chciał stary, lepiej niż kiedykolwiek za jego gospodarstwa. Młodzi rzadko kiedy zaglądali do izby Biedroniów, siedzieli w domu, a jeżeli gdzie poszli, to do organistów.

Pusto było u starych, cicho jakby makiem siał. Czuć było burzę w powietrzu, wielka ją zwiastowała cisza.

Słońcem i radością były dla starej odwiedziny Szerszeńki. Opowiadała jej ciągle o ma-

łym Jasiu, o podobieństwie do ojca i wielkim rozumie. Jak ludzie kochają małego, kobiety znoszą różności... Mówiła o Kundzie i jej pracy zapobiegliwej, o Zośce i jej przywiązaniu do dziecka.

Stara słuchała, słuchała, częstowała Szerszeńkę i z zawiniątkiem pod pachą wyprawiała do chaty Tyksiny.

Dobrze się zaczynało dziać na zagajach brzozowych. Zośka wybielała, Jaś rósł i mądrzał, Kunda rządziła wszystkiem, słuchały ją rade Tyksina z Marcinową...

Po ostatniej wizycie Szerszeńki u Biedrońki, weszła do izby Nastka — chmurna, z błyskawicami w oczach.

— I znowu — odezwała się ponuro — matka przez starą wiedźmę wyprawiła ciężką naszą pracę temu znajduchowi. My sobie od gęby odejmujemy, a on — i ta szelma — będą w dostatkach opływać?... My ciężko pracujemy, a ten rak będzie zagarniał naszą krwawicę?!...

Wyszła, trzaskając drzwiami. Stara z bólu i z wściekłości zatoczyła się na ławę, siadła, schwyciła się za włosy i zatargała. Dawna zażartość, poczucie własności, energia posiadania — wróciły.

— Ty mnie, ty mnie, ty mnie! — powtarzała szeptem.

W głowie jej szumiało, trzęsła się cała, w przestrzeń patrzyła, póki jej łzy z oczu nie zalały.

— I na tom na starość zeszła, żeby mi nie wolno było z własnego wydawać? A przeciem bogaczką — nikt mnie nie okradł!... Gdzie moje bogactwo, gdzie moje rządy, gdzie to, co miałam wczoraj?!...

Zerwała się, wyprostowała i zawołała:

— Gdzie to wszystko?! Co ja za jedna?...

Usiadła, zaczęła myśleć, rozważać. Gniew ją bódł, żal ją brał, serce się ściskało.

Wieczorem długą, cichą wiodła rozmowę z mężem. Stary dumał, usta zaciskał, pięść stulał, na czoło wystąpiły mu pręgi.

— Myślisz, żem ślepy — odparł, — widzę i miarkuję nie od dziś. Oni tu panami! Gdy nam zabraknie sił do obrony, wygnają nas z własnej chaty o żebranym kiju. Garną wszystko. Nie mamy już nic. Służba ich, konie, bydło i ziarno w śpichrzu ich!... Nam nic nie zostało.

— Jaśby nie zabierał — szepnęła Biedrońka.

Stary nie odpowiadał, pręgi granatowych żył pęczniały mu na czole i skroniach, ręce

mu się trzęsły, oczy błyszczały wściekłością i zemstą.

— Ojcze, co ci? — zawołała stara.

— Cicho — szepnął, — nie pytaj, sam nie wiem, co. Okrutne mnie ognie przechodzą, wściekłość trzęsie. Z gnoju go podniosłem, wydobyłem nędzy z gardła, po naszej śmierci miałby wszystko... Czekaj, czekaj — powtarzał.

Stara się przelękła jego wzroku, ochrypłego głosu i trzęsących się rąk.

— I co mu zrobisz? Stało się i basta.

— Stało się, to się i odstanie — rzekł sucho.

Zatrzęsło go jak w febrze, wzdrygnął się, zerwał i siadł napowrót.

— Daj pokój, daj pokój — prosiła go stara, głaszcząc po płowych, na pół siwych, rzadkich włosach.

Przysunęła się, objęła mu głowę i tuliła do suchych piersi.

— Spotkało nas tak wielkie nieszczęście, że drugiego takiego niema... I za co? Czyśmy zbytkowali, hulali, ludziom zawadzali?!... Pilnowaliśmy swego!... Spotkało nas tak wielkie nieszczęście, że drugiego takiego niema na świecie — cierpmyż.

— Cicho, cicho — szeptał stary, — bo abo mi pęknie serce, abo się czaszka z bólu roz-

wali. Stało się jedno, stanie się drugie — dokończył cicho.

Bał się światła, zgasił je.

— Umęczony jestem, nie zasnę, ale przynajmniej człek wygodnie stare kości ułoży.

Żona przelękła się jego głosu, rozebrała szybko, wlazła pod pierzynę, przysunęła się do ściany, oczy rozwarła — patrzyła, słuchała.

Stary się położył, coś nim szarpało, oddychał ciężko i krótko. Po pierwszem pianiu kogutów wstał, obuł się, kożuch zarzucił na plecy, przesunął się do komory.

Stara siadła na łóżku, włos się jej zjeżył, szczęki latały.

Drzwi zaskrzypiały, wyszedł — przy oknie na świetle księżyca błysnęła siekiera... Stara wyskoczyła, dopadła do drzwi, odwróciła się, ręce rozkrzyżowała...

Stary chciał ją odepchnąć, schwyciła toporzysko siekiery, wpiła w nie chude ręce.

— Gdzie?... mało ci jednego zabójstwa — dyszała strachem, pot lał się z jej czoła.

— Puszczaj, uwolnię cię od nich od razu, zostaniesz panią, jakeś dawniej była. Mnie sumienie żre — później czy wcześniej trza skończyć.

— I zostawisz mnie samą sierotę?!... Ludzie

mnie zagryzą, organista zatłucze. Myślisz, żebym przeżyła tę sromotę. Chcesz zamordować, zabij mnie pierwszą, a potem ukąp się we krwi i sam się powieś.

— Puszczaj! — zawołał.

— Puszczę, ale musisz po samo toporzysko wpakować we mnie siekierę, bo będę wrzeszczeć i całą wieś zbudzę.

Puściła siekierę.

— Tnij! — zawołała.

Stary się zachwiał, zatoczył na ławę, usiadł, siekiera wypadła mu z rąk. Żona ją pochwyciła, rzuciła do komory, drzwi zamknęła na kłódkę, uklękła, zdjęła mu buty, kożuch ściągnęła, zaprowadziła do łóżka, ułożyła przy ścianie, otuliła, sama przy nim legła.

— Okrutnie sumienie mnie żre, a wściekłość zbiera, wiele razy spojrzę na nich. Czuję przez skórę, że rachują dni i godziny, kiedy ślepia zamknę, abo tak zesłabnę, że będą mogli mnie wyrzucić... Matko, sumienie żre, czuję, że niedługo mózg mi wyżre, a potem kości ogryzać zacznie.

— Ludzką go krwią nie nakarmisz — przerwała stara, — a obwiesić się, to lada biedak potrafi!... Tyleśmy jedno z drugiem przeżyli, dotrwajmy razem do końca.

Przysunęła się i zaczęła mu szeptać do ucha:

— Wiesz, rośnie, zdrowiutki, ludzie nie mogą się nadziwić jego mądrości, garną się do niego... Pono ma takie same, jak u naszego, wielgie oczy — sam bławat!... Zaśnij, to jakoś skrzepniesz. Może Bóg się ulituje, sen ci ześle, w cichości nawiedzi dobrą radą.

O świcie stary się zerwał, umył, ubrał, wyszedł. Żona patrzała za nim przez okno i gdy skręcił na drogę, zabrała się i pobiegła za nim.

Ślady butów na świeżym śniegu zaprowadziły ją do kościoła.

Przed wielkim ołtarzem rozciągnięty, całował cegłę podłogi i płakał. Uklękła w kruchcie i odmawiając koronkę, czekała.

Całą śpiewaną wotywę, jak gdyby na krzyżu rozbity, przeleżał sam jeden w pustym kościele.

Ku końcowi nabożeństwa stara wysunęła się z kruchty, dopadła do izby, rozpaliła ogień i uwarzyła mleka z lanymi kluskami.

Wrócił spokojniejszy, bledszy i cichszy. Zasiadł za stołem, zjadł śniadanie, zapalił gaz i zamknął się w komorze. Stara przeczuwała coś nadzwyczajnego, nie śmiała zaglądać, nie śmiała się pytać — czekała...

Wrócił w nowym kożuchu i w nowych bu-

tach, czerwoną chustką miał opasaną szyję, baranią czapkę na głowie, wielki pulares sterczał mu za pazuchą. Pocałował żonę w twarz i szepnął:

— Idź!... — oczami pokazał gdzie, zawstydził się i spuścił oczy.

Stara drżała na całem ciele, złożyła ręce jak do modlitwy i płakała.

— Nie trap się — dodał cicho, wzruszony płaczem kobiety — nie zostawię cię na poniewierkę. Jednaś mi została na całym świecie...

Stara wyciągnęła do niego ręce, zatrzymała go za połę, odwróciła i pocałowała. Ciepło go przejęło do głębi, objął rękami pomarszczoną jej twarz, przytulił i wyszedł szybko wprost do stajni.

Za chwilę wyprowadził konie i sam je zaprzęgał do wozu.

— Niceście wczoraj nie powiedzieli, że mi konie weźmiecie, a tu taka pilna robota — odezwał się Kasper.

Młoda baba stała we drzwiach chaty.

Biedroń łypnął ślepiami, poprawił siedzenia, derką je przykrył, parę wiązek siana wpakował na wóz, ujął lejce, batem świsnął, konie ruszyły, minął wrótka, skręcając na drogę do miasta.

— Coś źle, Biedroń się zaciął — rzekł do żony Kasper. — Niepotrzebnieś do starej latała.

— To niech naszej pracy nie rozdaje — odparła Nastka, czerwona z gniewu. — A stary niech nie zaczyna, bo go tatuś rozumu nauczy.

W chacie Biedroniów stara drżącemi z pośpiechu rękami ogarniała się. Wyciągnęła ze skrzyni nową chustkę, przykryła starą, żeby jej nie zobaczyła Nastka, zabrała co się dało do koszyka i wydeptanemi przez ludzi ścieżkami pobiegła do Tyksiny.

Zatrzymała się przed chatą, iść dalej nie zdołała, nie mogła złapać tchu. Radość ją popychała, wstyd i żal trzymały. Kunda przechodziła ze stajni, rzuciła się ku niej z serdecznym płaczem, objęła za szyję i puścić nie chciała.

Głośny płacz wyciągnął z izby Tyksinę i Zośkę — przybiegły. Zośka pocałowała Biedrońkę w rękę, Kunda objęła w pół i wprowadziła do chaty. Posadzili ją na ławie, ściągnęli z niej chustki — otoczyli.

Odgadywała z promieni patrzących na nią oczu — ciepło. Kunda rękawem ocierała łzy. Stara zwróciła się do niej:

— Już ósmy miesiąc płynie, jak nie widziały cię moje oczy.

I znowu wyciągnęła ręce, pochwyciła Kundę i przygarnęła do siebie.

— Com się nie nacierpiała — szeptała, — ani odpoczynku, ani snu, patrzcie!...

Ściągnęła chustkę z głowy. Srebrne zaświeciły włosy.

— Przed pół rokiem były czarne jak kruk. Nieszczęście przyszło, wżarło się w serce i żre, i żre.

Nowy potok grubych kropli łez spadał jej wolno z głęboko osadzonych oczu.

— U was inaczej — mówiła cicho z żalem i smutkiem, — zdaje się, że Kundzie odleciało dziesięć lat, Zośka biała i różowa. Pachnie tu wolnizną i szczęściem.

Zaczęła bojaźliwie wodzić wzrokiem po izbie. Kunda domyśliła się, o co idzie, pochwyciła śpiącego Jasia w nogach łóżka i przyniosła.

Dziecko różowe, zaspane, przecierało oczy piąstkami, popatrzało na Biedrońkę — uśmiechnęło się, wyciągnęło ręce i rzuciło się ku niej.

— Jezus Marya! — szeptała wystraszona, jakby wobec cudu, kobieta. — Jezus Marya, a toć przecie mój, on!... — pochwyciła dziecko i tuliła je jak własne.

— Jeszcze do nikogo tak nie poszedł —

rzekła Kunda. — Nic, tylo Najświętsza nim kieruje i prowadzi go.

Biedrońka jedną ręką trzymała dziecko, drugą wydobywała różności z koszyka. Na spodzie leżał stary elementarz z obrazkami. Jaś wyciągał po niego ręce, pochwycił i śmiał się.

— Patrzcie, jak ojciec do książki — szepnęła wystraszona Kunda, chciała mu wydrzeć.

— Przecie to nasz i kto mu zabroni? — odezwała się cicho Zośka.

— Nasz i kto mu zabroni — powtórzyła Kunda, pochwyciła go na ręce i wołając:

— Nasz, nasz, nikt mu nie zabroni, wolno mu — biegała z nim po izbie.

Chłopak się śmiał, lecz z rąk elementarza nie puścił.

Stara wlepiała się w chłopca, jak w cudowny obraz, drżące ręce składała do niego i łzy ocierała.

— Kunda, dajże mi go przecie — prosiła.

Wstała, odebrała dziecko, pieściła, tuliła.

— Żebym mogła przyjść za piastunkę do niego, oddałabym całe moje bogactwo. Jak tam u nas pusto, że serce się kraje. Z każdego kąta wyziera nieszczęście, ślepia wywala i pa-

trzy. Żal mi starego, smutek go źre okrutnie... Zwalił sobie na kark tych dwoje...

— Pono wszystko garną la siebie — dodała Kunda.

Stara zamilkła, dziecko patrząc na elementarz, zaczęło wydawać głosy.

— Czyta, czyta! — wołała Kunda.

Biedrońka wydobyła z poza starej chustki nową, szkarłatną i podała ją Zośce, a nie chcąc się zdradzić, że jej daje za Jasia, odezwała się:

— Pasałaś za mnie, a jakoś się stało, zem ci nie podziękowała.

Uradowana kobiecina pocałowała ją w rękę. Dziecko zaczęło kwilić i głodne rwać się do matki. Zośka siadła z nim pod piecem, dając mu piersi. Tyksina zastawiła obiad, kobiety we trójkę obsiadły stół. Dobrze im było razem. Jakoś serdecznie i ciepło.

Kunda zniewoliła starą do obejrzenia gospodarstwa: dwóch krów i cielicy przysłanej od »panienki« dla Jasia, dwóch prosiaków, koniczyny i słomy w stodółce.

— Niema bogactwa — rzekła z dumą — ale biedę można jeszcze siekierą uciąć...

— Ty, moja Kundo, jesteś opatrznością dla sieroty, Zośki i Tyksiny — dokończyła cicho stara.

Wieczorem Kunda odprowadziła ją do domu.

— Jak mi się nie chce wracać do tej pustki — skarżyła się cicho Biedrońka, przystając. — Stary pojechał do miasta, sama calutką noc. Zanocuj-że u mnie, wyśpiemy się razem pod pierzyną... Nie gardź starą, którą przywaliło nieszczęście. Ani snu, ani spoczynku...

Kunda się zamyśliła. Rzucając przekleństwa na Biedroniów, zaprzysięgła, że nigdy noga jej nie przestąpi obejścia. Lecz cóż, nie spodziewała się, że Biedrońka przyjdzie do niej, że się ukorzy, że przeprosi.

— Nic u ciebie nie wskóram — szepnęła stara — nawet siwe moje włosy nie uproszą cię?...

Kunda stopniała. Ujęła starą za rękę i śmiało przeszła bramkę. Psy skowycząc i skomląc przypadły do niej. Spinały się łapami na ramiona, lizały ją po twarzy i rękach i tak przywiązaniem swem rozczuliły, że zapłakała.

Weszły do izby. Kunda ze wzruszenia nie mogła się utrzymać na nogach, zsunęła się na ławę. Stara zapaliła gaz i siadła przy niej.

— Czujesz, jak tu pusto, że aż mrowie przechodzi. Stary ciągiem przy robocie, a gdy wróci, lata ślepiami po ścianie, gna myślą po

świecie, patrzy niewidzący, wzdycha, często się za łeb chwyci i zatarga, abo słucha, jak go sumienie żre.

Wargi jej zadrżały — przestała. Kundę zbierały żal i litość. Żeby się opamiętać, rozpaliła ogień, uskrobała garnuszek ziemniaków, stara przyniosła sperki — wyskwarzyła.

— Moja Kundo, — mówiła przy wieczerzy — jakże to dziecko podobne do naszego Jasia. Taki ci mam ciąg do niego, że gdybym go długo nie widziała, gotowabym się zagubić.

Kunda się przysunęła i szeptała jej jakieś zaklęcia, póki na twarzy starej nie zawitał — od śmierci syna niebywały gość — uśmiech.

* * *

Trzeciego dnia wrócił stary. Na koźle obok niego siedział żandarm, za nimi sędzia i geometra. Wysiedli z wozu, stary przywołał parobka, oddał mu lejce, gości poprosił do izby.

Z chaty swej wybiegła Nastka, ze stodoły Kasper — oniemieli. Biedrońka przywołała dziewkę, posłała ją po ludzi z łopatami i siekierami.

Biedroń częstował gości przywiezionemi



z miasta wiktuałami i winem. Pierwszy raz w życiu nie żałował, był mowny i zdawało się wesół. Gdy ludzie się zeszli, częstował i ludzi wódką, chlebem, słoniną.

Nakarmieni wyruszyli wszyscy w pole, geometra z narzędziami. Nastka skoczyła do ojca. Organista odrazu się rozżarł, pomstował i groził; wyleciał z izby i wprost pognał w pole. Biedroń, gdy go zobaczył, poskoczył ku niemu.

— Pyskuj — ostrzegł go cicho — jest żandarm, zabierze, ale nas obu. Ciebie za fałszywe świadectwo. Mnie nic po życiu — wybieraj? A i tak krzywdy dziecku twemu nie zrobię.

Odwrócił się i poszedł do ludzi rąbiących siekierami zamarzniętą ziemię i sypiących

kopce w miejscach wyznaczonych przez geometrę.

Po usypaniu kopców wrócono do izby. Pan sędzia przywołał organistę, Kaspra, Nastkę i odczytał im przy świadkach akt darowizny obojgu pięciu morgów gruntu odmierzonego i oznaczonego kopcami. Do tego dwieście śrybła na postawienie chaty, ale z tym warunkiem, aby się wynosili natychmiast. Ludzie rozbiorą budę, drzewo złożą na jeden wóz, na drugi graty.

— I marsz! — wrzasnął stary, — żeby mi tu po was i pary nie zostało. To moje! — krzyczał z wściekłością, uderzając pięścią w stół. — Ja tu pan, ja tu rozkazuję!...

Oczy mu krwią zaszły.

— Mnie i mojej kobiecie wolno robić z naszem bogactwem, co nam się podoba.

Zwrócił się do Nastki:

— Tybyś niedługo z gęby strawę nam wydzierała...

Odetchnął ciężko i zniżył głos.

— To nie żaden znajda, to syn mego syna, mój wnuk. A Zośka nie wysterkacz i latawiec, ino matka mego wnuka.

Podniósł rękę w górę i powtórzył uroczyście:

— Matka mego wnuka, więcej wartna od was!... A teraz idźcie mi z oczu.

Otworzył okno.

— Ludzie rozbierzcie mi budę migiem, drzewo na wozy i wio, niech jej nie widzę!...

Ludzie się rzucili; z izby Biedroniów wyleciała Nastka, bojąc się o swe graty, za nią wyszli organista i Kasper, łypiąc oczami jak wilki.

Wobec wójta, rady gminnej i zebranych gospodarzy odczytał sędzia akt darowizny całego majątku Biedronia, żonie — jedynej sukcesorce.

Stary skłonił się wójtowi, radzie, starszyźnie, prosząc o opiekę nad żoną, za co włożył do kasy gminnej 50 papierków.

Parobka odprawiono, w miejsce jego przyjęto syna Feli.

Stary stał na dworze obok żandarma, dopóki ostatni wóz z gratami Kaspra nie wyjechał za wrota.

Wrócili do izby. Żandarm uczęstowany i udarowany przysiągł często zaglądać do obejścia Biedroniów, a dziś do rana nie wychodzić ze wsi.

— Może do jutra — powiedział — ogień,

co tlił w ślepiach Kaspra, przygaśnie, chłop się upamięta.

— Nie głupi — dodał Biedroń, — wie, że cała wieś, gdyby ogień buchnął, wskazałaby na niego. Alem się zaasekurował.

Wyjął z zanadrza blachę z wymalowanym świętym Floryanem. Żandarm ją pochwycił i przy ludziach przybił.

— Niech pali, kto chce — powtarzał i śmiał się. -- Biedroniowi zapłacą, a podpalacz pójdzie do cienia na piętnaście lat!...

Ludzie mu wtórowali i gwarząc odprowadzali do wójta.

Stary zmęczony usiadł na ławie, stara przysunęła się do niego, objął ją w pół, przytulił się do niej i zapłakał.

— Wielga moja zbrodnia — szeptał. — Zabić ojca, abo zabić syna, ksiądz u spowiedzi powiedział, że nie ma większej. Patrzę na ciebie, jak mi w oczach gaśniesz i jeszcze większy mnie żal dławi. Trzeba ci dać wytchnienie, a sobie pokutę. Dajże mi w płachtę bieliznę świeżą, słoniny i kawałek chleba...

— Gdzie? — zapytała cicho.

— Powiem ci wszystko.

Parę stówek odłożył dla siebie, resztę oddał żonie. Płachtę zarzucił przez plecy, związał na

piersiach, czapkę zasadził na uszy, rękawice na ręce — wyszli razem.

Na cmentarzu u mogiłki Jasia padł krzyżem, stara uklękła, modląc się płakała.

Gdy ciemności ogarnęły ziemię, powstał, ujął żonę za rękę i pocałował.

— Na »Siewnę« przyjedź do Leżajska do Cudownej. Weź chłopca ze sobą i Zośkę. Teraz nie jestem wartny widzieć go. Jeśli odpokutuję choćby połowę, wrócę do was. Jedź i sprowadź ich. Przecież mu oddasz wszystko... Nie odprowadzaj mnie. A niech mi Kunda pilnuje dobytku!... Z chłopaka oka nie spuszczać!...

Objął żonę za szyję, uścisnął, schylił się do jej kolan, ujął je i pocałował, otarł łzy, zawołał: do zobaczyska na Siewną i znikł w ciemnościach...

Stara wyciągnęła ręce do męża, lecz pchało ją do dziecka, — zawróciła, dopadła do obejścia zdyszana, wołała:

— Fela, zaprzęgaj na dwa wozy migiem po Zośkę i Kundę. Śpiesz się, bo mi serce wyskoczy.

Ludzie przechodzili drogę.

— Pomagajcież, zmiłujcie się — jadę po wnuka i Zośkę. Tak mnie niecierpliwi, że rady sobie dać nie mogę...

Ludzie wpadli do obejścia, chłopi rzucili się do koni i wozów, kobiety otoczyły Biedrońkę.

— Co się stało, gadajcież!? — nalegały.

— Wszystko zapisał la mnie i poszedł do Cudownej do Leżajska, a ja oddaję wnukowi. Tu go sprowadzam, tu będzie rządził, tu będzie panem.

— I Zośkę, i Tyksinę? — pytały.

— Wszystkich... Kunda będzie pilnować dobytku. Tak stary kazał.

— Hura! — wołały kumoszki. — To hale, to przecie stało się, jak się stać powinno. Nie organiścianka z Kasprem, tylo on tu pan! Wiwant!...

Młodsze poleciały wygonami z nowiną do chaty Tyksiny, drugie pomagały Biedrońce. Wozy zajechały. Stary Fela powoził jednym, na drugim siedział jego syn. Kobiety, o ile która mogła, wdrapały się na wozy, — Biedrońka w środku.

Przed chatą Tyksiny roiło się, — z daleka słychać było głos Kundy. Urywane rozkazy padały jak grad.

— Byłam pewna, że Najświętsza nie opuści nas i pokieruje tak, że syn Jasia wróci na swoje śmiecie...

Z płaczem dopadła Biedrońka do chaty — podali jej dziecko, pochwyciła je i tuliła.

— Wiecie, jakie ostatnie słowo powiedział? — zawołała.

— Jakie, jakie?

Lud się cisnął, zrobiła się cisza.

— Chłopaka z oczu mi nie spuszczać.

Zalała się łzami.

Szmer serdeczny, ciepły rozszedł się po izbie.

— Nikt, tylo Ona! Wie ci, co robi! — zawołała uroczyście Kunda, zdyszana radością.— Ona staremu kazała gnać na święte miejsce, Ona zabrała ojca, a synowi każe iść na swoje śmiecia! Inaczejby nie wleźli, ani Zośka, ani on. Ona... i niech święte Jej imię będzie błogosławione!

Kobiety jęknęły, chłopy unieśli czapki ponad głowy, wszyscy się przeżegnali.

— Nic nie potrzeba, tylo siadać — rozkazywała dalej Kunda — a zabrać łóżko Zośczyne, moją pierzynę i skrzynkę!... Tyksina zostanie tymczasem na gospodarstwie. A że jesteście kuty leń, to wam przyszlę dziewkę.

Lud w śmiech, Zośka strofowała Kundę, Biedrońka pocałowała Tyksinę w twarz.

— No, dalej... Babka z Zośką na wóz, chło-

paka wam podam. Tulcie go i oka z niego nie spuszczajcie, jak przykazał stary...

Otulonego w własny kożuszek podała Zośce, lecz stara go odebrała, przykryła chustką i wpatrywała się w niego z rozkoszą macierzyńską...

Kunda siadła przy Feli, ludzie otoczyli wozy, ruszono — wśród uroczystej radości... Na drodze wybiegał z chaty, kto żył, tłum się powiększał i rósł co chwila.

Nadjechali pod kościół.

— Stój! — zawołała Kunda, — otworzyć drzwi, światła przed Najświętszą zapalić... ja płacę!...

Kobiety pobiegły po kościelnego.

— Niech go zobaczy, — przemawiała z wozu do ludzi Kunda — to Jej. A niech i on Ją ujrzy... może pozna... któż ta wie?...

Wystraszony kościelny przyleciał z kluczami, otworzył, zapalił przed ołtarzem Matki Boskiej światło, lud się wtłoczył, za nim Kunda z dzieckiem na rękach, Biedrońka, Zośka, gospodynie...

Kunda padła na kolana, lud za nią — podniosła w górę chłopca.

— Widzisz Ją! — zawołała.

Zrobiła się wielka cisza. Dziecko wyciągnęło do obrazu ręce i zaśmiało się.



— Mrugnęła — zawołała strasznym głosem Kunda, — niech trupem padnę!... mrugnęła!... widzieliście?...

Lud się pochylił, wydając głębokie westchnienia.

— Mrugnęła, niech trupem padnę, mrugnęła — powtarzała Kunda, korząc się przed

obrazem. — Organy niech grają! niech się raduje cały świat! — zawołała. — Błogosław dziecku i nam!



Lud czekał w milczeniu błogosławieństwa.

Przez połowę otwartych drzwi wiatr wpadł do kościoła, przeciągnął górą, dostał się do piszczałek i zagrał.

— Słyszycie!? — wrzasnęła Kunda.

Lud rozciągnął się krzyżem i zapłakał z radości.

Kunda, natchniona, uroczysta, wracała, lud się cisnął do błogosławionego dziecka i całował mu ręce.

* * *

Na odpuście Matki Boskiej Siewnej w Leżajsku Biedrońka i Zośka z dzieckiem na

ręku przeciskały się przez tłum do refektarza. U drzwi spotkał je stary furtyan z pękiem kluczy u pasa, ogoloną głową — w habicie, wziął dziecko od Zośki i rozpłakał się, — zapłakały i kobiety...

88

DATE DUE			